

**Aleksander Sochaczewski.  
O Syberii pędzłem i piórem**



Aleksander Sochaczewski. O Syberii pędzłem i piórem  
(artystyczny obraz Powstania Styczniowego oraz katorgi)





Seria Wydawnicza  
SKARBY KULTURY

Album został wydany w ramach projektów  
„Rok Powstania Styczniowego na Mazowszu” (1863–2023/2024)  
i „Rok Aleksandra Sochaczewskiego”,  
zrealizowanych z budżetu Samorządu Województwa Mazowieckiego

**Aleksander Sochaczewski. O Syberii pędzlem i piórem**  
(artystyczny obraz Powstania Styczniowego oraz katorgi)

Album pod redakcją **Tadeusza Skoczka**

Warszawa 2023

Autorzy tekstów:

**Anna Milewska-Młynik, Małgorzata Karolina Piekarska,  
Tadeusz Skoczek, Aleksander Sochaczewski**

Autorzy fotografii:

**Mateusz Jasiński, Anna Kowalska, Sylwia Popławska, Tadeusz Stani**

Reprodukcje zamieszczone w albumie (za wyjątkiem ilustracji na str. 10 i 12)  
pochodzą ze zbiorów Muzeum Niepodległości w Warszawie

ISBN 978-83-67398-44-2

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości  
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)  
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa  
wydawnictwo@muzn.pl  
tel. 22 826 90 91 w. 41



## O Syberii pędzłem i piórem

Aleksander Sochaczewski. W sto osiemdziesiątą rocznicę urodzin i setną rocznicę śmierci przedstawiamy *opus magnum* tego wybitnego artysty. Współpracując z różnymi wydawcami, mamy szansę przedstawiania zbiorów Muzeum Niepodległości. Tym razem korzystając z gotowego produktu, znanej i poważanej serii Skarby Kultury, po raz pierwszy zaprezentujemy cały znany nam dorobek Polaka pochodzenia żydowskiego, patrioty, Sybiraka. Czynimy to w 2023, „Roku 160. rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego” oraz „Roku Aleksandra Sochaczewskiego”, realizując odpowiednią uchwałę Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Muzeum Niepodległości posiada prawie cały znany dorobek kronikarza syberyjskiej katorgi. Po wieloletnich staraniach – od sierpnia 2017 roku – cały zbiór 124 obrazów stał się naszą własnością. Wcześniej kolekcja była częścią lwowskiego Muzeum Narodowego, noszącego imię Jana III Sobieskiego. Później dzieliła dramatyczne losy Lwowa, będącego od września 1939 pod okupacją sowiecką, a następnie od 1941 pod okupacją hitlerowską. Podczas tej drugiej była przechowywana w Kijowie. Do Polski wróciła w 1956, w ramach przekazywanych wówczas przez władze ZSRR wielu poloników z dawnych polskich Kresów Wschodnich. Stała się wówczas własnością Muzeum Historycznego m.st. Warszawy, a po powstaniu Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej w 1963 roku, trafiła tam w charakterze trwałego depozytu. Galeria malarstwa Aleksandra Sochaczewskiego zlokalizowana była (i jest) w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej. Ukazująca losy skazańców na Syberii, znajduje się w miejscu dawnego carskiego więzienia. Cały zbiór jest systematycznie powiększany drogą zakupów.

Wiedza o życiu i twórczości Aleksandra Sochaczewskiego jest w poświęconym mu roku wzbogacana wynikami spotkań, dyskusji i konferencji naukowych. Wynikające z nich publikacje rzucają nowe światło na recepcję tej znakomitej twórczości. W monografii *Aleksander Sochaczewski i jego czasy* (Wydawnictwo Naukowe Muzeum Niepodległości, 2023) znajdziemy analizy dotyczące nieznanych wątków z życiorysu artysty, cytaty i opisy kwerendy prasy zagranicznej, oceny twórczości malarskiej na tle dokonań polskiego malarstwa historycznego dziewiętnastego wieku, oceny patriotycznego zaangażowania Polaków wyznania mojżeszowego w walce z caratem, upamiętnienia okresu Powstania Styczniowego w literaturze. Już sam fakt aresztowania młodego Sochaczewskiego znalazł we współczesnych mu czasach swoje komentarze w prasie francuskiej. Oto jeden z fragmentów tych doniesień:

W ostatnich dniach policja przeprowadziła rewizje w domu młodego Żyda, ucznia Liceum Sztuk Plastycznych, nazwiskiem Sochaczewski. Znalazła wielkie ilości rewolucyjnych broszur i opisów. Młody człowiek skoczył z pierwszego piętra do ogrodu. Kiedy chciał się wspiąć na mur, sierżant policji próbował go powstrzymać. Uciekinier się odwrócił i strzelił do policjanta ciężko go raniąc. Mimo to Sochaczewski został schwyty i zabrany do Cytadeli.



Aleksander Sochaczewski w czasie studiów  
w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. 1861;  
Nr inw.F-7287

kiej twórczości będzie także tekst Anny Milewskiej-Młynik *Nowele Syberyjskie – klucz do poznania Aleksandra Sochaczewskiego*, opublikowany uprzednio w naszym muzealnym czasopiśmie „Kwartalnik Kresowy”.

Album prezentowany Czytelnikom został zredagowany zbiorowym wysiłkiem pracowników Muzeum Niepodległości w Warszawie. Zgromadzone w nim reprodukcje ułożyliśmy, z jednej strony zgodnie z intencją samego artysty posiłkując się katalogami, które układał podróżując ze swoimi obrazami po Europie, a z drugiej strony tak, by tworzyły spójną całość. Stąd po głównych obrazach artysty, takich jak np. *Pożegnanie Europy* czy *Wieczór. Zakuwanie w kajdany*, zamieszczaliśmy szkice do nich. Połączyliśmy też obrazy podobne tematycznie, a portrety tych samych osób zestawiliśmy obok siebie. Cykle takie, jak te dotyczące ucieczki czy rysowane węglem na płótnie, a dotyczące podróży na zesłanie, ułożyliśmy chronologicznie. Chodziło nam o to, by wszystko tworzyło spójną opowieść o dramacie zesłańców, opowiedzianą pędzlem i piórem przez jednego z nich.

Nie było dane młodemu artyście uczestniczyć w Powstaniu Styczniowym. Karę śmierci zamieniono mu na katorgę i popędzono natychmiast na Sybir. Dwudziestoletni pobyt na zesłaniu pozostawił ślady w jego pamięci i psychice na resztę życia. Stworzył on, już na emigracji, m.in. na podstawie szkiców, które przywiózł z Syberii, wiele prac, w których nawiązywał do swoich dramatycznych przeżyć na dalekim wschodzie. Jego obrazy ukazują realia życia syberyjskich katorżników i zesłańców. Malarz już podczas pobytu na emigracji wielokrotnie wystawiał swoje prace, m.in. w Monachium, Londynie, Brukseli, Budapeszcie, Krakowie, Rzeszowie. W 1913 jego obrazy były ozdobą słynnej wystawy we Lwowie, zorganizowanej w 50. rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego.

Artysta parał się też piórem. Wystawy organizowane za jego życia opatrywane były szerokimi autorskimi opisami, mającymi walory zarówno informacyjne, jak również artystyczne. Przystosowała te literackie fragmenty do naszego albumu Małgorzata Karolina Piekarska, redagując i tłumacząc z języka francuskiego. Sochaczewski opublikował też kilka opowiadań syberyjskich, dotąd szerzej nieznanymi polskiemu czytelnikowi. W recepcji tej literackiej

dr **Tadeusz Skoczek**  
dyrektor Muzeum Niepodległości

## Aleksander Sochaczewski – artysta w służbie umęczonego narodu

Aleksander Sochaczewski to malarz przeważnie pomijany przez historyków sztuki. Przyczyn należy szukać w tym, że jest artystą jednego tematu – syberyjskiej katorgi, którą odmalował w sposób realistyczny. Na dodatek zrobił to w czasach, gdy Europa poznała już nowe prądy w malarstwie, jak impresjonizm czy symbolizm, a i secesja powoli zaczynała pukać do bram światowej sztuki. Jego malarstwo nie wpłynęło na twórczość innych artystów, a i ci inni niespecjalnie mieli wpływ na Sochaczewskiego, który – skupiony na jednym temacie – podążał drogą realizmu. Patrząc na jego życiorys, jest to całkowicie zrozumiałe. Artysta wyruszył na Syberię jako młodzieniec. Wrócił jako mężczyzna po czterdzieści, co w tamtych czasach było niemalże synonimem starca. W broszurze towarzyszącej wystawie, z którą pod koniec XIX wieku jeździł po Europie, a która zawierała życiorysy postaci sportretowanych na jego najważniejszym dziele – *Pożegnanie Europy* – przy swoim nazwisku napisał: „Byłem jeszcze bardzo młody, gdy wraz z towarzyszami wyjechałem na Syberię. Uniknąwszy śmierci, pomyślałem, że moje życie może się jeszcze przydać mojemu biednemu i ukochanemu krajowi”<sup>1</sup>. I w tym należy upatrywać przyczyn, dla których Sochaczewski maluje w stylu, od którego europejscy malarze odchodzą, szukając nowych prądów. On po prostu chce przedstawić to, co przeżył i widział, tak by inni również mogli to zobaczyć. Mógł postawić tylko na realizm – nikt bowiem nie fotografował skazańców przy katorżniczej pracy, zaś wykonywane czasem w syberyjskich zakładach fotograficznych zdjęcia, pokazywały ludzi sportretowanych w atelier, w pozach wskazujących jakby w ich życiu nic strasznego nie działo się.

Kim był Sochaczewski? Artysta urodził się 3 maja 1843 roku w Iłowie jako Sonder Lejb – jedyne dziecko posługującego w bożnicy szamesa (sługi bożniczego przygotowującego synagogę do nabożeństw) Szmula Lejba i Szajny Bajły (lub Szejny Beli) z domu Pytel<sup>2</sup>. Zgodnie z wolą ojca został oddany do Warszawskiej Szkoły Rabinów. W szkole panowała tolerancja religijna, a także otwartość na obce wpływy kulturowe. Anna Milewska-Młynik zwróciła uwagę, że być może to miało wpływ na późniejsze zaangażowanie się Sochaczewskiego w walkę narodowowyzwoleńczą Polaków<sup>3</sup>. W Szkole Rabinów młodzieniec spędził zaledwie kilka miesięcy, po których zmieniając nazwisko na Aleksander Sochaczewski (Aleksander brzmi podobnie jak Sonder, a Sochaczewski, bo spod Sochaczewa<sup>4</sup>), przeniósł się do Szkoły Sztuk Pięknych, gdzie został uczniem Józefa

<sup>1</sup> A. Sochaczewski, *Figures d'exilés politiques: extraites du tableau d'Alexandre Sochaczewski: les exilés à la frontière de Sibérie*, Bruxelles 1897, s. 26.

<sup>2</sup> Helena Boczek w biografii artysty podaje imię matki Szajna Bajły (*Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz syberyjskiej katorgi*, Warszawa 1993, s. 11). Tymczasem Barbara Pokorska, która w 1973 roku pod kierunkiem prof. Andrzeja Jakimowicza obroniła pracę magisterską na temat Aleksandra Sochaczewskiego, pisze, że imiona jego matki brzmiały Szejna Bela (*Aleksander Sochaczewski i jego malarski reportaż z zesłania*, [w:] „Zesłaniec”, nr 43, październik 2010, s.19).

<sup>3</sup> A. Milewska-Młynik, *Nowele syberyjskie – klucz do poznania Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Kwartalnik Kresowy”, nr 3 (15), 2022, s. 160.

<sup>4</sup> Niektóre źródła podają, że spod Łowicza, ale z Iłowa bliżej jest do Sochaczewa niż Łowicza, co zresztą znalazło odzwierciedle-



Simmlera (1823–1868). Jako uczeń szkoły artystycznej wyróżniał się talentem. Na pewno należał do najzdolniejszych uczniów swojego mistrza. Świadczy o tym fakt, że kilka prac Aleksandra Sochaczewskiego znalazło się na wystawie w Pałacu Kazimierzowskim, o czym informował „Kurier Warszawski” z czerwca 1861 roku, który podawał jego nazwisko, pisząc: „Szczególną uwagę zwróciły prace: A. Galińskiego, A. Wrzesińskiego, A. Sochaczewskiego i K. Szermentowskiego”<sup>5</sup>. Niestety, do dzisiejszych czasów nie zachowały się nawet tytuły obrazów.

Właśnie na studiach malarskich zaangażował się w działalność spiskową przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Według wszystkich badaczy biografii artysty, został on zadenuncjowany, a w trakcie rewizji, gdy znaleziono u niego obciążające go materiały, miał próbować ucieczki i strzelił do jednego z żandarmów, za co został skazany na karę śmierci. Wyrok ten zamieniono na 22 lata katorgi prawdopodobnie dlatego, że Sochaczewski nie był jeszcze pełnoletni. Miał zaledwie 19 lat, zaś pełnoletność liczyło się wówczas od 21 roku życia. Ułaskawienie przyszło, gdy ubrany w śmiertelną koszulę, z pętlą na szyi stał pod szubienicą, czekając na wykonanie wyroku. Jak później wspominał – w tłumie ujrzał zrozpaczoną twarz swego ojca, a po latach przyznał, że fakt jego obecności w chwili egzekucji był dla niego najdramatyczniejszym wydarzeniem w życiu<sup>6</sup>. Wtedy widzieli się po raz ostatni. Sochaczewski został natychmiast wysłany na Sybir. Jego podróż trwała półtora roku. Trafił do kopalni soli w Usolu w guberni irkuckiej.

Przeżycia zesłańca odcisnęły na nim piętno. Po powrocie zenił się dwukrotnie, ale obie żony go opuściły. Pierwsza z nich – Róża Lövenstein, z którą ślub wziął we Lwowie 23 listopada 1884 roku<sup>7</sup>, w listach do rodziny uskarżała się, że nie była w stanie znieść ciężkiego charakteru

współmałżonka, który urządził jej sceny zazdrości, a przede wszystkim w trakcie snu ulegał różnym lękom. Z listów wynika, że świeżo poślubiony mąż zrywał się w środku nocy z opętańczym krzykiem, chwycił za broń, a kiedy przychodziła świadomość, brał pędzel, zamykał się w pracowni i całymi godzinami malował. Bywało, że nie spożywał nawet posiłków<sup>8</sup>. Drugą żoną była Niemka, Maria Wurm<sup>9</sup>, ale i to małżeństwo nie prze-

nie w nazwisku, jakie przybrał artysta.

<sup>5</sup> „Kurier Warszawski” 1861, nr 147; za B. Petrozolin-Skowrońską, *Przed tą nocą*, Warszawa 1988, s. 105.

<sup>6</sup> W. Kordowicz, *Aleksander Sochaczewski 1839–1923. Pamiętnik malarski Aleksandra Sochaczewskiego o polskich i rosyjskich zesłańcach na Syberię*, Warszawa 1964, s. 8–9.

<sup>7</sup> Archiwum Akt Zaburzańskich, Warszawa USC Śródmieście, Nr ZB/927/121/1884/Lwów: „Aleksander Sochaczewski vel Sonder Lajb. Stanu wolnego, zawód artysta malarz, lat 41, ur. w Iłowie, zam. Tiimitz Niżna Austria, zawarł ślub z Lovenstein Różą vel Rozalią, stanu wolnego, lat 30, ur. w Lipno st. Miklos na Węgrzech, zam. Lwów ul. Ormiańska 2”.

<sup>8</sup> H. Boczek, *Aleksander Sochaczewski (1843–1923): życie i twórczość*, [w:] „Niepodległość i Pamięć” 2/1 (2), Warszawa 1995, s. 88.

<sup>9</sup> B. Pokorska, *Aleksander Sochaczewski i jego malarski reportaż z zesłania*, [w:] „Zesłaniec”, nr 43, 2010, s. 29.



Cela w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej.  
Ekspozycja.

trwało. Ze zrodzoną ze związku jedyną córką Annie Francé-Harrar (1886–1971), która została słynną austriacką biolożką i pisarką, ponoć nie miał zupełnie kontaktu<sup>10</sup>.

Bez wątpienia dramatyczne przejścia wpłynęły na umysł i stan ducha Sochaczewskiego, dla którego cierpienia w imię wolności narodu stały się obsesją. Zyskał nawet miano „malarza Syberii”, „kronikarza zesłań” i „malarza syberyjskiej katorgi”<sup>11</sup>. Jak napisała badaczka twórczości artysty, Anna Milewska-Młynik – „bez odpowiedniego komentarza, jego obrazy bywają czasem błędnie interpretowane. Skorygować ten obraz możemy głównie dzięki mało znanym nowelom napisanym przez Sochaczewskiego”<sup>12</sup>. Siedem opowiadań ukazało się w Niemczech w opracowaniu Richarda Scott’a<sup>13</sup>. W Polsce zostały opublikowane po raz pierwszy w „Kwartalniku Kresowym”<sup>14</sup>, w tłumaczeniu Barbary Siebat, dokonany zresztą jeszcze w 1983 roku na zlecenie Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego. Publikacja nosi tytuł *Na Syberii (nowele politycznego zesłańca)*. Żadna z nowelek napisanych przez malarza nie jest jego autobiografią, choć... niektóre z nich zawierają fragmenty odnoszące się do jego własnych przeżyć. Co ciekawe, a zwróciła już na to uwagę Anna Milewska-Młynik, w opowiadaniach „prawie brakuje opisów przyrody, choć tamtejsze warunki geoklimatyczne napawały grozą znaczną liczbę zesłańców. Należy tu jednak podkreślić, że Sochaczewski nie był pejzażystą. Zarówno w malarstwie, jak i w nowelach interesował go przede wszystkim człowiek. Przyroda jest jedynie kontekstem, w którym osadza on swoją opowieść”<sup>15</sup>. Sochaczewski ani w obrazach, ani w nowelkach, nie wartościuje postaci ze względu na narodowość czy pochodzenie społeczne. Żaden z bohaterów nowelek nie jest Polakiem. Ale zarówno portrety, jak i opowiadania pokazują, że dla artysty los zesłańca – człowieka zniszczonego przez system carskiej Rosji, jest odzwierciedleniem i symbolem losów wszystkich zesłańców. Opowieści o Polakach znajdziemy w zamieszczonym w katalogu wystawy z 1900 roku jego opisie do eksponowanych obrazów, w tym do *Pożegnania Europy*<sup>16</sup> – płótna będącego *opus magnum* artysty, czyli jego pracą dyplomową, wykonaną po czterech latach studiów na Akademii Monachijskiej – ale to nie literatura. Zresztą informacje o nich są szczątkowe. Z publikacji, w której ów opis znajduje się, możemy poznać przyczyny, dla których malarz nie wynosi nikogo z zesłańców ponad innych. W komentarzu do *Pożegnania Europy*, nazwanego w publikacji *Na granicy Syberii (wielki obraz)*, artysta napisał: „starałem się przedstawić rozmaite typy wygnańców w tej strasznej chwili. Są to skazańcy polityczni i zwykli zbrodniarze, starzy i młodzi mężczyźni i kobiety, różni wiekiem, pochodzeniem i stanowiskiem społecznym, złączeni przez ten sam niezmierny ucisk moralny”<sup>17</sup>.

<sup>10</sup> Helena Boczek w biografii artysty opublikowanej w napisanym do spółki z Beatą Meller wydaniu *Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz syberyjskiej katorgi: (życie, twórczość i dzieje kolekcji)*, Warszawa 1993, pisze jeszcze o synu Franzu Schmlöcku, ale w tym samym tekście pisze również, że małżeństwo miało jedno dziecko. Na dodatek stwierdza, że nie ma dowodów, aby dzieci nie były dziećmi tylko żony (H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz syberyjskiej katorgi: (życie, twórczość i dzieje kolekcji)*, Warszawa 1993), s. 29–30. Z kolei niemiecka Wikipedia w biografii Annie Francé-Harrar podaje Sochaczewskiego jako jej ojca.

<sup>11</sup> A. Milewska-Młynik, *Nowele syberyjskie – klucz...*, op. cit., s. 159.

<sup>12</sup> Ibidem, s. 160.

<sup>13</sup> A. Sochaczewski, *In Sibirien!: Novellen von e. polit. Verbannten*, Bearb. u. hrsg. von Richard Schott, Berlin 1906.

<sup>14</sup> A. Sochaczewski, *Na Syberii (nowele politycznego zesłańca)* cz. 1., [w:] „Kwartalnik Kresowy”, 2022, nr 3 (15), s. 167–198; A. Sochaczewski, *Na Syberii (nowele politycznego zesłańca)* cz. 2., [w:] „Kwartalnik Kresowy”, 2022, nr 4 (15), s. 149–174.

<sup>15</sup> A. Milewska-Młynik, *Nowele...*, op. cit., s. 160–161.

<sup>16</sup> *Sybir: wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Kraków 1900.

<sup>17</sup> Ibidem, s. 6.

282

Wielmożnemu Kom. Krakowi, wyplaty  
Szymonowi Sebku-Strakom  
w Krakowie.

Kraków, do mojego serca narodził się  
słonej Polki i tawar panowu o obrazach  
złoty dla wyjątkowego co wyjątkowego  
co Polki. Nieraz niekiedy do  
Kładowie wieloryg dzieł i zabiegów  
Krakowa, wiem przecież że w obywateli  
czarach synów swoich Polaków, gdy  
całkiem po ewentualnej drodze Kładowie  
nieumiejętnych laurówostawę gdzieś  
na kulachwie odbywamy umiatach  
i wielką część przyjmować aby im  
wzrostek swoich wewnątrz Spółnicy  
Kładowie wyznaczenia...

Wszakże nie dotychczas byłoby Comen-  
tarem, gdy niekiedy wzięty bieg okolic  
moje Kraków na resztę Krakowie

283

zjaw całego narodu, parsi edeje  
początek...

Oto i ja, zapomniany wygnaniec,  
sądzę że w pośród Was, w Krakowie  
Polak swoich uczuć patriotycznych  
ukrywać nie potrzebuje, kołatam  
do was Panowie, abyście mnie także  
odkrywali podwoje, lecz nie grobów  
ale wystawy waszej sztuk pięknych.  
Ja, u którego ongiś serce młode  
z radości drżało umrzeć śmiercią  
bohaterów za ojczyznę i dla ojczyzny  
teraz zaś po przebyciu długiej drogi  
męczeńskiej niewoli i wygnania  
chcę stanąć teraz przed moim  
narodem i chcę go przekonać, że  
jeszcze teraz jak ongiś wszystkie  
moje uczucia i myśli jemu  
wyłącznie się należą. Uczucia i  
myśli właśnie do płócien przykułem  
i w obrazy uwieczniłem

283

u was Panowie na widok publiczny  
wystawie i do pod tym jednym  
warunkiem że osoba porosła  
i dochadaw wystawy i polskości  
chodów jejże wystawy pojdzie  
Krakowie na 10 kity ludowe.

Oszczędną najrychlejszą odpowiedzi  
mam honor porosła i z wyrazem  
Szczególności

Aleksandra  
Sochaczewskiego

24 rue Villain XIV Bruxelles (Belgia)  
4. Lieldpada 1896 roku.

Dziękuję za przesłanie mi  
wzrostek swoich wewnątrz Spółnicy  
Kładowie wyznaczenia...

10/10 1896

List do Seweryna Böhma, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Krakowie z lat 1879–1899; Rękopis w Bibliotece Jagiellońskiej; Sygn. BJ Rkp. 6692 III

Z tej samej publikacji dowiadujemy się, dlaczego malarz nie poświęcił żadnej z nowelek Polakom. We wstępie napisał bowiem: „obawiam się, ażebym nie zaszkodził tem moim towarzyszom, którzy jeszcze żyją, lub też ich rodzinom, gdyż nasz nieszczęśliwy kraj nie jest dzisiaj w lepszym położeniu, jak przed laty czterdziestu, tak pod względem politycznym, jak i pod względem socyalnym”<sup>18</sup>.

Historycy od lat twierdzą, że wartość poznawcza obrazów Sochaczewskiego jest ponadczasowa, „ponieważ zarówno w przeszłości, jak i współcześnie uznaje się je za swoiste źródło historyczne o charakterze ikonograficzno-dokumentacyjnym”<sup>19</sup>. Sam Sochaczewski gorąco zabiegał o wystawienie obrazów na ziemiach polskich. Zachował się jego list do Seweryna Böhma, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie z lat 1879–1899, w którym artysta pisał:

Otóż i ja, zapomniany Wygnaniec, sądząc że w pośród Was, w Krakowie, Polak swoich uczuć patriotycznych ukrywać nie potrzebuje, kołatam do was panowie, abyście mnie także odkrywali podwoje, lecz nie grobów ale wystawy waszej sztuk pięknych. Ja, u którego ongiś serce młode z radości drżało umrzeć śmiercią bohaterów za ojczyznę i dla ojczyzny teraz zaś po przebyciu długiej drogi męczeńskiej niewoli i wygnania chcę stanąć teraz przed moim narodem i chcę go przekonać, że jeszcze teraz jak ongiś wszystkie moje uczucia i myśli jemu wyłącznie się należą. Uczucia i myśli właśnie do płócien przykułem i w obrazy uwieczniłem”<sup>20</sup>.

<sup>18</sup> Ibidem, s. 3–4.

<sup>19</sup> S. Artymowski, *Portret Heleny z Majewskich Kirkorowej, zesłanki syberyjskiej autorstwa Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Niepodległość i Pamięć” 23/1 (53), Warszawa 2016, s. 331–334.

<sup>20</sup> *Korespondencja Seweryna Böhma, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie z lat 1879–1899*, t. 5, Rękopis w Bibliotece Jagiellońskiej, s. 282–284.



Patetyczny w swoim tonie list pokazuje patriotyzm artysty, który zawsze czuł się przede wszystkim Polakiem.

Wystawa w Krakowie doszła do skutku w 1900 roku, a on sam w przedmowie do katalogu o portretowanych przez siebie osobach napisał m.in., że „spotkał [te osoby] ten sam smutny los i przebyły ze mną te same cierpienia”<sup>21</sup>. W wydanej trzy lata wcześniej w Brukseli broszurze zatytułowanej *Postacie zesłańców politycznych: zaczerpnięte z obrazu Aleksandra Sochaczewskiego: zesłańcy na granicy* zamieścił notatki o 25 postaciach sportretowanych na *Pożegnaniu Europy*. Trudno jednak ustalić pozostałe osoby, których na przeszło 120 obrazach z kolekcji Muzeum Niepodległości jest bardzo dużo, zaś nowelki *Na Syberii* dotyczą przecież tylko Rosjan. Dlatego warto pamiętać, że postaci uwiecznione na obrazach to po prostu reprezentanci wszystkich zesłańców, aczkolwiek twarzy użyczyły im konkretne osoby.

*Pożegnanie Europy*<sup>22</sup>, czyli największy obraz Sochaczewskiego – zwany zresztą przez niego w katalogu z 1900 roku *Na granicy Syberii*, czemu towarzyszy umieszczona w nawiasie informacja *Wielki obraz* – to najsłynniejsza praca artysty, reprodukowana w perełowskich podręcznikach do historii. Scena przedstawia odpoczynek grupy zesłańców przy obelisku, postawionym na granicy między dwoma kontynentami w miejscowości Rieszoty, w Kraju Krasnojarskim, w obwodzie swierdłowskim. Obecnie stojący tam obelisk wygląda wprawdzie zupełnie inaczej, ale pełni tę samą rolę, czyli wyznacza granicę między Europą i Azją. Ten pierwotny – uwieczniony przez Sochaczewskiego, postawiono w tym miejscu w 1835 roku w celu upamiętnienia odpoczynku carewicza Aleksandra. Sochaczewski nazwał słupek „kamieniem grobowym nadziei”<sup>23</sup>, gdyż tu kończyła się szansa na uzyskanie carskiego ułaskawienia. Przy uważnym spojrzeniu na obraz widzimy, że obelisk wyraźnie dzieli płótno na dwie części. Po lewej stronie – Europa, gdzie w oddali widać jeszcze sylwetki cywilizacji w postaci zabudowań, a po prawej Azja – z pustkowiem, które zapowiada długą drogę do celu. Na obrazie malarz uwiecznił ponad 100 osób różnego stanu i narodowości, które spotkał podczas swojego, przeszło dwudziestoletniego pobytu na Syberii, przy czym po prawej namalowani zostali ci, z którymi się zaprzyjaźnił. Cała scena jest jednak symboliczna. Przedstawione osoby nie były ani w jednym transporcie, ani nie odbywały zesłania w tych samych latach. W namalowanej scenie artysta pokazał zesłańców o różnych losach, z których wprawdzie większość stanowili pospolici kryminaliści, a także chłopci zbuntowani przeciwko tyranii obszarników, ale kara na jaką byli skazywani, a tym samym ich zesłańczy los były podobne do losu skazańców politycznych, stanowiących około 10% wszystkich zesłańców. Przez granicę na Uralu szli więc ramię w ramię polscy patrioci i gwałciciele czy zwykli bandyci. Z transportu trudno było uciec. Po pierwsze, zesłańcom naszywano na odzieży znaki z miejscem przeznaczenia, w którym mieli odbywać karę. Widać to na obrazie na plecach wielu z nich, także na autoportrecie artysty, który namalował siebie jako młodego chłopaka patrzącego na obelisk, stojącego tyłem do widza z niewielką torebką przewieszoną przez ramię. Po drugie, wielu z nich tatuowano twarze. Złodzieje mieli więc szpilkami zanurzonymi w atramencie i wbitymi w twarz wytatuowane na policzkach i czole litery WOR, zaś katorżnicy KAT. Fragmenty tatuaży widać na twarzach kilku portretowanych postaci. Po trzecie, aż do lat 60. XIX

<sup>21</sup> *Sybir: wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Lwów 1900, s. 3–4.

<sup>22</sup> Znany też pod tytułami: *Na śnieżnej drodze* oraz *Zesłańcy na granicy Syberii*.

<sup>23</sup> *Ibidem*, s. 6.



*Autoportret z paletą*

ok. 1890–1910; Własność Muzeum Narodowe w Warszawie.

Nr inw. MNW 2410/Ic/72



wieku wielu z nich golono brody i wąsy do połowy twarzy – widać to u namalowanej na obrazie po lewej stronie postaci, której stojący obok strażnik zdaje się złorzeczyć. Jakże podobne to do znanych z kanonu ikonografii chrześcijańskiej scen męki Pańskiej, pokazujących naigrzanie się z Jezusa. Wreszcie po czwarte, najbardziej niebezpiecznym nakładano kajdany, co utrudniało podróż, ale zupełnie uniemożliwiało ucieczkę. Pamiętać bowiem należy, że kajdany zakuwał i rozkuwał kowal.

Sochaczewski był ateistą, ale religia, a właściwie może bardziej wiara, była częścią życia zesłańców, a on chciał udokumentować ich życie. Stąd na płótnie przedstawione są postaci modlących się, jak np. „po stronie europejskiej” obelisku kobieta w chustce, czy znajdujące się już po azjatyckiej stronie – zaprzyjaźniona z Sochaczewskim Łagowska bądź Gudzińska, której w drodze na zesłanie towarzyszy pies.

Czy scena na przodzie obrazu jest sceną spowiedzi? Czy tylko modlitwy? Na pewno klęczący mężczyzna z ogoloną do połowy głową i wytatuowanym na twarzy słowem KAT, to ksiądz Kulczycki. Czy spowiada tego, który kryje twarz w dłoni? Nad tym do dziś zastanawiają się zarówno badacze, jak i widzowie, ale ponieważ rozstrzygnąć tego nie sposób, pytanie pozostanie zapewne już na zawsze otwarte.

Zesłańcy szli z dobytkiem, który mógł im przydać się po drodze, czyli na każdym etapie wędrówki, trwającej czasem nawet dwa lata. Stąd na pierwszym planie koc bądź derka, do których przytroczone jest wiadro. Stąd czajnik przy pasku klęczącego na pierwszym planie mężczyzny. Widać go też i u tego, któremu złorzeczy strażnik.

Cała grupa otoczona jest przez strażników. Jeden z nich, namalowany w prawej części obrazu po azjatyckiej stronie, siedzi na koniu, którego głowa skierowana jest ku Azji, a postawa jeźdźca zdaje się popędzać wszystkich, by ruszali w dalszą drogę. Zwłaszcza, że z lewej strony widać nadciągające już specjalne wozy, tzw. telegi z tymi, którzy nie mogą iść o własnych siłach. Te z kolei, popędza drugi strażnik znajdujący się, podobnie jak wozy – po stronie europejskiej.

Anna Gudzińska (1841–1866), właścicielka piwiarni na Starym Mieście pomagała w ujęciu rosyjskiego szpiega i za to została skazana na dożywotnią katorgę do Usola. Sochaczewski pisał o niej w brukselskiej broszurce, że „źle odżywiona, źle ubrana, narażona na trudy straszego syberyjskiego klimatu, zachorowała. Zabrana do szpitala dla skazańców, wkrótce zmarła w kwiecie wieku, zachowując do ostatniego tchnienia swą szlachetną stałość i wielką stanowczość”<sup>24</sup>. Jest bohaterką kilku obrazów artysty, w tym sporych rozmiarów płótna, przedstawiającego tę młodą kobietę, piorącą worki z solą w wodach Angary, a zatytułowanego *Gudzińska nad przerebłą (Z życia wygnańców na Sybir)*<sup>25</sup>. W namalowanej scenie, w oczy rzuca się niemal błagalne spojrzenie kobiety, w kierunku której zbliża się mężczyzna ze szpicrutą. Widać, że jest gotów ją uderzyć, jeśli ona nie zabierze się do pracy i natychmiast nie zanurzy dłoni w przerebli. Za przerywanie pracy groziła bowiem kara chłosty. Ten strażnik to Czerkies Asanka. Czerkiesi już w Warszawie budzili grozę, co znalazło odzwierciedlenie w słynnym obrazie Wojciecha Kossaka, którego tytuł brzmi *Z mojego dzieciństwa. Szarża Czerkiesów na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie*. Ten konkretny Czerkies to kryminalista. W drodze do katorgi bardzo często rolę strażni-

<sup>24</sup> A. Sochaczewski, *Figures d'exilés politiques: extraites du tableau d'Alexandre Sochaczewski: les exilés à la frontière de Sibérie*, Bruxelles 1897, s. 4 [tłumaczenie własne].

<sup>25</sup> Obraz znany jest też pod tytułami: *Pani Gudzińska, obywatelka z Warszawy, nad przerebłą* albo *Śnieżny dzień pełen mgły* czy po prostu *Pani Gudzińska*.





Kajdany więźnia, XIX wiek;  
Nr inw. E14950

*Kajdany więźnia z dzbanem*. Skazana wsparta na ręce, siedzi przy stole, na którym stoi dzban – zapewne z wodą i leży kawałek chleba – być może już czerstwego. Wzrok ma utkwiony gdzieś w przestrzeń, co sugeruje, że jest jakby nieobecna. Nie patrzy na widza. Jej spojrzenie jakby przechodzi przez niego. Zawarte w tytule słowo „skazana” sugeruje, że może właśnie robi rachunek sumienia.

Najbardziej wstrząsającym obrazem przedstawiającym warszawską karczmarę, jest ten zatytułowany *Śmierć Gudzińskiej*. Ta 25-letnia kobieta zmarła 12 kwietnia 1866 roku na płuca<sup>26</sup>. Na tym obrazie widać talent Sochaczewskiego, który namalował śmierć. Oczy Gudzińskiej są martwe, dlatego twarz młodej kobiety działa na widza przygnębiająco. Artysta skromnymi środkami wyrazu przedstawił postać, z której uchodzi życie.

Nie mniej przejmujące są dwa obrazy, które można traktować jak dyptyk. Pierwszy z nich to *W drodze do katorgi. Poranek w kopalni*<sup>27</sup>, a drugi zatytułowany *Zakuwanie w kajdany*<sup>28</sup>. W tych dwóch przedstawieniach zawiera się los zesłańca, który pracuje od świtu do wieczora. Sochaczewski, tak jak na *Pożegnaniu Europy* również i tu przedstawił konkretne osoby, politycznych zesłańców – przeważnie powstańców styczniowych. Na płótnie *Poranek* widnieją: Józef Kalinowski (1835–1907) – naczelnik w Wydziale Wojny Litewskiego Rządu Narodowego, redaktor Hamelski, Tomasz Ilnicki (1813–1866) – główny kasjer Rządu Narodowego, Jakub Gieysztor (1827–1897) – w czasie Powstania Styczniowego prezes zarządzający prowincjami Litwy i ksiądz Lucjan Godlewski, który został zesłany za pomoc udzielaną powstańcom w czasie Wiosny Ludów, a po amnestii został w Irkucku. Przedstawiony tu żołnierz z karabinem, także jest skazańcem – stąd jego smutne spojrzenie, pełne litości.

Na obrazie *Wieczór* artysta przede wszystkim przedstawił siebie z nogą na kowadło. Skazańców zakuwano na noc, by nie mogli zbiec. Od kajdan „uratować” mogła ich tylko zawieja, która także uniemożliwiała ucieczkę, gdyż groziło to zamarznąciem. Nie oznacza to jednak, że takich prób nie było. Mówią o tym inne obrazy Sochaczewskiego, jak np. układające się w tryptyk, a opowiadające historię rodziców z dzieckiem. *Odpooczynek zbiegłych* pokazuje, jak bohaterowie odpoczywają pod sągami drewna, *Ucieczka więźniów / Ofiary kruków* przedstawia kolejny etap ucieczki – tym razem pod słupem gra-

<sup>26</sup> Helena Boczek i Beata Meller w katalogu do albumu *Aleksander Sochaczewski (1843–1923) malarz syberyjskiej katorgi* na str. 46 piszą o zapaleniu płuc, a na str. 59, że zaziębiła się i nabawiła się gruźlicy.

<sup>27</sup> Znany także jako *Jutrznia* lub *Ranek*.

<sup>28</sup> Sam artysta nadał mu kilka innych tytułów: *Zachód słońca* albo *Wieczór w kopalniach* lub po prostu *Wieczór*.

ków pełnili inni skazańcy – przeważnie kryminaliści.

Gudzińska jest również na obrazie zatytułowanym *Gudzińska w więzieniu*, przedstawiającym młodą kobietę siedzącą na ławie i wspartą na łokciu. Nienaturalna, raczej niewygodna poza w której tkwi, sugeruje zamyślenie. Być może nad przyszłością, w której istnienie trudno uwierzyć w jej położeniu. Być może Gudzińska jest też na obrazie *Skazana na szubienicę / Studium kobiety z dzbanem*.

nicznym. Stado kruków już nad nimi krąży. Wreszcie *Śmierć brodiażki* (tak nazywano ludzi brodzących w śniegu) przedstawia scenę, w której matka już umarła. Widzimy krzyż z kijka, wetknięty w jej sztywne ręce i ojca z dzieckiem w ramionach, brnącego dalej. Kruki już nadciągają... Sochaczewski po mistrzowsku odmalował zamieć. Być może wynika to z faktu, że w ciągu przeszło 20 lat pobytu na Syberii widział ją wiele razy. W równie



Kajdany więźnia, XIX wiek;  
Nr inw. E9579

mistrzowski sposób namalował obraz *Wierny towarzysz*, znany dziś jako *Wśród śnieżnej zamieci*. Przedstawia on trupa zesłańca, koło którego siedzi i wyje do księżyca pies – tytułowy wierny towarzysz. Poświata księżyca, na tle której widać rozwartą pysk psa, potęguje wrażenie grozy i samotności zwierzęcia, które pozbawione opieki człowieka pewnie za jakiś czas samo padnie z głodu, choć teraz jego serce rozrywa tęsknota. Ile takich scen widział autor? O ilu takich historiach słyszał od współtowarzyszy niedoli?

Nie mniej przejmujący jest niewielki (35 x 52 cm) obraz *Ostatnia taczka Cajżyka*, który być może stanowi jedną z prób kompozycyjnych przed namalowaniem słynnego i dość sporego (81 x 128 cm) płótna *Śmierć na taczce*. Skazańcy byli przykuwani do taczki jedną ręką, by drugą mogli ładować na nią towar. Taczka była wierną towarzyszką ich życia, gdyż odkuwano ich rzadko. W tle mniejszego z obrazów widać niewielką postać innego zesłańca z taczką. Obraz większy, według samego Sochaczewskiego, przedstawia zamożnego powstańca z Ukrainy, który jak napisał artysta, został „wyzwolony przez śmierć litościwą”. Interesującym wydaje się fakt, że prawa ręka mężczyzny została przykuta do taczki. Czy to błąd malarza? Czy też oznacza, że katorżnik był leworęczny i syberyjscy oprawcy to uwzględnili? Przecież jeszcze w pierwszej połowie XX wieku leworęczności starano się oduczać. Jest to też jeden z niewielu obrazów Sochaczewskiego, na którym nie ma śniegu.

Taczka jest również na obrazie pochodzącym z najbardziej wstrząsającego cyklu, którego dramatyczną wymowę uwypukla technika. Są to bowiem prace narysowane węglem na zagruntowanym płótnie i utrwalone werniksem. Tworzą one opowieść o losach zesłańców w czasie etapów, a także o stosowanych wobec nich karach cielesnych. Wspomniany obraz z taczką, nosi tytuł *Więźniowie przy pracy* i przedstawia skazańców noszących sól na nosilkach, ale w tle z prawej strony widać leżącego na taczce omdlałego mężczyznę, którego współtowarzysze niedoli starają się ocucić. *Kara słupa* pokazuje, jak karano np. za próbę ucieczki. Ukaraný stoi przywiązany do słupa, z tabliczką zawieszoną na piersi, na której wypisano jego przewinienia. Mężczyzna dodatkowo ukarany został ogoleniem połowy głowy. Czy kobieta z dziećmi stojąca po prawej stronie, to jego rodzina towarzysząca mu na zesłaniu?

Obraz pt. *Kara knuta*<sup>29</sup> pokazuje, jak jeszcze karano skazańców za próbę ucieczki lub niesubordynację. Knut, wyraz zapożyczony z języka rosyjskiego, to rodzaj bata składającego się czasem z kilku rzemieni przyczepionych do drewnianej rękojeści. Każdy z rze-

<sup>29</sup> Inny tytuł to *Kara chłosty*.

mieni był zakończony metalową pętlą lub trójkątem, których ostre końcówki wyszarpywały rany na ciele skazanego. Przeważnie karę wykonywali kryminaliści.

Po zakończeniu kary chłosty<sup>30</sup> i Kara pałek<sup>31</sup> stanowią dopełnienie dwóch poprzednich obrazów i pokazują, że kary cielesne stosowane przez carski reżim były coraz bardziej wymyślne, a także okrutne. Obraz *Po zakończeniu kary chłosty* pokazuje omdlałego skazańca, który właśnie uzyskał zmianę kary. Przywiózł ją posłaniec na koniu. Chłosta polegała na przeciąganiu sanek (bądź wozu) ze skazańcem przez dwa rzędy żołnierzy. Bity otrzymywał tyle razów, ile wynosił wyrok. Jeśli w trakcie zmarł, to chłostano trupa. Tu widać ciała ofiar, które kary nie przeżyły oraz szpaler wojska, pomiędzy którym dopiero co przejechały sanie ze skazańcem.

Dwie sceny więzienne, czyli *Scena więzienna*<sup>32</sup> oraz *Spisany ze stanu* pokazują losy skazańców na etapie. Na pierwszym z obrazów, w baraku, w którym pod jedną ścianą pokotem leżą mężczyźni, a pod drugą kobiety, na środku, przy stole siedzi zakuty w kajdany mężczyzna, którego lekarz czymś smaruje. Prawdopodobnie spirytusem, choć niektórzy odbierają tę scenę jako przygotowanie do golenia. Wyraz twarzy leżących współtowarzyszy niedoli wskazuje, że los mężczyzny jest im właściwie obojętny. Na drugim z obrazów urzędnik odnotowuje zgon mężczyzny, a kowal z młotem za chwilę zdejmie mu kajdany. Przydadzą się następnym skazańcom.

Obraz *Na Sybir*<sup>33</sup> przedstawia, jak kolejni katorżnicy nadciągają niekończącym się szeregiem, sięgającym aż po horyzont. Nie wszyscy chcą iść dalej. *Scena z życia wygnańców* pokazuje konwój gotowy do dalszej podróży i katorżnika, który nie chce do niego dołączyć. Jeden ze strażników wygraża mu pięścią. A *Wśród burzy*<sup>34</sup> przedstawia kulących się skazańców, których zamieć zastała w czasie wędrówki. Kozacy próbują zmusić ich do dalszej drogi, gdyż postój grozi śmiercią. Tymczasem zesańcy, zgromadzeni w niewielkich grupkach, starają się nawzajem ogrzać.



Kuźnia w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Ekspozycja.

Użyta do stworzenia tych obrazów technika, czyli węgiel na białym płótnie utrwalony jedynie werniksem, który w kilku miejscach zżółkł, powoduje, że te monochromatyczne obrazy sprawiają wrażenie czarno-białych fotografii. A co za tym idzie, jeszcze bardziej wydają się dokumentem, a nie malarstwem. Być może zresztą są to szkice czegoś, co artysta planował namalować, ale z przyczyn finansowych nie zdążył. Nie wiemy bowiem, dlaczego użył

<sup>30</sup> Inny tytuł to *Scena tortur*.

<sup>31</sup> Inny tytuł to *Kara chłosty*.

<sup>32</sup> Inne tytuły to *Scena w baraku* lub *Życie na zesłaniu*.

<sup>33</sup> Inny tytuł to *Pochód katorżników*.

<sup>34</sup> Inny tytuł to *Na etapie w czasie śnieżyicy*.



węgla, a nie np. czarnej farby? Ponadto, akurat te prace zawierają błędy rysunkowe, na co już zwróciła uwagę Barbara Pokorska – pierwsza badaczka twórczości artysty<sup>35</sup>.

Jedynym obrazem wprowadzającym powiew nadziei jest *List z kraju*<sup>36</sup>, przedstawiający kobietę czytającą list i mężczyznę patrzącego jej przez ramię na kartkę zapisaną drobnym piśmem. Listy były dla skazańców łącznikiem z rodziną i przeszłością. Czytano je wielokrotnie, często na głos, poznanym na zesłaniu przyjaciółom, którzy nadawców znali przecież tylko z opowieści. Listy przechowywano jak relikwie. Szły one długo i często przekazane w nich informacje, po dotarciu do adresata były już nieaktualne. Sochaczewski wspaniale odmalował napięcie widoczne na twarzy mężczyzny.

Jest jeszcze drugi obraz o tym samym tytule, ale nie ma w nim tej radości, którą widzimy na obrazie z czytającą kobietą. Ten drugi, noszący czasem tytuł *Pierwszy list z kraju*, to właściwie portret mężczyzny z listem w ręku. Być może jest to portret profesora Juliana Kędrzyckiego<sup>37</sup> (1827–1889), który podobnie jak Sochaczewski odbywał karę zesłania w Usolu. Portret jest tak smutny, jak właściwie wszystkie portrety zesłańców pędzła Sochaczewskiego, wśród których jest też przedstawiający Helenę Kirkorową (1828–1900), agentkę i kurierkę Rządu Narodowego podczas Powstania Styczniowego, współpracownicę Romualda Traugutta. Portrety pokazują skazańców w czasie odpoczynku, przeważnie wykończonych katorżniczą pracą. Ich twarze są smutne i pozbawione nadziei. Tak samo smutny jest *Portret zesłańca*, który Muzeum Niepodległości zakupiło do swoich zbiorów na aukcji w Belgii, pod koniec 2022 roku. Portret przedstawia starszego, łysiejącego mężczyznę, z wysokim czołem. Postać jest pokazana do ramion, twarz w ujęciu *en trois quarts* bez atrybutów i na neutralnym, ciemnym tle. Malarz rozjaśnił partię głowy – w szczególności czoła, na którym skupiło się nie tylko światło, ale przede wszystkim uwaga widza. Tego, kim jest sportretowana postać, nie dowiemy się pewnie nigdy. Pewne jest jednak, że mamy do czynienia z portretem zesłańca, nawet nie dlatego, że pod takim tytułem obraz znalazł się na aukcji, a przede wszystkim dlatego, że artystę nie interesowały inne postaci niż zesłańcy. Drugim powodem, dla którego nie można interpretować portretowanego jako kogoś innego niż zesłańca, jest... sam portret. Pokazany na nim mężczyzna nie wygląda na zamawiającego portret mieszczanina z Brukseli, bo któż chciałby na zamó-



Ekspozycja w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Taczka zrekonstruowana na podstawie obrazu Aleksandra Sochaczewskiego *Śmierć na taczce*.

<sup>35</sup> B. Pokorska, *Aleksander Sochaczewski i jego malarski reportaż z zesłania*, [w:] „Zesłaniec”, nr 43, 2010, s. 29.

<sup>36</sup> Inny tytuł to *Czytanie listu z kraju*.

<sup>37</sup> H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz syberyjskiej katorgi: (życie, twórczość i dzieje kolekcji)*, Warszawa 1993, s. 62.

wionym i opłaconym z własnych pieniędzy portrecie wyglądać tak, jak mężczyzna namalowany przez Sochaczewskiego? Widzimy tu przecież człowieka smutnego i zmęczonego życiem. Portretowany ma pooraną zmarszczkami i bruzdami twarz oraz przerzedzoną czuprynę, zaczesaną z boków na wysokie, wyłysiałe czoło. Te resztki włosów wyglądają na niemyte, choć oczywiście mogą być posmarowane pomadą, popularnym w XIX wieku kosmetykiem, używanym przez mężczyzn



Cela w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Ekspozycja.

do ułożenia fryzury. Jednak portretowany nie wygląda tak, jakby używał jakichkolwiek środków pielęgnacyjnych. Widzimy portret człowieka z niedogoloną twarzą, zapadniętymi policzkami, rudawymi, miejscami posiwiałymi wąsami. Smutne spojrzenie utkwione jest gdzieś daleko, jakby myśli mężczyzny krążyły wokół innych spraw niż te, które go otaczają, sugerując tym samym, że portretowany zanurzony jest w niezbyt miłych wspomnieniach. W całości, przy tym wyrazie twarzy i oczach, w których malują się nie tylko smutek, ale również obojętność i rezygnacja, portretowany nie wygląda atrakcyjnie. Realizm i naturalizm portretu wskazują więc na zesłańca, a to oznacza, że mamy do czynienia z kolejnym portretem nawiązującym do tematów syberyjskich.

Jedynym „wesołym” portretem jest skradziony w 1998 roku z ekspozycji w X Pawilonie obraz zatytułowany *Opowiadanie wesołej historyjki*<sup>38</sup>, przedstawiający śmiejącego się mężczyznę. Możliwe jednak, że jego wesołość jest pozorna. Być może przedstawiony na nim skazaniec, jest po prostu obłąkany. Wielu katorżników popadało w obłąd, a i o Sochaczewskim pierwsza żona, Róża z Lewensteinów mówiła, że podczas snu zrywa się z opętańczym krzykiem. On sam zresztą, jak napisała Helena Boczek w biografii artysty, zwierzał się przyjaciółom, że „ciągnąca się latami beznadziejna samotność, bezradność wobec zła i przemocy, oraz związany z tym nieustępliwy strach, uczyniły w jego psychice nieobliczalne spustoszenia”<sup>39</sup>.

Sochaczewski, o czym wiadomo z licznych artykułów, w których napisano, że po powrocie z zesłania rzadko malował coś innego niż syberyjskie tematy, Syberią, która zabrała mu młodość, po prostu żył. Aleksander Czołowski (1865–1944) – polski historyk, antykwariusz, archiwista, dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Lwowa i Muzeum Narodowego we Lwowie, w zbiorze materiałów do biografii różnych osób, którego maszynopis znajduje się w Dziale Rękopisów w Bibliotece Narodowej, napisał o Sochaczewskim, że w „obrazach, wykończonych szkicach i studiach fragmentarycznych większych kompozycji złożył swe własne przeżycia, których był naocznym świadkiem a odtworzył je wiernie jako prawdziwe i z rzeczywistego wydarzenia wzięte, a przytem każdy typ jest prawie zawsze portretem pewnej osobistości. Wszystko tworzy zatem w całości i części pierw-

<sup>38</sup> Inne tytuły to *Portret starca* oraz *Portret katorżnika*.

<sup>39</sup> H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz...*, op. cit., s. 28.

szorędny dokument historycznego zdarzenia”<sup>40</sup>. Stwierdzenie, że „każdy typ jest prawie zawsze portretem pewnej osobistości” jasno wskazuje, że Sochaczewski raczej nie malował innych postaci, choć dziś nie znamy nazwisk większości z nich. We wspomnianym już dokumencie Czołowski napisał również o udziale Sochaczewskiego w przygotowaniach wielkiej wystawy we Lwowie w 1913 roku, z okazji 50. rocznicy Powstania Styczniowego:

Pod osobistym kierownictwem artysty rozmieszczone jego dzieła w głównym przedsionku i bocznej sali (...) niżej podpisany i kilku innych miało sposobność przy skromnym odpoczynku słuchać ciekawych opowiadań o tym legendarnym kraju i o przejściach dwudziestoletniego wygnania z ust samego uczestnika. Smutne wtedy w naszym umyśle powstawały obrazy z żywą plastyką, słowa wypowiedziane a następnie widokiem samych obrazów potęgowane. Przeszło tydzień trwające prace nad urządzeniem wystawy dawały codzienną możliwość powtarzania i uzupełniania wspomnień Sochaczewskiego. Opowiadał o wielu osobistościach które wybitne brały udział w narodowej sprawie, o wielu współtowarzyszach niedoli, wtrącał w tok rozmowy rozmaite historie mające związek z ludźmi, z wypadkami lub o miejscach gdzie przebywał i jakie odnosił wrażenie, objaśniał fakta i charakteryzował ludzi, których dobrze znał i z którymi dzielił losy wygnania. Te wszystkie nader ciekawe opowiadania na długie lata pozostaną w pamięci członków komitetu wystawy<sup>41</sup>.

Sochaczewski, który w 1900 roku pisał przecież, że „data tych wypadków jest jeszcze zbyt świeżą, ażebym mógł być kreślić biografię mych przyjaciół i towarzyszków niedoli (...) obawiam się ażebym nie zaszkodził tym moim towarzyszom, którzy jeszcze żyją, lub też ich rodzinom, gdyż nasz nieszczęśliwy kraj nie jest dzisiaj w lepszym położeniu”<sup>42</sup>, zmarł w wolnej Polsce. Jednak ani nie rozbudował swoich opowiadań, ani nie zostawił wspomnień, w których znalazłyby się historie, o których wspomina Czołowski. Dlatego musimy zadowolić się tym, co mamy: obrazami artysty, opowiadaniem i opisami, które stworzył w katalogach wystaw zorganizowanych za swojego życia. To i tak sporo.



Kajdany na ręce i nogi.  
Ekspozycja w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

W trakcie pobytu Sochaczewskiego na Syberii, europejskie malarstwo szukało nowych dróg i znajdowało je. W 1874 roku na wystawie w Paryżu Claude Monet wystawił obraz *Impresja. Wschód słońca*, od którego nazwę wziął impresjonizm. W latach 1880–1886 Arnold Böcklin namalował pięć wersji *Wyspy umarłych* – obrazu uważanego za jeden z ważniejszych dzieł symbolizmu, którego przedstawicielem w sztuce polskiej, już w latach

<sup>40</sup> A. Czołowski, *Zbiór materiałów do biografii różnych osób*, Biblioteka Narodowa, Rękopis, Rps 5701 IV, s. 29.

<sup>41</sup> Ibidem, s. 31.

<sup>42</sup> *Sybir: wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Kraków 1900, s. 3.



80. XIX wieku staje się m.in. Jacek Malczewski malując *Melancholię* i *Błędne koło*. Sochaczewski z pewnością poznał jego twórczość, a jednak... w swoim malarstwie szedł utartym szlakiem realizmu, od którego Malczewski już odszedł. O znajomości obrazów Malczewskiego świadczy jedyny symboliczny obraz Sochaczewskiego, zatytułowany *Apo-teoza Polski zakutej w kajdany*, który artysta namalował w 1904 roku po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, kiedy w Polakach znów budziła się nadzieja na odzyskanie niepodległości. Ojczyzna została przez malarza przedstawiona jako kobieta w kajdanach. Za nią sztandar z orłem, na tle którego stoją starzec katorżnik i młodzieniec z mieczem w ręku. Ten ostatni patrzy z nadzieją w dal, jakby widział nadchodzącą już wolność. W tle na wzgórzu, krzyż symbolizujący mogiłę powstańców, pod krzyżem rodzina. A na śniegu trzy kruki – trzech zaborcy. Czy nadchodzący świt ich przegoni? Obraz stanowi jednak wyjątek w twórczości artysty malującego realistyczne obrazy, co wynika z faktu, że Sochaczewski miał konkretny cel. Wierzył, że ma do spełnienia misję, która winna poruszyć serca i umysły świata oraz uczulić ten świat na sprawę polską.

We wspomnianej już, a towarzyszącej zagranicznym wystawom książce, zatytułowanej *Postacie zesłańców politycznych: zaczerpnięte z obrazu Aleksandra Sochaczewskiego: zesłańcy na granicy syberyjskiej*<sup>43</sup> pisał: „Zaraz po aresztowaniu, w więzieniu, a nawet później, myślałem, że najlepszym sposobem służenia sprawie cywilizacji nie będzie niepotrzebne umieranie w desperackiej walce, ale poświęcenie życia dziełu, które odślania przed cywilizowanym światem część cierpienia znoszonego przez miłość [do kraju] narodu, który nie chce umrzeć”<sup>44</sup>. Dlatego interesował go temat, a nie forma. Zresztą... w czasach, gdy fotografia nie była aż tak rozpowszechniona jak dziś, to dzięki realistycznym obrazom Sochaczewskiego nie tylko Europa końca XIX wieku, ale i my poznajemy okrucieństwo carskiego reżimu.

Malujący w latach 30. *Guernicę* Pablo Picasso mógł sobie pozwolić na kubistyczne ujęcie dramatu, stanowi ono bowiem uzupełnienie licznych fotografii. Sochaczewski w swojej sztuce sybirackiej jest jedyny, gdyż z katorżniczego życia polskich zesłańców politycznych nie zachowały się zdjęcia dokumentujące ich katorgę. A ponieważ artysta malował to, co przeżył i czego był świadkiem, mamy do czynienia z czymś, co dziś przekazują światu reporterzy. Oni jednak mają do dyspozycji aparaty fotograficzne i kamery. Sochaczewski miał pędzel, węgiel i świetną, by nie powiedzieć genialną, fotograficzną pamięć. To dzięki jego talentom poznajemy los zesłańców.

**Małgorzata Karolina Piekarska**

43 Oryginalny tytuł: *Figures d'exilés politiques: extraites du tableau d'Alexandre Sochaczewski : les exilés à la frontière de Sibérie.*

44 A. Sochaczewski, *Figures d'exilés politiques: extradites...*, op. cit., s. 26 [tłumaczenie własne].

## Nowele syberyjskie – klucz do poznania Aleksandra Sochaczewskiego

Gdyby los był bardziej łaskawy i nie rzucił Sochaczewskiego na Syberię, zapewne nie zająłby on aż tak ważnej pozycji w naszej historiografii. Bowiem jego rola, jako malarza zesłań była niejednoznaczna. Z jednej strony miał solidne akademickie wykształcenie i zostawił po sobie ponad 120 płócien stanowiących unikalną dokumentację losów zesłańców, z drugiej – trudno nie dostrzec w nim propagatora czarnej legendy Sybiru. Chyba zawsze był człowiekiem skomplikowanym, raczej zamkniętym w sobie, dość drażliwym, co utrudniało mu pełną adaptację w środowisku, w którym przebywał. Wacław Lasocki skwitował jego postawę słowami: „Jako poczynający malarz okazywał duże zdolności, które wszakże przewyższała niezmierna zarozumiałość”<sup>1</sup>. Lasocki zapewne miał rację, ale nic nie dzieje się bez przyczyny.

Zacznijmy jednak od początku. Aleksander Sochaczewski urodził się 3 maja 1843 roku w Iłowie i nazywał się wówczas Sonder Lejb. Jako jedyne dziecko posługującego w bóżnicy szamesa, zgodnie z jego wolą został oddany do Warszawskiej Szkoły Rabinów. Jej dyrektorem był Jakub Tudendhold, który kładł nacisk na asymilację uczniów. Być może tolerancja religijna panująca w szkole, otwartość na obce wpływy kulturowe miały jakiś wpływ, że syn bogobojnych Żydów zaangażował się później w walkę narodowyzwoleńczą Polaków. Wbrew woli ojca nie został rabinem, lecz przeniósł się do Szkoły Sztuk Pięknych przyjmując nazwisko Aleksander Sochaczewski. Wkrótce zaangażował się w spisek przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Według kartoteki więźniów znajdującej się w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej przystąpił do kółka Edwarda Kaplińskiego, reprezentującego radykalne ugrupowanie Czerwonych. W jego mieszkaniu mieścił się skład broni, ulotek, szkice wykonane podczas egzekucji skazanych i odbywały się tajne spotkania spiskowców. Jednak po donosie chłopów, żandarmi wkrótce wpadli na jego trop. Sochaczewski, próbując nieudanej ucieczki, strzelił do jednego z nich i go zranił. Za ten czyn został skazany na najwyższy wymiar kary – śmierć przez powieszenie. W ostatniej chwili gdy pod szubienicą założono mu śmiertelną koszulę i pętlę na szyję, pojawił się posłaniec, który przywiózł ze sobą złagodzenie kary przez Wielkiego Księcia Konstantego. Zamiast szubienicy, na progu dorosłego życia, otrzymał wyrok 22 lat ciężkiej katorgi. Wydaje się jednak, że dramatyczne przejścia zawładnęły umysłem Sochaczewskiego, który już nigdy nie uwolnił się od obsesji cierpienia w imię wolności narodu. Dzięki temu zyskał miano „malarza Syberii”, „kronikarza zesłań”, „malarza syberyjskiej katorgi”, jednak bez odpowiedniego komentarza, jego obrazy bywają czasem błędnie interpretowane. Skorygować ten obraz możemy głównie dzięki mało znanym nowelom napisanym przez Sochaczewskiego. Zbiorek jego opowiadań ukazał się w Niemczech w opracowaniu Richarda Scotta i nigdy nie był publikowany w Polsce. Maszynopis jego pracy został przetłumaczony w 1983 roku przez Barbarę Siebat na zlecenie Muzeum Hi-

<sup>1</sup> L. Lasocki, *Wspomnienia z mojego życia. Na Syberji*, Kraków 1934, s. 328.

storii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego. Nosi on tytuł *Na Syberii (nowele politycznego zesłańca)*. W Polsce książka ta jest prawie nieznana. Była nasycona smutkiem, fatalizmem i opisywała losy Rosjan, którzy złamali prawo. Mimo sensacyjnej fabuły, nielicznym polskim czytelnikom wydała się zapewne niezbyt interesująca, gdyż pod względem literackim ustępowała poczytnym i wysoko cenionym przez krytyków pracom, mieszczącym się w nurcie zesłańczej prozy, jak chociażby dzieła Adama Szymańskiego czy Wacława Sieroszewskiego.

Czytając książkę tego artysty, wydaje się dość zaskakujące, że na jej stronach prawie brakuje opisów przyrody, choć tamtejsze warunki geoklimatyczne napawały grozą znaczną ilość zesłańców. Należy tu jednak podkreślić, że Sochaczewski nie był pejzażystą. Zarówno w malarstwie, jak i w nowelach interesował go przede wszystkim człowiek. Przyroda jest jedynie kontekstem, w którym osadza on swoją opowieść.

Na początku opowiadania *Poszukiwacze złota w Krasnojarsku* czytamy, że „każdego roku, gdy tylko zaczyna się zima i Jenisiej niesie na swoich szerokich plecach pierwsze olbrzymie kry lodowe, które Angara nieprzerwanie znosi do leżącego na północy Morza Lodowatego, wtedy w Krasnojarsku zaczyna się coś dziać”. Zdecydowanie bardziej interesuje go charakterystyka fizjonomii postaci głównego bohatera. Poszukiwacz złota Iwan Iwanowicz Machow, według jego opisu:

Był wysokim, jasnym blondynem, z bardzo małymi, przenikliwymi oczami, osadzonymi w potężnej, nieproporcjonalnej głowie. Nad małymi, zaciśniętymi ustami nosił mały wąsik, tak jasnego koloru, że tylko przyjrawszy mu się dokładniej, możliwe było odróżnienie go od koloru ciała. Kości żuchwy rzucały się w oczy swoją nadzwyczajną szerokością, twarz była jasno żółta. Tę niezwykłą twarz łączył z potężną, wypukłą klatką piersiową, od której zwisały długie, muskularne ręce, szeroki kark. Tułów był za długi, nogi natomiast były krótkie, ale mocne jak żelazo<sup>2</sup>.

Mówiąc inaczej, obraz Machowa odmalował słowami. Krótki opis przyrody jest z kolei kluczowym elementem noweli *Nabożny mściciel*. Zapoznając czytelników z tłem wydarzeń, Sochaczewski pisał, że chłopcy syberyjscy mają zwyczaj w obejściu swojej zagrody zgarniać śnieg w ogromną górę, która leży tak przez całą zimę. W tej wielkiej zaspie, usypanej przy wiejskiej chałupie, *isprawnik*<sup>3</sup> ukrył ciało zamordowanego człowieka, chcąc po odnalezieniu zwłok, zawładnąć majątkiem rodziny, a domniemanych zabójców skazać na katorgę. W ten sposób osaczył najbogatszego chłopca we wsi Kazanowa. Plan *isprawnika* powiódł się i syn gospodarza Karp Iljaronowicz, nękany wieloma nieszczęściami, o których nie będę tu pisać, uznał się za narzędzie Bożego Sądu Karnego. Na wpół oszalały, w Poniedziałek Wielkanocny zamordował urzędnika. Za ten czyn miał być w więzieniu przykuty do ściany do końca życia. Karę odbywał w Ussoli.

Porównując motywację zachowań bohaterów nowel Sochaczewskiego, z jego reakcjami na otoczenie po powrocie z zesłania, można z dużym prawdopodobieństwem sądzić, że autor opisywał własne odczucia na niesprawiedliwości dziejące się na Syberii. Opowiadania sporo mówią o autorze, pozwalając przede wszystkim poznać pewne rysy jego osobowości. Narrator, który jest jednocześnie uczestnikiem opisywanych wydarzeń,

<sup>2</sup> A. Sochaczewski, *Poszukiwacze złota w Krasnojarsku*, [w:] *Na Syberii (Nowele politycznego zesłańca)*, oprac. R. Schott, Brlin [1906], w tłum. B. Siebat, maszynopis w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie, s. 65.

<sup>3</sup> Rosyjski urzędnik zarządzający powiatem.

po swojemu je interpretuje, ocenia zachowania bohaterów, omawia rzeczywistość z typową dla niego wrażliwością na sprawy tego świata. Tym samym zaznajamia czytelników z własnymi poglądami moralnymi i społecznymi. Niezupełnie są one zgodne z katolickim światopoglądem, ale na pewno mają wiele miłosierdzia dla ludzi upadłych.

Nie mniej ważny jest fakt, że nowele pozwalają lepiej zrozumieć całą twórczość Sochaczewskiego, gdyż jego malarstwo i utwory literackie w pewnym stopniu uzupełniają się. Zawarte w nich treści dotyczą dwóch aspektów tego samego zagadnienia, koncentrując się bądź na rzeczywistości jawnej, bądź na niedostępnej dla większości postronnych osób. Dzieła malarskie ukazują bowiem zewnętrzny obraz syberyjskiej udręki, zaś nowele odtwarzają stan ducha cierpiącego człowieka.

Sochaczewski wierzył, że bohaterów jego prac łączy „ten sam niezmierny ucisk moralny”. Same obrazy jednak niewiele mówią o targających nim uczuciach. Dotyczy to szczególnie jego własnych autoportretów. Malował je z profilu, a jego twarz przypomina nieruchomą maskę. Nawet gdy na obrazie kipi życie, ludzie gestykują, pogrążeni są w rozpacz, on sam stoi nieruchomo i milczy.

Sytuację taką widzimy na wielkim płótnie *Pożegnanie Europy*, na którym namalował ludzi z różnych partii – starych, młodych, kobiety i mężczyzn, politycznych i kryminalnych, więźniów różnych nacji, którzy spotkali się na granicy Europy i Azji we wsi Rzeszoty. To jakby sąd ostateczny, gdyż tylko do tego miejsca mógł przybyć posłaniec z decyzją o uwolnieniu skazanego. Stąd rozpacz na twarzach zesłańców, którzy stracili nadzieję powrotu. Wśród nich widzimy też Sochaczewskiego, który spokojnie przygląda się słupowi. W naszkicowanych rysunkach odwraca się od otoczenia. Może chciał w ten sposób oddać swój stan ducha, który tak opisał w noweli:

Byliśmy szczęśliwi, kiedy nie musieliśmy na siebie patrzeć. W obliczu tego drugiego, odzwierciedlała się i tak tylko nasza własna nędza i własna niedola, która się tylko zwielokrotniała. Nasze chore dusze, okaleczone serca, nie wyrażały nic innego jak tylko ból, który był nami, naszą istotą<sup>4</sup>.

W jednym tylko przypadku, na obrazie *Wieczór* jego wzrok skierowany jest na kowadło, gdzie zakuwano go w kajdany. Jak się wydaje, odgrywają one na jego obrazach znaczącą rolę, gdyż łańcuchy, nosi wielu skazańców. Kajdany były ważniejsze niż prawda historyczna, ponieważ na obrazie *Śmierć na taczce* namalował zmarłego łagiernika przykutego prawą ręką, choć ta służyła mu za życia do pracy. Opowiadaniem zawierającym najwięcej motywów autobiograficznych jest utwór *Ośka*. Dowiadujemy się tam, że żył wówczas w starych koszarach na wyspie i jak pisał:

Dzień i noc trzeba było chodzić, pracować i spać. Mimo, że koszary były tylko dla 150 do 200 osób, mieściliśmy się tam w 400 osób i więcej. Na podłodze między pryczami żyły krocie pasożytów, które wypijały krew niezliczonych pokoleń umęczonych i śpiących tu zesłańców, karmiąc swoje potomstwo. Powietrze było zadżumione<sup>5</sup>.

W większości utworów Sochaczewski ukazywał najciemniejszą stronę doświadczeń osób represjonowanych. Można sądzić, że należał do ludzi wrażliwych i przeżycia odbiły się trwale

<sup>4</sup> A. Sochaczewski, *Ośka*, [w:] *Na Syberii...*, op. cit., s. 145.

<sup>5</sup> Ibidem.



na jego psychice. Po powrocie z zesłania prześladowały go lęki i przewidzenia. Ogarnięty obsesją artysta zapewne nie mógł podejmować w swojej sztuce tematów obojętnych. Dlatego jego dzieła nacechowane były cierpieniem, którego źródło wpływało z syberyjskich doświadczeń. Uczuciu temu podlegali wszyscy skazańcy, niezależnie od ich narodowości czy pozycji społecznej.

Część z nich ponosiła zasłużoną karę za popełnione zbrodnie, inni cierpieli za winy, które w oczach Sochaczewskiego znajdowały moralne rozgrzeszenie. Jak się wydaje, artystę interesowali przede wszystkim ci ostatni. Na zesłaniu spotkał zbrodniarzy, którzy z natury byli ludźmi etycznymi. Dla nich piekło syberyjskiej katongi stanowiło kontynuację nędzy istnienia na wolności. Ludźmi tymi byli właśnie Rosjanie – bohaterowie nowel syberyjskich.

Dlaczego jednak nie zajmował się w swoich opowieściach Polakami? Czy rzeczywiście nie znalazł wśród nich osób naznaczonych podobnym cierpieniem? Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Jeśli nawet spotykał takich ludzi, zapewne nie chciał opisywać ich moralnego upadku, gdyż Syberia stanowiła wówczas dla Polaków symbol męczeństwa najlepszych synów ojczyzny. Sochaczewski także pragnął utrwalić jej patetyczny obraz, czego dowodzi chociażby malarstwo artysty.

Wydaje się również, że w swoim najbliższym otoczeniu rzeczywiście nie napotykał rodaków ciężko pokutujących za przestępstwa pospolite. Sam twierdził, że wydarzenia syberyjskie były jeszcze zbyt świeże i mógł swoim pisaniem im zaszkodzić. Między ludźmi cierpiącymi za działalność polityczną i za czyny kryminalne istniała przepaść, spowodowana nie tylko różnicą moralnego osądu ich przestępstw. Skazańców tych dzieliła bowiem skala rozpacz. Większość zesłańców politycznych nie rozumiała piekła doznań zbrodniarzy i co najwyżej ubolewała nad ciężkim położeniem kryminalistów. Sochaczewski należał tu do wyjątków, gdyż potrafił dostrzec dramat zdruzgotanych ciężarem grzechu winowajców. W noweli *Zamaskowany* przypisał zbrodniarzowi takie oto słowa:

Och ty! I ty kiedykolwiek zdawałeś się być uprawniony do tego, by gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za twoją miłość do Ojczyzny, rzucił cię aż tutaj na Syberię do kopalni? O ty niewdzięczniku! Na kolanach powinieneś Bogu dziękować za tę lekką dolę. Gdybyś chociaż miał tylko wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała nas ze wszystkiego i odczłowieczyła!<sup>6</sup>

Jedną z najważniejszych, jeśli nie główną myślą utworów Sochaczewskiego było twierdzenie, że nieszczęście może spotkać każdego. Nawet ludzie prawi, dokładający wiele starań, by uczciwie przeżyć swoje dni, wpadają w pułapkę złego losu i tracą wszystko. Warto dodać, że ta koncepcja była bliska pojmowaniu występku przez szerokie warstwy rosyjskiego społeczeństwa. Siergiej Maksimow, autor książki *Syberya i ciężkie roboty* zwrócił uwagę, iż tamtejszy lud cechuje fatalistyczne pojmowanie losu człowieka, kształtowanego przez potężne złe moce, których pokonać nie można. Zdaniem Maksimowa „ta rozpacz, ten brak wiary we własne siły jako istoty rozumnej i niezależnej, do tego stopnia wzrosły w świadomość ludu, że popęd do zbrodni nazywa się nieszczęściem”, a zbrodniarza – człowiekiem nieszczęśliwym<sup>7</sup>.

Człowiek nie ponosił więc winy za popełniony czyn, ale wypełniał sądzony mu los. Popularne rosyjskie przysłowie głosiło bowiem: „Złodzieje nie rodzą się, a kogo diabeł

<sup>6</sup> A. Sochaczewski, *Zamaskowany*, [w:] *Na Syberii...*, op. cit., s. 122.

<sup>7</sup> S. Maksimow, *Syberya i ciężkie roboty (Sybir i katorga)*, cz. 2, Druk K. Kowalskiego, Warszawa 1899, s. 6.



omota, ten nie uniknie biedy i grzechu”<sup>8</sup>. W nowelach Sochaczewskiego skrzywdzonymi i krzywdzącymi zarazem są różne osoby, choć nie wszystkie postacie zostały potraktowane z jednakową uwagą. Role głównych bohaterów przydzielał autor tylko pewnej grupie „nieszczęśliwych”. Byli to ludzie, których łączyła wrażliwa i dobra natura. Nad ich życiem zaciążyło jednak złowrogie fatum, doprowadzające niektórych z nich do zbrodni. Na zakończenie zadajmy sobie pytanie, dlaczego Sochaczewski zajął się malowaniem narodowej tragedii. W własnoręcznie napisanej biografii wyjaśnił, że: „(...) po aresztowaniu, w więzieniu, jak również później przekonałem się, że najlepszym sposobem aby służyć wielkiej sprawie, było nie umrzeć w bezsensownej walce, z góry skazanej na niepowodzenie, lecz raczej poświęcić życie dziełom, które ukazą światu, część cierpień narodu, który nie chce umrzeć”<sup>9</sup>.

**Anna Milewska-Młynik**

---

<sup>8</sup> Ibidem, s. 6.

<sup>9</sup> „Kraj” 1897, nr 32, s. 6.



**ALEKSANDER SOCHACZEWSKI**  
**NA SYBERII**  
**(nowele politycznego zesłańca)**

Opracował i wydał Richard Schott

Wyd: Dr. Demder, Berlin [1906]

Tłumaczyła z niemieckiego Barbara Siebat.

Warszawa 1983

na zlecenie Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego





# NABOŻNY MŚCICIEL

## 1.

Na północno-zachodnim skrawku zamieszkałej części Syberii, pomiędzy miastami Tara i Berezow, leży sporo wiosek, których mieszkańcy jeszcze przed niewielu laty wiedli zasobne i wygodne życie. W ich chronionych od wiatru dolinach bydło mogło bezpiecznie przezimować, więc z powodzeniem je hodowali, latem uprawiali żyto i jęczmień, a zimą chodzili na polowania w zasobne górskie lasy, z których dzięki obfitości zwierząt futerkowych wracali do domostw z wielce wartościowym łupem.

Zasobność ich podsycała jednak chciwość naczelników, isprawników i innych urzędników, którzy w tak odległym powiecie bezkarnie sprawowali despotyczne i surowe rządy. Porozumieli się z innymi urzędnikami i ustalili, by mieszkańców zaścianka złapać w pułapkę i wzbogacić się ich kosztem.

Chłopi syberyjscy mają zwyczaj w swoim obejściu zgarniać śnieg na ogromną górę, która leży tam przez całą zimę i często znika dopiero pod wpływem mocnych promieni słonecznych w pełni lata. Stało się to dla panów załączkiem konkretnego planu: pierwszy znaleziony trup miał zostać tylko pozornie pochowany, naprawdę zaś przeniesiony pod osłoną nocy do jednej z wiosek i ukryty w górze śnieżnej, w zagrodzie najbogatszego chłopa. Później już bardzo łatwo przyszło wszczęć dochodzenie w sprawie o morderstwo. Na syberyjskich drogach nie brakowało trupów osób zabitych lub zmarłych z zimna czy głodu. Postarali się o to włóczędzy, zbiegli z kopalń więźniowie, będący niegdyś plagą całej Syberii, a chłopi w zamian za nagrodę od władz urządzali na nich prawdziwe polowania z nagonką, łapali i często bili aż do śmierci.

Ku wielkiemu zdziwieniu nie podejrzewających niczego mieszkańców do jednej z takich wiosek zawitała więc pewnego pięknego dnia cała chmara policjantów, by wtargnąć do domostwa najbogatszego chłopa.

Świętowano tam właśnie wesele najstarszego syna. Młoda para dopiero co wróciła z cerkwi i tańczyła wesoło w takt dźwięków bałabajki z krewnymi i sąsiadami, gdy nagle do izby wkroczył naczelnik.

Przeprosił, że zakłóca uroczystość, ubolewał, że z powodu obrzydliwej denuncjacji musi ją przerwać i łaskawie wypytywał o pannę młodą, która natychmiast została mu przedstawiona. Przyglądał się jej bacznie, bardzo pochlebnie wyraził się o jej urodzie, uszczypnął w policzki, spytał, jak się nazywa i ile liczy sobie wiosen.

– Nazywa się Maria Pietrowna i w ostatnią Wielkanoc skończyła 19 lat – odpowiedziała nie bez dumy matka, dostrzegając, że córka najpewniej niezwykle się podoba Jaśnie Wielmożnemu Panu.

– No tak, a ten tam, to pan młody, Karp Iłarionowicz Kazanow, bardzo pracowity chłop i do tego jeszcze bogaty – dodała ochoczo, wskazując rosnącego chłopaka, który siedząc za stołem pod ikoną, podejrzliwym wzrokiem obserwował zachowanie dostojnego gościa.

Chłopi z początku nie wiedzieli, co myśleć o przybyszach i sądzili, że trwa komedia weselna, jakie zwykle się w tych okolicach odgrywać. Gdy jednak cała masa policjantów wtargnęła do izby z obnażonymi szablami, zorientowali się, że to nie żarty.

Młody małżonek podbiegł do swojej kobiety, wyszeptał jej coś do ucha i wraz z nią próbował opuścić izbę. Wszystkie wyjścia były jednak zamknięte, a kiedy próbował odepchnąć policjantów, bez ceregieli zbito go, powalono na ziemię i skuto kajdankami.

W mgnieniu oka pozostali mężczyźni, znajdujący się w izbie, zostali skrępowani, a w tym czasie naczelnik i dwaj inni urzędnicy zasiedli za stołem i głośno w imieniu cara nakazali spokój.

Osłabł także z wolna krzyk kobiet, które blade jak trupy, wyłamując sobie palce, biegały pełne rozpacz między policjantami i skrępowanymi mężczyznami.

– Dostarczono mi donos, że wszyscy jesteście mordercami – krzyknął naczelnik, gdy nareszcie zapanował spokój. – Przed kilkoma dniami obrabowaliście i pobiliście na śmierć podróżującego kupca.

Usłyszawszy to oskarżenie, chłopci rozdziawili ze zdziwienia gęby. Wkrótce jednak zaczęli krzyczeć i wśród wściekłego zgiewku przepychać się do stołu naczelnika aż do chwili, gdy stary Kazanow, ojciec pana młodego uciszył ich i poprosił urzędnika, żeby mógł na to oskarżenie odpowiedzieć.

Uczył to zaraz z powściągliwością i godnością, jaka pasuje wiejskiemu patriarsze. Zapewniał o ich niewinności i gotów był poręczyć za uczciwość wszystkich obecnych. Nigdy nie wyrządzili nikomu żadnej krzywdy, pracowali w spokoju, wysławiali Pana Boga, który błogosławił ich pracy i troszczył się o chów bydła.

– To brzmi bardzo ładnie – odpowiedział nieco bardziej uprzejmie naczelnik. – Gdyby wiadomość o waszych niegodziwych czynach nie pochodziła z dobrego źródła, prawie mógłbym uwierzyć, że jest fałszywa. Zostaliśmy jednak tutaj wysłani na polecenie cara, by szerzyć wśród ludu prawo i uczciwość, dlatego też musimy sięgnąć po wszelkie dostępne środki, żeby dojść prawdy.

Mieszkańcy zaręczyli, że w grę wchodzi niktzemne oszczerstwo. Byli prawymi ludźmi. Nigdy nic podobnego się u nich nie zdarzyło.

Właśnie te słowa sprawiły, że naczelnik poderwał się ze wściekłością i krzyknął.

– Milczeć! Jesteście bandą zbójców. Jeśli ktoś niepytany otworzy gębę, każę mu ją zatkać knutem!

Równocześnie dał znak policjantom, aż spłoszeni chłopci odskoczyli.

Dopiero kiedy dwie niezamężne siostry pana młodego, piękne dziewczyny, rzuciły się do nóg naczelnika, błagając o łaskę, zdało się, że nieproszony gość zaczyna znowu nieco łagodnieć i staje się bardziej uprzejmy.

– Moi drodzy – powiedział z namaszczeniem, gładząc policzki dziewczyn. – Mnie samemu przecież serce się kraje. Oby Bóg sprawił, żeby mężczyźni mówili prawdę! Z całą pewnością jestem dobrym chrześcijaninem. Służę jednak carowi, niech mu Bóg błogosławi, a on żywi moją rodzinę, więc muszę być posłuszny jego prawom. Nic tu nie pomoże.

Kobiety milczały, wierząc w niewinność swoich bliskich i sprawiedliwość wysokich urzędników.

– Wszyscy obstajecie zatem przy swoich oświadczeniach – dodał.

Mężczyźni przytaknęli w odpowiedzi.

– Dobrze. A zatem przywołam kilku chłopów jako świadków i w ich obecności każę przeszukać dom. Zakopać ostatniego zamordowanego jeszcze nie zdążyliście. A więc się znajdzie.



Dwóch najbogatszych chłopów z sąsiedztwa wezwano na świadków, bez których zgodnie z rosyjskim prawem nie mogła się odbyć żadna rewizja, z wyjątkiem spraw o działalność polityczną. Gdy w grę wchodzi podejrzenie o nią, wystarczy obecność dwóch policjantów.

Zaczęła się rewizja. Wszystkie izby, oborę i stodołę przewrócono do góry nogami. Oczywiście nic nie znaleziono. Naczelnik zdawał się być z tego zadowolony.

– Teraz rzeczywiście jestem przekonany o waszej niewinności – powiedział, kiedy policjanci zameldowali się po powrocie. – Sporządzę protokół. Świadkowie muszą go podpisać i na tym sprawa zostanie ku mojemu wielkiemu zadowoleniu zakończona.

Zasiadł za stołem i zaczął pisać, ale po chwili raz jeszcze spytał policjantów.

– Czy aby wszędzie zajrzeliście?

– Tak, jasnie panie.

– I nie znaleźliście niczego, co wskazywałoby na morderstwo w celach rabunkowych?

– Nie, panie.

– A więc ci ludzie zostali oczernieni i jako niewinni muszą zostać puszczeni wolno. Rozwiążcie postronki i uwolnijcie ich.

Łatwo sobie wyobrazić radość, jaka zapanowała! Kobiety znów rzuciły się ku niemu, by całować w rękę, a naczelnik nie przepuścił okazji, żeby o ile były piękne i młode, kilkoma ruchami rąk dać dowód swojego hołdu dla ich urody.

Nagle jeden z policjantów wystąpił naprzód i oznajmił:

– Jasnie wielmożny panie, mam coś na sumieniu. Muszę wyznać jasnie wielmożnemu panu, że co prawda wszystko przeszukaliśmy i nie znaleźliśmy niczego. Musimy jednak naszą robotę wykonywać zgodnie z przepisami, nawet jeśli jesteśmy całkiem pewni, że ci ludzie są niewinni.

– Mówże wreszcie, do diabła, czego właściwie chcesz. Nie rozumiem cię – mrucał naczelnik.

– Tak, jasnie wielmożny panie, na podwórku nie przeszukaliśmy jeszcze tej góry śnieżnej. Przecież może być tak, że on został tam ukryty.

– No niech wam będzie, przeszukajcie jeszcze górę śnieżną – obojętnie rzucił naczelnik. Spokojnie zasiadł znowu do stołu i zajął się protokołem.

Kiedy po chwili podniósł wzrok, policjant wciąż jeszcze tkwił przed nim i nikt nie zdradzał zamiaru zdjęcia chłopom postronków z rąk. Po chwili podwładni otrzymali należną burę i naczelnik jak najsurowiej rozkazał natychmiast uwolnić „tych zacnych ludzi”.

Policjanci jednak nie usłuchali rozkazu. Jeden z dwóch urzędników przy stole podniósł się za to i kłaniając się po wielokroć powiedział:

– Jasnie wielmożny pan wybacz, ale jako naczelnik musi pan pójść z ludźmi, którzy będą przeszukiwali śnieg. Dopiero wtedy podejrzeni będą mogli zostać uwolnieni.

– Tak? – odparł naczelnik, mocno zdziwiony. – Czy tego wymaga prawo? No tak, skoro tego wymaga prawo, nic nie można zmienić. Chodźmy więc.

Wszyscy wyszli na podwórko.

Przez ten czas zrobiło się już ciemno. Policjanci świecili latarniami i palącym się łuczywem, a chłopci stojąc obok przyglądali się, jak góra śniegu, której wierzchnia warstwa dopiero świeżo napadała, niknie pod rozgarniającymi ją łopatami.

Ponad połowę śniegu odgarnięto i niczego nie znaleziono, aż tu nagle jeden z policjantów natrafił na coś twardego.

– Och! – zawołał. – Jaśnie wielmożny panie, proszę podejść tutaj. Mamy coś podejrzanego!

Naczelnik zbliżył się niechętnie.

Policjanci z zapalonymi rozgarniali dalej.

Wtem ukazały się dwie ludzkie nogi.

Chłopi skamieniali.

Nie wierzyli własnym oczom.

Teraz również ponad pokrywą śnieżną ukazały się ręce, dwie kurczowo zaciśnięte w pięści dłonie, pobrudzone zakrzepłą krwią. Potem zaś cały, zaledwie w kilka szmat obleczony skamieniały trup, którego roztrzaskana czaszka uniemożliwiła rozpoznanie.

Naczelnik pozwolił sobie teraz na zdjęcie maski przyjaciela ludzi. Wrzasnął na starego Kazanowa:

– Ty psie! Ty bydlaku! Ty chcesz oszukać urzędnika!

I kiedy stary chciał coś na to odpowiedzieć, uderzył go w twarz z taką siłą, że ten wiekowy człowiek zatoczył się i upadł w śnieg.

Zwłoki zaniesiono przed chałupę. Kobiety lamentowały. Naczelnik i jego ludzie szaleli. Na ośle bili chłopów. Wszystkich mężczyzn z rodziny skuli łańcuchami: starego Kazanowa, Karpa Iłlarionowicza, nieszczęśliwego pana młodego i jego czterech braci.

Zapadła już późna noc, kiedy dano rozkaz wymarszu. Więźniowie przypominali dzieki zwierzęta, przykute do żelaznych żerdzi. Zawsze po dwóch – tak mieli pokonać liczącą wiele wiorst drogę, wśród śniegu, do najbliższego więzienia, kiedy nagle zebrani wpadli na szczęśliwy pomysł, żeby przedstawicielowi prawa wsunąć do kieszeni 500 rubli.

Sprawiło to, że nieco zmiękło serce zacnego pana i odwróciwszy się do swoich ludzi oznajmił:

– Na pewno są to hultaje, ale przecież zawsze trzeba postępować po chrześcijańsku. Ubolewam nad nędzą kobiet i dzieci. Miejcie litość i pozwólcie przestępcom pojechać ich własnymi saniami.

Kiedy Marfa Pietrowna pożegnała się już ze swoim młodym mężem, tak, że aż serce pękało, gdy więźniowie wśród biadania swoich bliskich zostali umieszczeni na saniach, a obok nich zasiedli policjanci z naładowanymi karabinami i obnażonymi bagnetami, wówczas i naczelnik wsiadł na swoje sanie w towarzystwie obu świadków.

Kobiety otoczyły go szlochając i prosząc, by zechciał się ulitować nad losem mężczyzn i postarał się o to, aby nie skazano ich na najcięższe kary i żeby nie zostali zesłani do kopalń, skąd nikt nie wraca.

Jak prorok spojrział na nie z góry, podnosząc w grymasie bólu swoje krzaczaste brwi.

– My wszyscy, moi kochani – wykrzyknął patetycznie. – My wszyscy jesteśmy w rękach Boga. Nie traćcie odwagi. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Zobaczmy, co da się zrobić.

– Ale jednakże – dodał, kiedy sanie ruszyły. – Wy też nie możecie beczynn timerzekać z założonymi rękoma.

Mało zostało powiedziane, lecz znaczyło wiele. I zostało prawidłowo zrozumiane.

## 2.

Jeszcze zanim minął następny dzień, Karp Iłarionowicz znalazł się wraz ze swoim ojcem i czterema braćmi w więzieniu.

Zanim dwaj chłopci, którzy musieli jako świadkowie z nimi pojechać, ruszyli w drogę powrotną, poszli do naczelnika, żeby się pożegnać. Zostali uprzejmie przyjęci i nawet ugoszczono ich herbatą. Dodało im to odwagi, więc spytali, jaki los czeka ich ziomków.

– No cóż, jaki on też może być? – obojętnie odpowiedział naczelnik. – Knut, tak około 50 uderzeń, a potem na katorgę.

Chłopci potrząsali głowami, przeżegnawszy się.

Wreszcie jeden z nich zapytał:

– Jaśnie wielmożny panie, czy też nic a nic nie można im pomóc? Przecież to naprawdę dobrzy chrześcijanie, pobożni ludzie. Jeden Pan Bóg wie, jak mogło dojść do tego nieszczęścia.

– Jesteśmy po to powołani przez cara, żeby karać ludzi, jeżeli zrobią coś złego. Nie wiemy nic ponadto i niczego nie wolno nam wiedzieć – odparł naczelnik, ale zrobił przy tym minę, która ośmieliła chłopów na tyle, że rzucili mu się do nóg i błagali.

– Jaśnie wielmożny panie, zechciejcie po dobroci wysłuchać waszych poddanych. Ci ludzie przecież nie są biedni i na pewno poświęcą cały swój majątek, żeby uratować swoich.

Naczelnik zmarszczył czoło, pokiwał głową, uśmiechnął się dwuznacznie i powiedział:

– Wstańcie. Zapewne można by coś zrobić, ale jest ich za wielu, wszyscy o nich wiedzą. Gdyby to wyszło na jaw, byłbym zgubiony wraz z moją rodziną! Co o tym myślicie? Co, he?

– Któżby wielmożny panie odważył się was, którzy przecież jesteście naczelnikiem, zganić? Jaśnie wielmożny pan jest panem i może zrobić wszystko, jeśli tylko zechce!

– W rzeczy samej... oczywiście... ale coś wam powiem... Idźcie do domu, zobaczmy.

Chłopci pokłonili się bardzo nisko, przeżegnali się i poszli.

Odtąd naczelnik nie krył się już ze swoimi życzeniami.

Po kilku dniach młodsza z niezamężnych jeszcze sióstr Karpa Iłarionowicza musiała się zameldować w kancelarii pana naczelnika i pozostała tam jeszcze przez wiele godzin. Kiedy z niej wyszła, policzki jej były pąsowo czerwone, a oczy wpatrzone w podłogę.

Wieczorem musiała swoje odwiedziny powtórzyć, przy czym wypito kilka butelek dobrego koniaku. Późną nocą, zataczając się, opuściła biedna pokój i powróciła do domu.

W następnych dniach do obór i stajen naczelnika zaganiano całe stada bydła, po czym także druga z sióstr spędzała długie godziny na rozmowach w prywatnym pokoju wysokiego urzędnika. Trwało to aż do momentu, kiedy wszystko, co ci ludzie posiadali i co życzliwi, chętni do pomocy sąsiedzi pożyczili, powędrowało do miasta.

Naczelnik jednak wciąż jeszcze nie był nasycony ani zadowolony. Pewnego dnia również Marfa Pietrowna, młoda żona Karpa Iłarionowicza została aresztowana i zaprowadzona do więzienia, gdyż była podejrzana o to, że wiedziała o zbrodni.

Po paru dniach, które tam spędziła, dozorca przynoszący jej chleb i wodę, zaczął ją pouczać.

– Jaśnie wielmożny pan jest okropnym człowiekiem – przestrzegł. – I kiedy wpada we wściekłość, to niech Pan Bóg ma nas w opiece! Ale młode kobiety, takie piękne jak

ty... jeśli się do niego przymilają... rozumiesz mnie, prawda... Dla nich zrobi wszystko! Jeśli obiecasz, że coś mu podarujesz... Powiem jego sekretarzowi, że chcesz rozmawiać z jaśnie wielmożnym panem, powiem mu... No cóż... Nie skazuj siebie i do tego jeszcze swoich... Zrób wszystko, czego żąda, słyszysz? W przeciwnym razie od razu będzie wściekły jak pies i wtedy... Wtedy niech was Bóg strzeże i jego święta Matka.

– Tylko spróbuj! Nie waż się! – krzyknęła na dozorcę Marfa Pietrowna, z błyszczącymi oczami. – Ani mi się waż! Niech poszuka sobie innych bab. Mnie nigdy do tego nie nakłoni!

Stary, mocno zdziwiony, rzucił na nią złe spojrzenie i wyszedł. W drzwiach jeszcze odwrócił się i przestrzegł: – Ty nie bądź taka ważna, dobrze? Już on załatwi, że spokorniejesz. Ma swoje sposoby!

Ręką wykonał przy tym gest taki, jakby machał różgami, spojrzał na nią złośliwie i zniknął.

\*\*\*

Po kilku dniach Marfę Pietrowną zaprowadzono przed oblicze naczelnika. Policzki jej stały się blade od więziennego powietrza, zmartwienia i strachu, ale duma pozostała niezłomna.

Na jeden gest ręki policjanci, którzy ją przyprowadzili, zniknęli.

– Jakżeś ty się nazywała? – zagadnął ją szef policji.

– Marfa Pietrowna po ojcu, a Muranowa to moje nazwisko.

– A tak, prawda: Marfa Pietrowna. No, usiądź tutaj.

Marfa posłuchała, nie podnosząc wzroku. Przez okno wpadało jasne światło dnia i oblewało całą jej postać. Była urodziwa, prawdziwie syberyjska wiejska piękność.

Naczelnik przebiegł po niej pożądlivym spojrzeniem i spytał:

– Dlaczego nie spojrzysz na mnie? Chciałbym zobaczyć twoje oczy... Podobają mi się...

Marfa milczała, ale z jej twarzy bił upór, nozdrza jej się rozszerzyły a policzki pokryły ciemnymi plamami.

Naczelnikowi krew uderzyła do głowy. Pochylił się, aby jej się przyjrzeć, a ona mu się sprzeciwiła. Ręce mu zadrżały, żeby uderzyć i tak długo bić, aż zmięknie.

Powstrzymał się jednak jeszcze.

– Marfo Pietrowna, czy chcesz być dla mnie dobra? – zapytał po chwili.

Nie odpowiedziała.

– Czyżbyś nie wiedziała, że musisz mi odpowiedzieć, jeżeli cię o coś pytam? Jestem przecież twoim panem i mogę z tobą zrobić, co będę chciał.

Kąciki jej ust zadrżały, ale milczała.

– A jeżeli zażadam od ciebie całusa?

Oczy jej zabłyśły i naczelnikowi zdawało się, że tłumi w sobie odruch odrazy.

Teraz dała znać o sobie tkwiąca w nim bestia. Chwycił ją za podbródek, zadarł głowę i spojrzał dziko w jej na wpół otwarte oczy, które nagle napełniły się łzami.

– Bądź mi uległa! – krzyczał. – A wszyscy będziecie wolni... Jeśli nie... Stanie się nieszczęście!

Marfa Pietrowna płakała. Drzenie, podobne do skurczów nie pozwoliło jej mówić.

Nagle wyrzuciła z siebie szlochając:

– Nie mogę. Mój mąż! Moje sumienie mi nie pozwala!



Gdy dostrzegła, jak jego czoło marszczy się, a twarz staje się podobna do dzikiego drapieżnika, krzyknęła: – Litości.

Naczelnik szalał jednak jak obłąkany.

Parę chwil – i zdarto z Marfy ubranie. Dwóch policjantów złapało ją, a dwóch innych tak okładało jej ciało razami, że wystrzępili całe pęki różeg. Naczelnik policji stał obok i nogą wystukiwał takt razów. Krew ciekła po nagim ciele, a ona krzyczała w paroksyzmie bólu, ale nikt jej nie słyszał.

– Mocniej! Silniej! – wrzeszczał potwór. Potem rozkazał przerwać i odesłał policjantów...

\*\*\*

Naczelnik wpadł w szał. Wściekły jak rażona bestia kazał męczyć chłopów i obijać ich knutem.

Kiedy usłyszała o tym matka Marfy, była oburzona zachowaniem córki. Jakżesz mogła ważyć się opierać jaśnie wielmożnemu panu, który przecież zastępuje cara. Inna jej córka wzięła Marfę Pietrownę w obronę i oznajmiła, że przecież przysięgała swojemu mężowi przed Bogiem przy ołtarzu dozgonną wierność, więc powinna tego przestrzegać.

W matce wzbierała jednak złość. Biadała: – Bogu niech będzie chwała. Niech Bóg będzie w niebiosach a car na tronie.

Nic na to nie da się poradzić.

W końcu sama pojechała do miasta, by upartej córce, która całą rodzinę wpędziła w nieszczęście, zmyć głowę.

Jednak jej pomoc nie była już potrzebna. Przewidywanie strażnika więziennego spełniło się: Marfa Pietrowna spokorniała.

Również stary Kazanow nie wytrzymał kaźni i aby przynajmniej wybawić swoich z cierpień, sam dobrowolnie przyznał się do popełnienia morderstwa w celach rabunkowych.

Przesłuchania jednakże nie przeżył.

Mimo to jednak naczelnik postarał się, żeby sprawa ciągnęła się jeszcze przez wiele miesięcy, póki nie miał dosyć Marfy. Dopiero wtedy wypuszczono więźniów na wolność, bo i tak już niczego nie dało się z nich wycisnąć.

\*\*\*

### 3.

Nieszczęśnicy wracali w swoje rodzinne strony złamani na ciele i duchu. Stodoły i obory zastali puste. Nawet odrobina ziarna nie pozostała na nowy zasiew.

Karp Iłlarionowicz, wracając do gospodarstwa ojca, dokąd przed paroma miesiącami jako bogaty i szczęśliwy mężczyzna chciał wprowadzić młodą żonę – stał się żebrakiem.

Miał naturę, której nie można było do niczego nakłonić ani zmienić. Jak wszyscy sybiracy, był fatalistą, jeśli chodziło o sprawy, które osobiście go nie dotyczyły. Niesamowita niesprawiedliwość, jakiej dopuszczono się wobec jego rodziny, nawet strata własności, którą dziedziczył – wszystko to mógłby zapewne przeboleć. Zdarzyło się jednak coś więcej i z tym nie potrafił się pogodzić.

Co prawda nie wiedział jeszcze, co podczas jego uwięzienia działo się z Marfą Pietrowną. Domyślał się jednak, dlaczego chodziła wokół ze spuszczonej oczami i jak tylko mogła, unikała go w popłochu.

Otępiały rozmyślał, siedząc na przypiecku i wodził za nią pytającym wzrokiem tak długo, aż nie mogła już tego znieść.

Pewnego dnia wszystko mu powiedziała i pokazała ledwie co zabliznione rany na swoim ciele.

Niemo siedział przy niej, pojękując czasami.

Przyjaciele i krewni złożyli się, żeby kupić mu wszystko, co w gospodarstwie najbardziej potrzebne. Lecz Karp Iłarionowicz nie nadawał się już do niczego.

Żona starała się znów do niego zbliżyć. Ale wcale jej nie odpowiadał, gdy mówiła, nawet nie podnosił głowy, a nocą przewracał się obok niej bezsennie na swoim legowisku.

Sąsiedzi widzieli w tym przygnębieniu chorobę, której nabawił się w więzieniu. Niektórzy przyznawali rację opowieściom Iwanowej, że Karp Iłarionowicz został z powodu swojej siły i urody z czarowany przez wędrującą bandę Cyganów i że wszystko jest skutkiem rzuconego uroku.

Karp Iłarionowicz rozmyślał dniami i nocami. Na różne sposoby próbował pogodzić się z wydarzeniami i uznać je za karę boską, która wymierzona została jemu i jego szczęściu, aby sprawdzić i umocnić jego wiarę. W tym również nie znalazł pociechy, więc dojrzewała w nim myśl, żeby się powiesić.

Marfa Pietrowna podejrzewała, co się w nim dzieje i czuwała nad nim troskliwie, więc na razie nie mógł spełnić swojego zamysłu. Około lata zyskał sobie jednak więcej swobody. Sprawiał wrażenie, jakby znowu bardziej aktywnie brał udział w codziennym życiu i potrafił tak łudzić żonę, że pozwalała mu na wielogodzinne wyprawy do lasu.

Pewnego dnia w czerwcu nie wrócił do domu. Marfa Pietrowna przeszukała wszystkie pobliskie lasy. Cała wioska pomagała nieszczęsnej kobiecie. Nie natrafiono nigdzie na żaden ślad.

Karp Iłarionowicz Kazanow przepadł bez wieści.

\*\*\*

#### 4.

Powodem, dla którego Kazanow tego czerwcowego dnia nie wrócił do domu było następujące zdarzenie.

Właśnie kiedy miał zamiar wdrapać się na drzewo, aby przywiązać do niego sznur, który już przedtem tam schował, usłyszał kroki. Próbował szybko ukryć sznur, ale zaskoczyło go przy tym kilku ludzi, którzy ku jego wielkiemu zdziwieniu nie byli z wioski, lecz obcy.

Powitali go uprzejmie i wyjaśnili, że są wędrownymi pątnikami i bigotami, którzy zgubili towarzyszy i zabłądzili w lesie. Pewna dróżka wiodła ich od wielu godzin tam i z powrotem, aż wreszcie przez polankę zobaczyli jego i przyszli, żeby spytać o drogę.

Karp Iłarionowicz słuchał ich ze zdziwieniem.

– Dokąd idziecie z pielgrzymką? – spytał nagle.

– Do świętej Matki Boskiej z Peczorska. Nie znasz jej? Cudami zasłynęła na całym świecie.

Przysiedli na mchu i opowiadali o cudach słynnych celów pielgrzymek. Kiedy już dostatecznie wypoczęli i nagadali się, poprosili Karpa Iłarionowicza, żeby wskazał im drogę, która wyprowadzi ich z lasu.

On tłumaczył jednak, że od dawna marzył, żeby zobaczyć wszystkie te cuda na własne oczy. Jeżeli nie mieliby nic przeciwko temu, chciałby teraz skorzystać z okazji i powędrować z nimi.

Ludzie ci bardzo się ucieszyli, przeżegnali się po trzykroć bijąc głębokie pokłony, zwróceniu ku zachodowi, przerzucili sobie przez ramię swój ubogi dobytek i ruszyli.

Karp Iłarionowicz dostrzegł w przypadku, który ocalił mu życie, palec Opatrzności i okreśną drogą wyprowadził ich tak szybko, jak to było możliwe z okolicy, w której był znany. Po kilku dniach oddalili się już tak bardzo od jego wioski, że nie musiał się obawiać odnalezienia go.

Taka była zatem przyczyna, że żona szukała go nadaremnie, a po pewnym czasie starosta ogłosił, że został on uznany za zaginionego. Marfa Pietrowna długo jeszcze nie potrafiła przestać go oplakiwać.

Wreszcie jej ból nieco ustąpił i zaczynała nawet o nim trochę zapominać, gdy nagle została znowu aresztowana i wtrącona do więzienia. Powodu nie znał nikt, mówiono tylko, że naczelnik, wychodząc z mszy wielkanocnej został zamordowany przez wędrownego pątnika.

\*\*\*

## 5.

Karp Iłarionowicz wędrował z pielgrzymami z wioski do wioski, z miasta do miasta. Modlił się we wszystkich klasztorach, we wszystkich świętych miejscach padał na ziemię, aby przed świętymi cudotwórcami wypłakać swoje żale i prosić ich o zemstę za niesprawiedliwość, jaką mu wyrządzono.

Z początku rzeczywiście go to uspokajało. Wkrótce jednak powróciły straszne męki, które pożerały go od wewnątrz. Nigdzie nie znalazł spokoju, nic nie potrafiło go uwolnić od koszmarnych wspomnień.

Dalekie podróże, spotkania ze wszelkiego rodzaju ludźmi, ich opowieści, wszystko to wywarło na niego wpływ. Stał się mądrzejszy, mocniej obeznany ze sprawami świata i roztropniejszy. Z dużą uwagą przysłuchiwał się rozmowom pielgrzymów przybyłych do świętych miejsc ze wszystkich stron świata i zapewne przy takich okazjach powstała w nim myśl, żeby powrócić do rodzinnych stron i zemścić się za krzywdę, jakiej doznał.

Pomysł ten wyzwolił go całkowicie i natychmiast od udręk serca. Już po paru dniach przywykł do tej myśli i przygotował plan działania.

Przebywał wtedy w Kijowskiej Ławrze, najsłynniejszym w tym mieście miejscu pielgrzymek. Całymi dniami i nocami leżał przed ołtarzem, modląc się o powodzenie swojego planu zemsty, aż do momentu, kiedy utrwaliło się w nim przekonanie, że święci cudotwórcy sami podsunęli mu ten pomysł, ponieważ ma stać się narzędziem Bożego sądu karnego.

Modląc się i poszcząc, przygotował się do wykonania tego boskiego zadania, pożegnał się ze swoimi towarzyszami i udał się w drogę powrotną w rodzinne strony.

\*\*\*

Po mniej więcej pół roku pojawił się w mieście, w którym kiedyś dotknęła go wielka niesprawiedliwość.

W dzień świętego Poniedziałku Wielkanocnego cerkiew była wypełniona wiernymi.

Przecisnął się do przodu i pośród niezliczonych pokłonów modlił się przed ołtarzem, a kiedy pop we wspaniałym ornacie ze świętym krzyżem ogłosił: „Bóg zmartwychwstał” – przesunął się pośród tłumu naprzód, byle tylko nie stracić błogosławieństwa boskiego, Boga, który uczynił z niego apostoła i narzędzie swojej zemsty.

Za popami i diakonami, wśród najznakomitszych urzędników, do Domu Bożego wszedł także naczelnik. Jego błyszczący mundur był cały pokryty orderami.

Kazanow przepuścił go ze spokojem. Kiedy jednak procesja się skończyła, wyrósł pośrodku przejścia, gdzie tkwiło wielu pielgrzymów i żebraków, oczekujących na datki od współwyznawców.

Ceremonie dobiegły końca. Ludzie przeciskali się do przejścia, by jak najszybciej powrócić do domu i ogłosić rodzinie i przyjaciołom trzykrotnym zawołaniem, że „Chrystus zmartwychwstał”.

Kazanow stał z błyszczącymi oczami i czekał na krzywdziciela i gwałciciela swojej żony. Trzymając rękę na uchwycie noża, mechanicznie mruzczał modlitwy.

Gdy wreszcie podszedł naczelnik, Kazanow doskoczył do niego jak postrzelona pantera. Wykrzyknął jak z głębi swoich trzewi: – Zbójca! Morderca!

Zaczął się straszny tumult. Pospieszyli policjanci i Kozacy. Oszalałego pielgrzyma, który klęczał na otyłym naczelniku i wciąż jeszcze wbijał w niego nóż, oderwali od ciała i założyli kajdanki.

Pozwalał na to, nie stawiając oporu i nie wypowiadając ani słowa. Aż do chwili, kiedy usłyszał doktora stwierdzającego:

– Nic tu nie pomogę, on nie żyje.

Wykrzyknął wtedy: – Dziękuję ci Boże, Panie mój!

\*\*\*

Marfa Pietrowna, która została aresztowana jako „współwiedząca” zmarła tym razem w więzieniu, zanim jeszcze dochodzenie się skończyło. Karp Iłarionowicz został skazany na 25 razów knutem oraz na zesłanie do kopalń, a wyrok jeszcze zaostrozono tak, że do końca życia miał pozostać w więzieniu przykuty łańcuchami do ściany.

\*\*\*

## 6.

Poznałem go, kiedy w Ussoli oddaliłem się zbyt daleko od swojego mieszkania i za to przestępstwo zostałem zakuty w łańcuchy. Ponieważ w więzieniu brakowało innego miejsca, wsadzono mnie do jego celi. Dopiero po interwencji przyjaciół u generalnego gubernatora w Irkucku zostałem 10 dni później zwolniony.

Jeszcze dziś mam przed oczami tę wysoką, długą, brunatną, brudną dziurę.

Na wysokości może dwóch metrów wmurowano w ścianę żelazny pręt. Pośrodku tego pręta, na grubym haku, przytwierdzono ciężki łańcuch. Dalej zaś łańcuch ten prowadził do prawej kostki nogi.

Granice możliwych spacerów Kazanowa wyznaczał od szesnastu lat półokrąg wydeptany w ceglanej podłodze na wysokość kostek. W obrębie tego półokręgu, pod ścianą, leżała kupa przegniłego siana, które miało być jego legowiskiem.



W zadżumionym powietrzu z jego ciała, pokrytego grubą na palec warstwą brudu, pozostał tylko szkielet. Jadł niewiele, ale tym więcej pił wody, bywało, że Kozacy z wartowni dawali mu szklankę. Odczuwali rodzaj respektu dla tego „pielgrzyma”, który śpiewał tak żałosne pieśni kościelne, że aż ścisnęło się serce.

Pomimo doznanych cierpień, Karp Iłarionowicz czuł się całkiem dobrze. Wciąż wierzył, że czyn jego zostanie kiedyś doceniony.

– Jeśli nadejdzie odpowiedni czas, oświecony car dostrzeże, że byłem tylko narzędziem w rękach Boga i uwolni mnie – tak sądził i ta wiara była jego zbawieniem.

Kiedy go opuszczałem, płakał, pocieszał się jednak tym, że przecież się niedługo znowu zobaczymy.

Po kilku latach rzeczywiście wybawiono go od przebywania w dotychczasowej celi, ale tylko po to, by zamknąć go w jeszcze ciaśniejszej. Suchoty więzienne wyznaczyły kres jego cierpieniom.

Aż do ostatniego tchnienia miał nadzieję, modlił się i śpiewał hymny kościelne z żałosnymi, zawodząco brzmiącymi motywami.

## ŚMIEJĄCY SIĘ IWAN

### 1.

Kiedy po opuszczeniu kopalni zostałem wezwany do Irkucka, aby w biurze życzliwego generalnego gubernatora przyjąć posadę urzędnika, z której zresztą później na rozkaz administracji centralnej znowu musiałem zrezygnować, zacząłem szukać mieszkania z ogrodem.

Ze względu na stan zdrowia przyzwyczailem się mocno do wczesnego wstawania, a potem o poranku zajmowałem się czymś na powietrzu. Ponadto nosiłem się z zamiarem przeprowadzenia doświadczeń, mających pokazać, które z naszych środkowoeuropejskich roślin zdołają się zaaklimatyzować we wschodniej Syberii.

Po długich poszukiwaniach znalazłem wreszcie to, czego szukałem. Stary dom stał przy ulicy, która nie należała do najpiękniejszych w mieście. Skoro jednak gospodarze chętnie przystali na to, żebym mógł bez ograniczeń korzystać z obszernego ogrodu, wybrałem to miejsce.

Gdy tylko zima się skończyła i ziemia rozmarzła na kilka cali, zacząłem swoje prace, które wykonywałem przez całe lato codziennie od 4 do 6 rano.

Jedna strona ogrodu graniczyła z wąską uliczką, przy której pomieszkiwał najbiedniejszy proletariat miasta. Oficjalnie uliczka nazywała się „Ciemna”, ale z powodu zanieczyszczeń i głębokich kałuż, które pojawiały się po najmniejszym nawet deszczu, ludzie określali ją jako „Śmieciowisko”, a więc nazwą o wiele brzydszą. Ogradzał ją płot bardzo stary i miejscami tak przegniły, że stanowił żalospną i niewystarczającą przeszkodę dla niepożądanych wizyt okolicznych psów i świń.

Pewnego ranka, gdy byłem zajęty okopywaniem jednego z zagonów, od strony uliczki Ciemnej usłyszałem głos ludzki, który jak mi się zdawało ofiarował swoją pomoc. Spojrzałem w górę i zauważyłem twarz, która w bardzo dziwny sposób uśmiechała się do mnie ponad płotem. Przez chwilę jej się przyglądałem, ale ona nieprzerwanie się do mnie uśmiechała. Wreszcie podszedłem bliżej i zobaczyłem tkwiącego na spróchniałych sztachetkach płotu całkowicie zmizerniałego osobnika.

– Kim jesteś? – spytałem.

– No kimże niby? – śmiał się. – Waniucha oczywiście. Kim innym miałbym być? He, he, he....

Mimowolnie również zacząłem się śmiać, chociaż jego rechot wcale nie wydawał mi się aż tak zabawny.

– O co chodzi, Waniucha? – pytałem dalej. – Nie rozumiem cię dobrze.

Teraz dopiero naprawdę zaczął się śmiać, aż łzy napływały mu do oczu.

– Panie, o panie – poprosił w końcu, kiedy się już odrobinę uspokoił. – Dasz mi trochę tytoniu do fajki?

Poszedłem po swój woreczek i dałem mu pełną garść. Ze świecącymi oczami i roześmianą twarzą sięgnął po tytoń. Ledwie jednak wziął go do ręki, natychmiast zamknął dłoń, zeskoczył z płotu i uciekł tak szybko, jak tylko potrafił. Zaskoczony patrzyłem za nim, obserwując każdy jego ruch. Przy najbliższym rogu odwrócił w moim kierunku roześmianą twarz, jakby chciał się upewnić, czy nie pobiegłem za nim, żeby odebrać mu ten dar. Potem zniknął. Ale jego śmiech długo jeszcze pobrzmiwał mi w uszach.

Następnego dnia, prawie o tej samej godzinie i w tym samym miejscu, usłyszałem jak ktoś śpiewa za płotem rosyjski hymn kościelny: „Boże, bądź miłościw”.

Śpiewak najpewniej chciał w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę. Skoro nikogo nie widziałem, postanowiłem podejść bliżej. Nim jednak doszedłem do płotu, wdrapał się na jedną z dolnych belek, ściągnął futrzaną czapkę, którą nosił pomimo temperatury 20 stopni Reaumura i zaśmiał się do mnie.

– No, Waniucha, czy to ty? – zawołałem, wdrapując się na górę kompostu, żeby go lepiej widzieć.

Iwan śmiał się.

– Tytoń zapewne ci smakował.

– O tak, panie, bardzo – odpowiedział z lekka uśmiechając się, po czym zaczął rechotać ze wszystkich sił.

Skorzystałem z okazji, żeby mu się przyjrzeć dokładniej. Sprawiał wrażenie żebraka najgorszego gatunku, całkowicie wyniszczonego. Dwa stare, zdezelowane buty z cholewami – jeden pochodził zapewne od chłopca, a drugi od więźnia – kłapały mu na nogach. Marne ubranie uzupełniała czapka futrzana i brudne spodnie z płótna, na których paskiem przewiązana była koszula. Twarz miał okrągłą, płaską i całą zarośniętą siwą brodą i jeśli pominąć pewną dozę rysującą się na niej przebiegłości, bez szczególnie wyróżniających cech.

– Długo już jesteś tutaj, na Syberii? – zapytałem.

– Na Syberii – uśmiechał się szyderczo. – He, he, he, tak na Syberii! – więcej nie mógł z siebie wydobyć. Zdawało się, że dopadł go prawdziwy szał śmiechu.

Jego rechot był podobny do płaczu upartych dzieci, które w takim stanie czasem przez wiele minut nie mogą zamknąć ust. Oczy jego były zaciśnięte i między rzęsami błyszczały łzy. Ponieważ trzymał się płotu tylko jedną ręką i nogą, podczas gdy drugą nogę i rękę, w której trzymał futrzaną czapkę, wyciągnął daleko od siebie, prawie szybował w powietrzu. Jego wstrząsane śmiechem ciało przedstawiało całkiem niesamowity obraz.

Tym razem nie zawtórowałem jego śmiechowi, który dziś wydał mi się jeszcze bardziej podejrzany, niż poprzedniego dnia. Zdawało mi się, że wcale nie jest taki głupi, jakiego udawał. Przyglądałem mu się ostro i badawczo, a gdy tylko to spostrzegł, odchylił głowę tak bardzo do tyłu, że mogłem widzieć tylko jego brodę i kawałek nosa. Zaniechałem więc wpatrywania się w niego i postanowiłem w inny sposób coś z niego wydobyć.

– Czy znowu chciałbyś dostać tytoń, Iwanie? – spytałem.

Błyskawicznie przestał się śmiać i przyciskając futrzaną czapkę do piersi oraz przewracając oczami, jakby klęczał modląc się przed ikoną, odpowiedział:

– W imię Jezusa Chrystusa, podarujcie mi. Bądźcie tak dobrzy.

Oczy jego pozostawały wilgotne od łez, które wycisnęła śmiech i które do jego obecnej maski bardzo pasowały. Zaś że to wszystko było tylko maską, nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości.

Przyniosłem mu tytoń, a on wziął go tym razem bez śmiechu, również nie uciekł. Spokojnie zszedł z płotu, nasadził czapkę na głowę, zza rozpiętej na piersi koszuli wyciągnął kawałek papieru gazetowego, zrobił sobie z niego skręta i napchał go tytoniem. Potem także zza koszuli na piersi wyciągnął zapałkę i do niego przytknął.

Kiedy po pierwszym zaciągnięciu się, nie patrząc na mnie i nie podnosząc głowy, połknął dym, zapytał:

– A ty? Ty jesteś Polakiem?

– Tak.

– Tak, tak – zamruczał. – Tak też sobie myślałem – odwrócił się teraz ode mnie, gapił się w siną dal i palił. Nie spuszczałem z niego wzroku.

– Polacy to dobrzy ludzie – ciągnął po dłuższej przerwie.

– Bardzo szlachetni... Ale ciągle się buntują.

Znowu przerwał, a potem kiwając głową dodał: – Szkoda.

Obserwowanie tego człowieka stało się dla mnie bardzo interesujące. Widziałem człowieka zezmaconego, wyniszczonego, który tak bardzo okazał się wyzbyty godności, że z udawania pomyłonego uczynił sobie zajęcie zarobkowe, wykorzystując krótkowzroczność i dobroć otaczających go ludzi. Tak mogłem sobie wyobrazić jego sposób myślenia, rozumowania.

Muszę w tym miejscu zauważyć, że symulantów podobnego rodzaju jest na Syberii stosunkowo dużo, gdyż bratiszki, idioci z sekty bardzo rozpowszechnionej we wschodniej Syberii cieszą się tam okazywaną szczególnie czcią. Z tego powodu, że nieszczęśliwcy nie mogą grzeszyć, jak się powiada, uznawani są za błogosławionych i obsypywani darami, jałmużną oraz innymi dobrodziejstwami. Oczywiście bratiszki, ci dobrzy, są często oszukiwani i wykorzystywani, przez osobników stroniących od pracy, dostatecznie sprytnych, by grać komedię w miarę przekonująco.

Iwan pozostawał pod tym względem prawdziwym wirtuozem i prawie nie mogę uwierzyć, żeby ktoś, na którego dobroci serca mu zależało, kiedykolwiek podejrzewał, że jego idiotyzm był tylko udawaniem, przedstawieniem. Ciągle grał tę komedię, nawet przede mną, choć pewnie dawno musiał spostrzec, że go przejrzałem. Ale nadal z podziwu godną konsekwencją zachował swoją maskę.

W tej chwili jednak, gdy wykrzyknął swoje „szkoda” z tego powodu, że jestem Polakiem – pogubił się w roli. Zauważyłem, że nad czymś się zastanawia i mniej więcej w taki sposób przedstawia swoją grę: jako Rosjanin czuje się zobowiązany do tego, by mnie, Polaka, który występował przeciw jego carowi, nienawidzić, z drugiej jednak strony nie chciał przez to stracić prezentów, jakie spodziewał się ode mnie wyciągnąć.

– Nad czym tak rozmyślasz? – podjąłem znów po chwili rozmowę.

– Nad wszystkim – odpowiedział.

Nagle zwrócił twarz w moją stronę, ręką wykonał gwałtowny ruch w powietrzu i wykrzyknął:

– Wsio pustoje, wszystko jest próżne – i znowu zaczął się śmiać, głupio jak zwykle. Po chwili naciągnął sobie czapkę na oczy i mrużąc pod wąsem, odszedł zataczając się, jak gdyby był pijany. Zaraz potem zniknął w uliczce Ciemnej. Usłyszałem jeszcze raz jego mrużenie:

– Pustoje, pustoje.

Dopiero po wielu dniach zabrzmiał za płotem hymn kościelny. Widomy znak, że Iwan chciał mnie znowu zaszczyścić swoimi odwiedzinami. Podszedłem znowu do płotu.

Tym razem, kiedy widział, że nadchodzę, wcale się już nie śmiał i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby mnie powitać, zdjąć czapkę. Od razu zebrał o pięciokopiejówkę.

– Na co tobie pięć kopiejek? – zapytałem.

– Chciałbym wypić szklaneczkę koniaku.

– Koniaku? Niemożliwe. Po co ci on?



Nie dał się jednak zwieść i zebrał dalej:

– Bądź tak dobry, panie, daj mi piąta.

– Nie mam nic przy sobie – powiedziałem, kiedy przez chwilę mu się przyjrzałem. – Wchodź ze mną do środka.

Cofnąłem się, a on przelazł przez płot i podążył za mną do domu. W progu mojego mieszkania przystanął i zaciekawiony zajrzał do środka.

Przyniosłem mu monetę i powiedziałem:

– Masz. Idź teraz i wypij za zdrowie twojego cara, który jest przyczyną tego, że znajdujesz się teraz w takim stanie, w jakim cię widzę przed sobą.

Wziął pieniądze, nie uciekł jednak, tak jak się tego spodziewałem, lecz rzekł:

– Nie, panie, car, jak ty sądzisz, nie jest winien mojemu nieszczęściu. Jego imperium jest ogromne, on nie może o wszystkim wiedzieć, jego urzędnicy są wszystkim winni.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Dziewczyna przyniosła samowar.

Jednak Iwan stał ciągle jeszcze, więc wpadła mi do głowy myśl, żeby zaprosić go na herbatę.

– Iwanie – zaproponowałem. – Czy chcesz wypić ze mną szklankę herbaty?

– Jeśli twoja godność ci na to pozwala – mruzczał, spoglądając na mnie podejrzliwie z boku.

– Chodź – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Herbata u buntowca nie jest gorsza, niż gdzie indziej. Chodź... Zostańmy przyjaciółmi. Cóż nas obchodzi car? On się przecież o nas także nie troszczy.

Pozwoliłem Iwanowi usiąść razem ze mną przy stole i nalałem herbaty do szklanki. Pił nie mówiąc ani słowa, ale dało się zauważyć, jak bardzo jest zaprzątnięty myślami. Dopiero przy czwartej szklance powiedział ociągając się:

– Ja też nie zawsze byłem taki, jak teraz... Jakim mnie teraz widzisz, panie... Kiedyś byłem... – przerwał sam sobie w tym momencie przeciągłym, głębokim i bolesnym westchnieniem.

– No cóż, jaki kiedyś byłeś? – zapytałem.

– Och! – jęknął, robiąc przy tym taki ruch, jakby chciał przepędzić swoje myśli. – To było już tak dawno temu... Tak dawno! Zniknęło w przeszłości jak sen... Jak sen!

Zamilkł, nie pił już i wkrótce pożegnał się. Ponieważ obawiałem się, że niczego się nie dowiem, jeśli będę go zmuszał, nie zatrzymałem go. Kiedy odchodził, podał mi rękę i powiedział:

– Iwan, panie, nie zawsze się śmiał... Był kiedyś uczciwym człowiekiem i dobrym obywatelem... Ale to nieszczęście... Ale nieszczęście tak chciało!

Zamilkł. Łzy napłynęły mu do oczu, nic już nie mógł powiedzieć. Odwrócił się nagle i dławiąc w sobie szloch, odszedł.

\*\*\*

## 2.

Przez następne dni padało bez przerwy, tak, że praca w ogrodzie stała się niemożliwa. Ale również wtedy, gdy zrobiło się już ładnie, po Iwanie nie było śladu. Dosłownie tęskniłem teraz za nim. Jego aluzje rozbudziły moją ciekawość, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego przeszłości. Jeżeli tylko udało mi się usłyszeć choćby najmniejszy szelest

za płotem, pędziłem tam natychmiast. Ale to nigdy nie był Iwan. Nikt niczego o nim nie wiedział. Minęło lato. Iwan na dobre zniknął bez śladu.

Była już głęboka zima. Prawdziwa syberyjska burza śnieżna szalała na ulicach. Na sam widok tego, co działo się na zewnątrz, wstrząsało człowiekiem, o ile odważył się w ogóle wyjść. Właśnie zapaliłem fajkę i przemierzałem pokój tam i z powrotem, kiedy weszła służąca i dygając, powiadomiła, że ktoś chce ze mną rozmawiać.

– W taką pogodę – wykrzyknąłem. – Nawet psa by na taką pogodę nie wypędził... Niech wejdzie. Wpuść go do środka!

Wszedł posługacz ze szpitala, w bardzo zniszczonym ubraniu wojskowym i ku mojemu największemu zdziwieniu zakomunikował mi, że przybywa ze szpitala więziennego, bo pewien Iwan Smiesznoj przysyła go po mnie.

– Śmiejący się Iwan? – zapytałem zdumiony. – Co on robi w szpitalu?

– Umiera – odpowiedział sucho posłaniec.

– Ach, tak... Tak... A czego on sobie ode mnie życzy?

– Żeby go odwiedzić.

– W taką pogodę? Czy służysz w szpitalu?

– Tak... Jako palacz... To znaczy... Właściwie... To robi ktoś inny. Ale ponieważ znalazł się w nocy i dostał baty... On już z pewnością wytrzeźwieje... Knutem, wie pan, no... więc musiałem go zastąpić.

Nie słuchałem już jego gadaniny, poszedłem do pokoju i przemierzałem go tam i z powrotem, zastanawiając się, jak można by spełnić prośbę Iwana. Przecież nie miałem nawet ciepłego okrycia... Na taką zawieruchę... A do szpitala była co najmniej godzina drogi.

Moje roztargnienie wcale mu jednak nie przeszkadzało, więc opowiadał dalej: Iwan podobno prosił już pozostałych posługaczy. Ale wszyscy się wykręcili. To przecież były brednie, jak sądzili. Jakie to znajomości mógł mieć włóczęga taki jak on? Lecz mój rozmówca miał serce tak dobre, że nie potrafił odmówić tej przysługi Iwanowi Smiesznemu. Wreszcie okazało się, że Iwan trochę się chwalił zażyłością ze mną, więc dobroduszny posłaniec oczekiwał ode mnie odpowiedniego napiwku.

Dzięki 25 kopiejkom wyswobodziłem się od jego gadulstwa. Oczywiście chciał jak najszybciej zniknąć. Zatrzymałem go jednak jeszcze i poleciłem, żeby postarał się o sianie, którymi mógłbym pojechać do szpitala.

\*\*\*

Dwie godziny później byłem już u śmiejącego się Iwana.

Szpital więzienny jak zawsze zimową porą pozostawał przepełniony. W długiej sali chorych brakowało choćby jednego pustego łóżka, a zapach, który tam się roznosił sprawiał, że można było zemdleć.

Usiadłem przy Iwanie i wyraziłem swoje współczucie.

Chwycił mnie za rękę. Całą jego dłoń pokrywał wilgotny zimny pot.

Długo nie dał rady mówić. Ale po jego oczach dało się poznać, jak bardzo ucieszyło go moje przybycie.

Wreszcie odezwał się:

– Jest pan szlachetnym człowiekiem... Tak, Polacy to buntowścizki, ale...

Pocieszałem go i wcisnąłem dwa banknoty rublowe do ręki, żeby skrócić ten jego wstęp. Przekonany byłem, że tylko o nie mu szło.

Wziął je zupełnie mechanicznie i niezbyt uważnie słuchał, co mówiłem. Dopiero wtedy, gdy zebrałem się już do odejścia, wyciągnął w moją stronę suchą rękę i zaskrzeczał:

– Nie, nie! Nie odchodź panie... Musi pan zostać... Musi pan...

Kaszlał głośno.

Kazałem sobie przynieść stołek i siadłem obok niego.

– Niech pan słucha – szepnął i przyciągnął do siebie moją głowę. Dopiero kiedy moje ucho znalazło się blisko jego ust, zaczął opowiadanie. Często przerywał mu kaszel i utrata sił. Opowieść jego brzmiała w ten właśnie sposób:

### 3.

– Nazywam się Kaczugin... Po moim ojcu Kiryłowicz... Imię, jakie dostałem na chrzcie, naprawdę brzmi Iwan... Iwan Kiryłowicz Kaczugin... Pochodzę z guberni Kaługa. Mój ojciec był kościelnym w wiosce, która należała do niezwykle dobrego pana... Ponieważ ojciec mój należał do kościelnego stanu, wolno mi było uczęszczać do szkół... Gdy miałem 9 lat, posłano mnie do najbliższego seminarium... Ileż tam musiałem wycierpieć! Niesmaczne jedzenie, żalosne zakwaterowanie... I te baty... Przynajmniej dwa razy w tygodniu każdemu z nas przetrzepano skórę i zamykano o chlebie i wodzie.

Dopiero po dwóch latach mogłem pojechać na wakacje do domu. Zmizerniałem tak, że mało brakowało, a w domu by mnie nie poznali. Kiedy zobaczył mnie dziedzic... Lubił mnie, ponieważ byłem bardzo podobny do mojej matki... tak mi się wydaje, he, he... Była kiedyś największą pięknoscią w okolicy. Kiedy mnie zatem zobaczył, ulitował się nade mną. Nie musiałem wracać do seminarium. Posłał mnie razem ze swoimi dwoma synami do gimnazjum. Uczyliśmy się razem w jednym oddziale i z początku wszystko układało się dobrze. Dla pańskich synków okazałem się kimś w rodzaju męczennika. Dlatego nic złego mi nie wyrządzili... Dopiero później zaczęło być inaczej... Szczypano mnie, bito, poszturchiwano, gryziono, kluto igłami: wszystko ku ich uciesze...

W czasie wakacji poskarżyłem się ojcu... Dopiero usłyszałem reprimendę! Ale dobrze trafiłem...

– Co? – naskoczył na mnie. – Ty wyrzutku! Ty pomioście! Ty nicponiu, hultaju! Jesteś nihilistą? Poczekaj! Ja cię nauczę, jak się powinno dziękować jaśnie państwu... za tyle dobroci i szlachetności.

Wymierzał mi przy tym policzki, raz z lewa, raz z prawa... Szybko spostrzegłem więc, że nie mam racji. Bydło jest po to, żeby pracowało. I żeby je później zjeść – myślałem... No a my, biedni ludzie? Do czego jesteśmy potrzebni, to już panowie dziedzice wiedzą najlepiej... Bóg już tak to wszystko urządził... Człowiek niczego tu nie zmieni...

Po roku mniej więcej synowie naszego pana podjęli służbę wojskową... Zaś ja zostałem zatrudniony w pobliskim miasteczku... Jako pisarz w kancelarii.

Osiem albo dziewięć lat później zmarł nasz dziedzic. Najstarszy syn przyszedł do nas jako jego następca...

Wcale jeszcze nie był u nas długo, kiedy ku mojemu wielkiemu zdziwieniu posłał po mnie.

– No, Iwanie Kiryłowiczu, jak ci się wiedzie? – spytał dobrotliwie...

Z wielkim respektem opowiedziałem wszystko, co mi leżało na sercu. Przytakiwał mi

uprzejmie. Pozwolił mi nawet potem usiąść obok siebie przy stole i poczęstował dobrą wódką. Jaki zaszczyt! Wreszcie mogłem odejść. Poklepał mnie po ramieniu i zapytał:

– Ty, Iwanie Kiryłowiczu, odwiedzisz mnie jutro znowu, nieprawdaż?

Rodzice prawie szaleli z radości, tacy byli dumni... Mają takiego rozsądnego syna!

Sam również się cieszyłem i czułem się niezmiernie podniesiony na duchu... A jakie miałem obmyślane plany na przyszłość! Cóż mnie bowiem wielkiego czekało jako pisarza na policji? Ciężka praca i niskie wynagrodzenie... Okazji do dodatkowego zarobku także nie było wiele. Najwyżej Żydzi wsunęli kilka rubelków do ręki... Ale ilu ich było w mieście?

A od innych nie dało się wiele oczekiwać...

Poza tym uwikłałem się w romansik... z Niuszą. Była bratanicą pewnego szewca i ciągle domagała się prezentów...

Właściwie miała rację. Ale skąd niby miałem je brać? Na dodatek przepięknie grała na bałałajce... A jak ona śpiewała! Zaś jej usta były słodkie jak cukier... Oooch tak!

Iwan głęboko westchnął i dodał smutno:

– Wszyscy jesteście grzesznikami.

Długo milczał aż widać było, że mówienie bardzo go wyczerpało...

– Czuję, że niedługo umrę – oznajmił, kiedy już trochę odpoczął. – Ale muszę się jeszcze pozbyć tego... Muszę się tego pozbyć!

Głęboko zakaszłał. Kazałem mu podać wodę z cukrem. Wypił i opowiadał raz nieco swobodniej i żywiej, to znów z wysiłkiem łapiąc oddech. Rozprawiał dalej, krótkimi, niepełnymi zdaniem:

– Prawie nie mogłem się doczekać tej gadaniny... Wie pan? Dziedzic zaprosił mnie przecież ponownie... Mocno byłem zdenerwowany, kiedy poleciłem się zameldować. Ale on we własnej osobie wyszedł mi naprzeciw, uścisnął rękę i powiedział, że mnie oczekiwał... Niech pan pomyśli, taki zaszczyt!

Zdarzyły się jeszcze jednak zupełnie inne rzeczy... Kiedy wkroczyłem do salonu, cóż zobaczyłem? Piękną jak obrazek młodą damę, której pan mnie przedstawił jako swojego przyjaciela Iwana Kiryłowicza... Stałem oszołomiony... Taki biedny robak jak ja przyjacielem pana dziedzica! Przecież w stolicy był on wysokim urzędnikiem. Na pewno dosłużył się tytułu ekscelencji.

Wszystko zawirowało mi przed oczami. Przewróciłem kilka mebli, zaś potem, kiedy państwo poszli do stołu... wcale nie miałem pojęcia, co ze mną będzie, ale również zostałem doń zaproszony... Wskutek tak wielkiego zdenerwowania usiadłem obok krzesła i jak długi upadłem na ziemię... Wcale mi to jednak nie zaszkodziło. My, Rosjanie mamy twarde czaszki... A zwłaszcza kościelni!

Po tym, co się stało, dopiero poczułem się lepiej. Wstrząs mnie otrzeźwił... Przepraszam, bo przecież nie byłem przyzwyczajony zasiadać do stołu razem z tak wielmożnym państwem. Jednak oni uznali, że to nic nie szkodzi i zawołali Waśkę, służącego... Pan chwycił go mocno za uszy i skarcił:

– Dlaczego postawiłeś krzesło tak niezręcznie, ty świniou, że mój przyjaciel musiał usiąść obok?

Tak traktowano mnie przez cały wieczór... Jedna uprzejmość za drugą...

Raz nawet wielmożny pan zapytał przepiękną młodą damę, czy nie uważa, że jestem piękny.



– Och, mój Boże, bardzo ładny – odpowiedziała.

Zrobiła przy tym przedziwne oczy...

Gdyby to mogła zobaczyć Niusza – wyobraziłem sobie w myślach.

– Pierwsze, co robisz po przybyciu do miasta, to jej o tym opowiesz. Ależ będzie zazdrosna!

Jaśnie państwo stawali się coraz bardziej uprzejmi... Służący usługiwali mi ze szczególną uwagą, specjalnie mnie wyróżniając... Kłaniali się w pas, jak prawdziwemu panu. Na sam koniec jednak nastąpiła największa niespodzianka:

– Ty, Iwanie Kiryłłowiczu, pojedziesz ze mną do Moskwy i to już pojutrze – zwrócił się do mnie znienacka pan...

Co? Ja do Moskwy... razem z moim panem? Wytrzeszczyłem oczy i otworzyłem usta... Czułem się, jakby uderzono mnie w głowę...

Kiedy znowu normalnie widziałem, a oszołomienie przeszło, młoda piękna dama zniknęła... Jaśnie pan powiedział, że ona jest jego kuzynką... Pan stał przy stole... W ręce trzymał arkusz papieru i ogłosił:

– Oto, Iwanie Kiryłłowiczu, twoje podanie z prośbą o zwolnienie z pracy. Podpisz to. Wyślę sam. Dostaniesz posadę w mojej własnej kancelarii. Kocham cię. Mojej kuzynce także się podobasz. Już się o to postaramy, abyś był szczęśliwy.

\*\*\*

Dwa dni później jechaliśmy do Moskwy – cała karawana: kuchnia i służba, wszystko razem z nami... Zaś ja musiałem usiąść z jaśnie panem i jego kuzynką... jako trzeci... w tym samym powozie! W głowie mi się mąciło... Niusza, bratanica szewca oraz to, co czekało nas w Moskwie... Wszystko okazało się takie, jak znałem z opowiadań: święty Kreml i dzwon Iwana... w dodatku jeszcze grały dzwonki powozu... Koła chrzęściły i podskakiwały... Sądziłem, że na pewno od tego wszystkiego oszaleję...

Wreszcie znaleźliśmy się w Moskwie... Wszystko było takie, jak we śnie... We śnie... Wszystko jak we śnie...

Poszedłem do biura... Pan był ciągle bardzo łaskawy... Inaczej tu było niż w tej dziurze, w domu...

Raz pan poklepał mnie po ramieniu i zauważył:

– Ależ szczęściarz z ciebie, Iwanie Kiryłłowiczu... Ja cię uszczęśliwię... Czy słyszałeś?

Co miał na myśli, tego nie wiedziałem... Wiele razy jednak dziękowałem za jego dobroć... I kilka dni później stało się...

– Iwanie Kiryłłowiczu – polecił jaśnie pan. – Ubierz się dzisiaj wieczorem odświętnie. Odwiedzimy moją kuzynkę...

Zrobiłem, co mi nakazano i co tylko mogłem... Wieczorem do niej poszliśmy... A jej mieszkanie... ojoj! Cudo... Nie do opisania! I jak nas przyjęła...

Ciągle nazywała nas obu swoimi przyjaciółmi. Również mnie podała rękę... Miała taką piękną małą dłoń – miękką jak aksamit! Gwiazdy znowu tańczyły w mojej głowie. Taka wielka uprzejmość...

Spędziliśmy tam cały wieczór... Zaprosiła nas, żebyśmy ją znowu odwiedzili... I teraz wstępowaliśmy do niej częściej...

Prawie codziennie...

Któregoś dnia pan wyszedł... Zostałem sam z piękną Sonią – tak nazywał ją jaśnie pan... Wtem usiadła przy mnie na kanapie... Pełen poważania chciałem wstać... Ale ona mnie powstrzymała, patrzyła na mnie tak szelmowsko i zaszeptowała mi do ucha:

– Bardzo cię kocham, Iwanie Kiryłłowiczu... Czy mnie także kochasz?

Zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje... Przedtem piłem dobrą wódkę... Zaś ta zawsze była u Soni dobra...

Odpowiedziałem jednak:

– Tak, oczywiście!

Teraz mnie objęła... Reszta mojego rozsądku całkowicie znikła... Nagle pan wrócił do pokoju.

– A to co znowu? – wykrzyknął.

Piękna Sonia odpowiedziała jednak spokojnie:

– Oto mój narzeczony, drogi kuzynie... Kocham go jak moje życie.

Mówiąc to objęła mnie znowu i ucałowała w policzki...

We mnie i ze mną tańczyło wszystko, co znajdowało się w pokoju: meble, lustra... ściany!

– Czy naprawdę, Soniu, jesteś przekonana, że on będzie dla ciebie dobrym mężem? – zapytał pan... To „dobrym” zaakcentował tak jakoś dziwnie.

– Ależ tak, z pewnością – odpowiedziała Sonia i ścisnęła moją rękę.

– No a ty, Iwanie Kiryłłowiczu – zwrócił się pan do mnie. – Czy chcesz ją poślubić?

– Tak – odparłem. – Jeśli jaśnie pan zechce pozwolić...

Co innego miałem odrzec? Ze strachu byłem cały sztywny... W skroniach łomotało mi jak w kuźni... W mojej głowie nie było ani jednej myśli... Gdy szedłem do domu, jaśnie pan powiedział mi, że jestem teraz z Sonią zaręczony.

\*\*\*

Osiem dni później odbył się nasz ślub, w cerkwi leżącej na uboczu... Oszołomiony usłyszałem „tak” wypowiedziane przed ołtarzem ustami Soni... Do tej pory przecież nie wierzyłem... Ale teraz stało się to prawdą: Sonia była moją żoną... O mój Boże, kiedy wspominam tę radość! A potem! Dystans, różnica okazała się zbyt duża! Jeśli pan to usłyszy, to może pan uwierzy w jaki sposób z grzecznego Iwana Kiryłłowicza powstał najmarniejszy grzesznik, którego teraz ma pan przed sobą...

Kiedy wróciliśmy do domu, a nasi goście byli bardzo radośni... pan nagle wziął mnie na stronę i oznajmił:

– Iwanie Kiryłłowiczu, Sonia czuje się trochę niedobrze... Musi pojechać do domu, ale sama. Zgadzasz się na to, prawda?

– Tak, jaśnie panie – powiedziałem, jak tego oczekiwano.

Sonia odjechała... Zostałem jeszcze, aż pan dał mi znak... Wtedy również się pożegnałem, odjechałem także... ale naturalnie do siebie... do mojego mieszkania... a nie do mojej żony. Jaśnie pan tak sobie życzył...

\*\*\*

Nadal też mieszkalem u siebie... O Soni nic nie slyszalem ani jej nie widzialem... Z poczatku lamalem sobie glowe, jak to jest ze mna i moja zona. Z czasem jednak przywyklem do tego stanu. Jaśnie pan jak najsurowiej zabronil mi odwiedzac Sonie, poki tego nie nakaze, a wiec tak zapewne musiało być dobrze. Dopiero po siedmiu miesiacach jaśnie pan kazal mnie przywolac i oglosil:

– Iwanie Kiryłłowiczu, gratuluję ci... Twoja żona urodziła ci syna...

Włosy stanęły mi dęba.

– Moja żona? – wykrzyknąłem. – Ależ jej przecież od dnia ślubu ani razu nie widziałem. Wtedy pan bardzo się zdenerwował.

– Głupcze – krzyknął do mnie. – Przecież ona jest twoją żoną. Co za bzdury wygadujesz?

Spojrzał przy tym na mnie, jakby zaraz miał mnie kazać wychłostać... Oczywiście trzymałem język za zębami... Kiedy jednak znowu znalazłem się na zewnątrz, zacząłem się głośno śmiać...

Kilka tygodni później musiałem pójść do Soni, ponieważ dziecko miało zostać ochrzczone... Była bardzo uprzejma, pokazała mi dziecko i powiedziała:

– Widzisz, Iwanie Kiryłłowiczu, jakie masz szczęście... Bóg podarował ci syna... I jakiego wspaniałego!

Chciałem coś powiedzieć. Ale w tej chwili przyszli już popi i diakoni. Ochrzcili dziecko.

– Iwan Iwanowicz Kaczugin! – otrzymali zapłatę i poszli... Na ucztę, oprócz jaśnie pana i mnie byli jeszcze rodzice chrzestni i akuszerka. Nikogo z nich nie znałem. Przy stole zatem pan zapytał:

– Iwanie Iwanowiczu, czy jesteś szczęśliwy, że masz syna?

Zacząłem się śmiać... Tak głośno, że znowu do mnie zakrzyczano:

– Ty głupcze! Czy przestaniesz się wreszcie śmiać?

Wtedy oczywiście przestałem.

\*\*\*

W ten sam sposób panie... urodziło mi się jeszcze dwoje dzieci. I za każdym razem, kiedy mi wieszowano, śmiałem się... Zawsze się śmiałem... Przecież to śmieszne? Prawda?

W tej chwili Iwana opanował konwulsyjny śmiech, któremu wtórowały koszmarnie ataki kaszlu, aż całkiem bez sił opadł na posłanie... Oddychał ciężko. Oddech miał krótki. Znowu dałem mu się napić wody z cukrem. Tym razem minęło pewnie z dziesięć minut, aż na tyle odpoczął, że mógł dalej opowiadać.

– I tak oto byłem już ponad cztery lata w Moskwie... Wiele się tam można nauczyć... O tak! Wszystko już wiedziałem! Ale... tylko się śmiałem. I wykonywałem swoje prace w kancelarii... Zbyt wiele nie miałem do roboty, niewiele więcej niż przy mojej żonie! O wszystko odpowiednio zadbano! Pan dotrzymał swojego przyrzeczenia... Całkowicie mnie uszczęśliwił... Tak, zapewne był szlachetnym człowiekiem! Sam był ożeniony z księżniczką... lecz jej nie kochał, jak mówiono... Tylko dlatego, że była tak bogata... Prawie cały czas przebywała w swojej posiadłości... O tak, wiedziałem już wszystko, ale... Och! Wszyscy jesteśmy grzesznikami!

Iwan opuścił głowę na piersi. Ręce leżały wyciągnięte na szarej kołdrze, całkiem suche. Usiłował złapać powietrze. Potem spróbował nakreślić znak krzyża, lecz nie miał już siły, więc się nawet nie starał. Zapadnięte oczy, tkwiące głęboko w tyłej czaszce, pozostały przymknięte. Wreszcie ponownie zebrał wszystkie swoje siły.

– Zakradłem się – zaskrzeczał ledwie słyszalnym głosem. – Była to straszliwa noc! Wysłuchałem nauk! Przyjaciele... oni tak długo mnie zwodzili, aż oszalałem. Wszyscy jesteśmy grzesznikami!

Pod łóżkiem mojej żony, tam się schowałem. Myślałem tylko o jednym: ten świeżo naostrzony nóż... wbiję w jego pierś, ponieważ tak bardzo chciał mnie uszczęśliwić...

Strachu wcale nie czułem... Byłem jak bestia... Czas jednak płynął tak wolno... Zupełnie jakby mijały lata, takimi się wydawały mijające minuty... Nareszcie! W pokoju obok śmieli się.

Przyszli... Och! Sonia niosła lampę... Postawiła ją na stole w sypialni, była taka szczęśliwa, taka serdeczna, ona – kochana moja żona! Och, jakim jestem grzesznikiem! Chciałem zaczekać... aż zasną... Ale nie mogłem zwlekać... Oni byli tacy szczęśliwi... Tak się śmiali... szczęśliwi. Ojej! Serce się we mnie przewracało i pękało, kiedy ich słyszałem... Nie mogłem czekać... Wcale tego nie chcąc, podszedłem do brzegu łóżka... wtedy dostrzegła mnie rozbierająca się Sonia.

– Zbójcy – krzyknęła... Co się działo dalej... nie wiem. Pamiętam tylko, że przyszła mi do głowy myśl, że ofiara mogłaby mi uciec, więc skoczyłem na niego jak tygrys... i...

– Och, Boże zmiłuj się nade mną! – krzyknął nagle tak głośno, że wszyscy wokół spojrzeli na nas. Wówczas pierś jego opadła. Zamilkł.

Nasłuchiwałem... Oddychał jeszcze, bardzo słabo, cicho...

Wszyscy nam się przyglądali.

– Przed sąd – zaskrzeczał umierający. – Ja tylko... ja się tylko śmiałem, ś-mi-ał-em, tyl..., śm...

I tak zmarł. Po chwili nasłuchiwałem znowu. Była już tylko cisza. Cisza wokół.

-----

Iwan przestał się śmiać.



## POSZUKIWACZE ZŁOTA Z KRASNOJARSKA

### 1.

Każdego roku, gdy tylko zaczyna się zima i Jenisej niesie na swoich szerokich plecach pierwsze olbrzymie kry lodowe, które Angara nieprzerwanie znosi do leżącego na północy Morza Lodowatego, w Krasnojarsku zaczyna się coś dziać.

Całe miasto upodobnia się do olbrzymiego jarmarku, na którym rozgrywa się gorączkowo życie. Ze wszystkich stron świata ściągają kupujący i sprzedający, aby w ciągu paru tygodni dobić interesów na cały rok. Napływały chmary robotników, którzy chcieli najmować się do ekspedycji wyruszających z Krasnojarska do miejsc, gdzie płucze się złoto, leżących w tundrze.

Setki sań wyposaża się w pierożki, peklowane mięso, smalec, masło, alkohol, cebulę, owies. Krótko mówiąc, ładowano całą żywność, jakiej potrzebują robotnicy stacjonujący długie miesiące w złotodajnych miejscach i wszyscy uczestnicy ekspedycji – oraz pasze, niezbędne dla zwierząt roboczych. Wszystko czekało w pogotowiu na ludzi, którzy zaraz po zamrożeniu Jeniseju wyruszą na północ. Jenisej bowiem o tej porze roku, kiedy pada gęsty śnieg i leży jego gruba pokrywa – okazuje się jedyną pewną drogą do tych dziewiczych terenów.

Cały dzień się handluje i pertraktuje, załadowuje i rozładowuje, nocą natomiast dzieją się niesamowite rzeczy. W karczmach mrowią się goście. W lepszych, bogatszych domach prywatnych urządza się spotkania i przyjęcia. Ojcowie, synowie, bracia, szwagrowie – wszyscy sposobią się do drogi na północ i Bóg raczy wiedzieć, czy się ich kiedyś jeszcze zobaczy. Je się, pije, tańczy, gra, bawi i płacze. Gwałtowne podenerwowanie udziela się wszystkim.

Jarzące się oczy patrzą na północ, gdzie w prastarych formacjach sjenitowych dawnych koryt rzek, gdzieś w niezmierzonej tundrze, pobłyskują kryształki złota.

Całym miastem włada gorączka złota i chęć błyskawicznego wzbogacenia się. Nawet najspokojniejsi stają się skłonni do ryzyka spekulantami, poświęcającymi cały swój dobytek na to, by przez noc stać się albo milionerem albo żebrakiem, w zależności od tego, czy będą mieli szczęście znaleźć bogate złoża czy im go zabraknie.

Straszna choroba – gorączka złota – zaatakowała ich bez wyjątku. Znają ją w każdym kraju, który ma złoża kruszcu. W zależności od warunków posiada wyróżniające ją oblicze. Pod jednym względem objawy pozostają takie same: tworzy się na wskroś dziwaczna społeczność o instynktach i charakterach, które tylko ona potrafi wykształcić.

### 2.

Jednym z najbardziej poważanych przedsiębiorców z Krasnojarska był Iwan Iwanowicz Machow, człowiek, który jeśli pominąć parę z wyróżniających go cech, może służyć za typową postać syberyjskiego poszukiwacza złota. Iwan Iwanowicz Machow liczył sobie około trzydziestu pięciu lat. Był wysokim, jasnym blondynem o małych, przenikliwych oczach, osadzonych w nieproporcjonalnie potężnej głowie. Nad małymi, zaciśniętymi ustami nosił niewielki wąsik tak jasnego koloru, że tylko jeśli przyjrzało się mu dokładnie, udawało się go odróżnić od koloru ciała. Kości żuchwy rzucały się w oczy za sprawą swojej nadzwyczajnej szerokości, twarz była jasnożółta. Tę niezwykłą twarz szeroki kark

łączył z potężną, wypukłą klatką piersiową, na której zaplatał długie muskularne ręce. Tułów był za długi, nogi natomiast krótkie, ale mocne jak żelazo.

Machow był nadzwyczaj silny i nieustraszony. Jeżeli wbił sobie coś do głowy, to nic na świecie nie było w stanie odwieść go od przeprowadzenia swojego zamiaru. Nigdy się nie przechwalał, ponieważ w ogóle mówił mało, a swoje kontakty ograniczał do najbardziej koniecznych. Mieszkał zawsze sam, nigdy w hotelu. Zamknięty w sobie jak kryształ sjenitu, żył tylko swoimi rozległymi interesami, które prowadził z ogromną rozwagą i niezłomną rzetelnością. Przy tym był życzliwego usposobienia i serca tak miękkiego, jak tylko można sobie wyobrazić.

Przed płcią piękną odczuwał Machow nieprzewycięzoną nieśmiałość. Przypuszczano już na jego serce niejeden atak, ponieważ uchodził za dobrze zapowiadającego się krezusa. Wiele odważnych matek czyniło użytek ze swojej mądrości, żeby zdobyć go dla swoich córek. Gdy tylko jednak zagadnęła Machowa którakolwiek z dam, od razu salwował się ucieczką, a jego żółta twarz pokrywała się płonąca czerwienią.

Brak umiaru w picciu, jedzeniu i grach hazardowych, właściwy większości syberyjskich wypłukiwaczy złota, nie był cechą, którą posiadałby Iwan Iwanowicz. Przeciwnie, jego wstrzeźliwość stała się przysłowiowa. Jadł i pił tylko wówczas, kiedy odczuwał taką konieczność i miał na to czas, a z zamiłowaniem, korzystał z tego, co wokół siebie znajdował. Od czasu do czasu dawał się namówić na partyjkę wista lub preferansa, ale większość czasu poświęcał na czytanie książek, które jednak ukrywał przed innymi, trzymając w zamknięciu. Ubierał się w prosty sposób, niezależnie od tego, czy trwała zima czy lato, czy było zimno czy ciepło, mokro, czy sucho, zawsze nosił kalosze, nałożone na buty z cholewami. Pozostawał największym abnegatem, jeśli chodzi o modę. Nosił swoje ubrania tak długo, jak tylko się dało. Dopiero kiedy stało się to konieczne, sprawiał sobie nowe, nie posiadał ich jednak nigdy więcej, niż akurat było to potrzebne. Tylko z jednego nie lubił rezygnować: z sobotnich kąpeli w łaźni.

Kiedy poznałem Iwana Iwanowicza Machowa, był właśnie zajęty wyposażaniem dużej liczby wozów w ładunki towarów, ponieważ przejął ich transport do tundry. Pracował wtedy dla większego Towarzystwa Wypłukiwaczy Złota jako administrator. Dopiero później nabył własne kopalnie złota. Całe stosy towarów i pakunków ładowano co dzień na sanie, spisywano, oznaczano, okrywano ochronnymi matami i przewiązywano mocnymi sznurami. Pracowały przy tym setki robotników i ciągle jeszcze zatrudniano nowych.

Dobór siły roboczej wymaga w tych okolicach wyjątkowej siły i rozsądku. Wiadomo, że lepsi robotnicy nie dadzą się za nic namówić do pracy w płukalniach złota, gdzie czeka ich prawie zawsze surowe, niemal barbarzyńskie traktowanie.

Dlatego też do tej pracy udaje się znaleźć wyłącznie najbardziej nikczemną hołotę: włóczęgów, wynędzniałych synów chłopskich lub ułaskawionych pospolitych przestępców, którzy mieli nakaz przesiedlenia. Wielu z tych hultajów zgłaszało się tylko po to, żeby okpić przedsiębiorców. Najpierw każą sobie wypłacić możliwie dużą zaliczkę, a potem usiłują uciec. Nie jest łatwym zadaniem dać sobie radę z tym narodem, ale Machow pokazał, że potrafi temu podołać.

Tym razem ładowanie wozów również przebiegało szybko i dokładnie, zgodnie z wszelkimi zasadami i kiedy Jenisej nadawał się już, żeby po nim jeździć, ekspedycja Machowa okazała się pierwszą gotową do drogi.

## 3.

W miesiąc po tym, jak wyruszyli jego ludzie, sam wybrał się w drogę. Opatulony w podwójne futro ze skór reniferów, w ciepłych butach z cholewami z lisich ogonów, uzbrojony po zęby, wsiadł do sań, zaprzężonych w trójkę ognistych koni i popędził. Zamierzał bowiem dogonić swoją ekspedycję.

Zgodnie z jego wyliczeniami musiało to nastąpić tam, gdzie karawany odchodzą od Jeniseju, skręcając na zachód, by dotrzeć do wyflukiwalni złota, które czasem dzielą od siebie setki wiorst, a rozmieszczone są na całym obszarze między Obem a Jenisejem.

Po to, by ułatwić sobie drogę i utrzymać między nimi łączność, przedsiębiorcy dysponują tutaj swego rodzaju prywatną pocztą. W odległości od pięćdziesięciu do stu wiorst między płukalniami złota, w zależności od tego, jak twarda jest zamarznięta powierzchnia Jeniseju, stawia się prymitywne domki, w których podróżujący mogą przenocować i wymienić zmęczone konie. Do zarządzania tymi stacjami zatrudnia się nieustraszonych, trzeźwo myślących i roztropnych mężczyzn, wyłącznie z rodzinami. Zwykle są nimi „brara”, jak nazywa się robotników z kopalń złota, o już sprawdzonym charakterze. Wyposaża się ich we wszystko czego tylko potrzebują do życia oni sami, ich rodziny i zwierzęta domowe. Zaledwie raz na rok dostają prowiant, przywożony im przez ekspedycje, który musi im wystarczyć aż do kolejnego roku, ponieważ na tej nieskończonej pustyni mchów zazwyczaj w zasięgu tysiąca wiorst wokół nie da się nic kupić. Nawet siana dla koni. Łatwo też pojąć, że ludzie ci, całkiem odcięci od świata, z czasem dziczeją i stają się bezużyteczni dla reszty społeczeństwa. Jednak oni sami świetnie się czują ze swoją bezgraniczną wolnością i wkrótce tak mocno przyzwyczajają się do patriarchalnego i dzikiego życia, że niezmiernie trudno przychodzi namówić ich do powrotu do wsi czy miasteczek.

Iwan Iwanowicz jechał dzień i noc, tak jak był do tego przyzwyczajony. Gdy jednak dotarł do ostatniej stacji nad Jenisejem, gdzie spodziewał się dogonić swoje wozy z towarami, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszał, że przejechały tędy już ponad tydzień temu.

Chociaż wyposażył ekspedycję w najlepszych i najpewniejszych przewodników, zrobiło mu się jednak nieprzyjemnie, że pomylił się w obliczeniach. Postanowił więc udać się w dalszą drogę, lecz nie tak, jak zwykle. Obrął szlak, który wiódł przez całkiem mu nieznane okolice. Tą drogą jednak spodziewał się dogonić karawanę najpóźniej za trzy dni, gdyż tamci musieli pokonywać drogę bardzo krętą i posuwać się naprzód noga za nogą.

Kiedy tylko wypił herbatę, wsiadł do sań i polecił woźnicy podążać drogą, która prowadziła prosto na zachód. Jednak i tym razem Iwan Iwanowicz miał się pomylić w swoich kalkulacjach.

Ledwie zapadła noc, zerwał się niesamowity wicher z potężną burzą śnieżną, tumanami białego puchu, który zasypał wszystkie drogi, aż nic nie było widać. Konie zanurzone aż po brzuch w śniegu prawie nie mogły iść. Z ogromnym wysiłkiem zdołały posuwać się naprzód krok po kroku.

Minęła bezsenna noc.

Konie wymęczone były do granic wytrzymałości i gdy nad ranem burza nareszcie ustała, dwójka podróżujących zobaczyła, że znajduje się pośrodku niezmiernie dużego oceanu śniegu, nie potrafiąc odnaleźć nawet śladu żadnej drogi i nie wiedząc, gdzie się w końcu znaleźli.

Daremnie wypatrywali jakiegoś domku stacyjnego.

Nic nie było widać.

Chociaż Machow nieraz już bywał zasypany śniegiem, tym razem czuł się wyjątkowo nieprzyjemnie. W tej smutnej okolicy śnieżna zaspą stała się już grobem niejednego nieustraszonego wyflukiwacza złota.

Pomimo to nie tracił zimnej krwi. Robił, co mógł, pozwolił wypocząć koniom, oddał im bochen swojego chleba, podzielił się z woźnicą koniakiem i słoniną. Wreszcie zaś zdecydował, żeby konie szły dalej, gdzie je oczy poniosą, licząc na łut szczęścia.

Burza śnieżna naprawdę już minęła. Tumany śniegu wciąż się jednak unosiły, jeszcze nic nie było widać.

Jechali tak przez trzy dni i trzy noce. Prowiant został zjedzony. Drogi ani śladu. Mar-twa i zastygła w bezruchu całkiem jak trup – tak wyglądała rozpościerająca się wokół śnieżna pustynia. Zdawało się, że nie zniesie wśród siebie niczego, co żywe.

W końcu – trzeciej nocy, tak około piątej nad ranem – zdało się Machowowi, że w od-dali dostrzegł promień światła.

– Tam widać światło – zawołał do woźnicy. – Naprzód.

Wszelkie jednak wysiłki, żeby pogonić mocno zagłodzone konie, na nic się nie zdały. Nie pomogły razy ani przekonywania czy prośby. Konie po prostu nie mogły się ruszyć w tym morzu śniegu.

Iwan Iwanowicz nie zastanawiał się długo. Zdjął z siebie futro, wyskoczył z sań i po-szedł, zapadając się aż po pierś w śnieg, w stronę światła.

– Na Boga! To będzie twoja śmierć – krzyczał woźnica.

Machowa nie sposób jednak było powstrzymać, z bezgranicznym trudem parł na-przód i wreszcie po wielogodzinnym wysiłku udało mu się dotrzeć do całkowicie zasypa-nego przez ostatnią burzę śnieżną, mocno uszkodzonego domku stacyjnego.

Zapukał do małego okienka.

– Kim jesteś? – zapytał z wnętrza stary, ochryply głos. – Czy jesteś duchem leśnym, szatanem czy bałwanem?

– Otwieraj wrota! – zawołał Iwan Iwanowicz. – Zasypało mnie. Mój wóz stoi niedale-ko stąd. Konie są zupełnie zmordowane i bez pomocy nie wygrzebią się ze śniegu.

Mężczyzna z trudem dał się przekonać. Nie mogło się to zdarzyć tak sobie. Następny domek stacyjny znajdował się w odległości mniej więcej stu wiorst, ekspedycja już prze-jechała. W jaki sposób więc pojedynczy podróżny mógł dotrzeć w taką śnieżycę aż tutaj?

Gospodarz wreszcie jednak zapalił łuczywo, wziął nabitą flintę do ręki i otworzył wrota.

Machow opowiedział w paru słowach historię podróży. W imię Chrystusa błagał go, żeby sprowadził tutaj woźnicę i konie. Tak też się stało.

Około dziewiątej można było nareszcie zasiąść do herbaty. Gdy Machow usłyszał obietnicę, że dostanie nowe konie i dowiedział się, gdzie teraz jest oraz w jaki sposób może dotrzeć do swoich, położył się na duży piec i zasnął.

Iwan Iwanowicz spał przez całą pozostałą część dnia i nie można go było dobudzić. Dopiero koło północy na mgnienie oka się ocknął. Ciemno było, choć oko wykol, a kiedy wyciągnął przed siebie rękę, żeby się przekonać, gdzie się znajduje – poczuł obok siebie ciało ludzkie.

– Kto to? – zapytał twardo, znowu w półśnie.



– Ja Masza, córka – odrzekł bardzo delikatny kobiecy głos. – Leż tylko spokojnie i nie rób hałasu.

– Skąd się tutaj wzięłaś? Czego ode mnie chcesz? – zapytał Machow zaspany, nie zdając sobie sprawy, gdzie się właściwie znajduje i co się wokół niego dzieje.

– Pst! Do diabła, milcz – szepnęła. – Chcesz pewnie obudzić starego, żeby mnie przetrępał? I tak bije mnie prawie codziennie.

Z tymi słowami wsunęła się pod kożuch, którym przykryty był Iwan Iwanowicz...

#### 4.

Następnego ranka burza śnieżna zaczęła się od nowa. Nie dało się ruszyć dalej. Machow został.

Akurat gdy siedział przy herbacie, do izby nagle weszła dziewczyna. Miała ze szesnaście lat. I usiadła obok niego.

Pomyślał o tym, co – jak mu się wydawało – śnił ostatniej nocy i poczerwieniał na twarzy. Czuł, że dziewczyna na niego patrzy. Spotęgowało to tylko jego zakłopotanie. Niespokojnie zaczął się wiercić na swoim miejscu.

Czego od niego chciała? Czy to, co zdarzyło się pod koniec nocy nie okazało się już snem?

Nie powiedziała jednak ani słowa ani się nie poruszyła. Dlatego odważył się wreszcie spojrzeć na nią z boku i zapytać, kim jest i jak się nazywa.

– Powinieneś to wiedzieć – oznajmiła. – W nocy ci przecież powiedziałam. Czy zapomniałeś już o tym? Jednak to nasz ojciec ma lepszą pamięć!

Iwan Iwanowicz zeszytniał. On i jego kobieta, nałożnica! Prawie nie potrafił zrozumieć tej myśli. Dopiero po długim zastanowieniu odważył się ponownie spojrzeć na tę małą. Jej duże czarne oczy ostro się w niego wpatrywały. Znowu pokraśniał, ale im dłużej przyglądał się Maszy, tym bardziej mu się podobała.

#### 5.

Następnego ranka, kiedy burza śnieżna nieco osłabła, postanowił jechać dalej. Przy pożegnaniu wcisnął Maszy do ręki banknot pięćdziesięciorublowy.

– Co to jest? – spytała, gapiąc się na niego ze zdziwieniem.

– To są pieniądze, Maszeńko – odpowiedział. – Jeśli będą tędy przejeżdżać karawany, będziesz mogła sobie za to sporo kupić.

– Kupić? – powiedziała poważnie, oddając mu papier. – Nie chcę sobie nic kupić. Niczego nie potrzebuję.

– Czego więc chcesz? – spytał, zaskoczony wyrazem jej twarzy.

– Chcę, żebyś znowu do mnie przyjechał, abys wrócił do mnie, słyszysz? – odparowała ze świecącymi oczami. – Masza poczeka na ciebie. Twoja Masza musi cię zobaczyć, jeśli nie chce umrzeć!

-----  
-----

Było już późno i starzy poganiali, żeby wyruszyć.

Iwan Iwanowicz odjechał. Jednak przez całą drogę nie potrafił zapomnieć tych czarnych, płonących oczu.

– Ja i jakaś dziewczyna? – rozmyślał. – To niemożliwe. Jak to się stało? Ja! Och!

Czym jest człowiek na świecie?

Długo poszukiwał rozwiązania tej zagadki. Długo łamał sobie głowę nad tym, by znaleźć odpowiedź na swoje pytania.

Wreszcie musiał zadowolić się takim wnioskiem:

– Nie wiem tego. Człowiek jest zabawką w grze okoliczności, niczym więcej!

Mnóstwo było pracy. Wymagało to zebrania wszelkich sił, żeby chmary robotników utrzymać w cuglach i zabezpieczyć skarby, które wydobyli. Jeśli trzeba ponosić tak wielką odpowiedzialność, ma się mało czasu na to, aby się zająć własnymi sprawami. Iwan Iwanowicz zwykle wykonywał swoje zadania z taką starannością, że ani jedna minuta nie pozostawała mu na rozmyślania. Na każdym kroku mimo to dopadało go wspomnienie osobliwej dziewczyny z tundry i często w samym środku wykonywania bardzo ważnej pracy, nagle pojawiała się przed nim postać Maszy, tak prawdziwa, że tylko za sprawą największego natężenia woli zdołał się od niej oderwać. Obraz jej ciągle jednak powracał. I kiedy Iwan Iwanowicz wiedział, że los nie chce mu się poddać, on mu uległ.

Najchętniej pojechałby do niej w drodze powrotnej. Skoro jednak prowadził ekspedycję, składającą się z wielu jucznych koni, a w setkach okratowanych worków znajdował się cały urobek złota z tego sezonu, nie mógł pozwolić na to, żeby robotnicy pomimo eskorty Kozaków wędrowali dalej sami. Dlatego musiał się trzymać utartego szlaku.

## 6.

Z niecierpliwością oczekiwał kolejnej zimy. Wreszcie Jenisej pokrył się znów lodem. Tak szybko, jak okazało się to możliwe wyprawił swoją ekspedycję i kazał się najkrótszą drogą zawieźć prosto do domku Maszy, dokąd przybył kilka tygodni wcześniej, niż zdarzyło się to przed rokiem.

Masza bardzo wyrosła i rozkwitła, wydoroślała nie do poznania. Już przy pierwszych, dających się słyszeć dzwoneczkach dochodzących z sań pospieszyła do drzwi i czekała tam, jakby nie oczekiwała żadnego innego podróżnego poza nim. Na rękę trzymała zdrowe dziecko, o jasnych włosach. Maszę wypełniała radość z powodu przyjazdu Iwana Iwanowicza.

Załomotało mu serce, kiedy na niego spojrzała. Ależ wypiękniała i wyrosła! I jak bardzo dziecko podobne było do niej! Nie powiedział jednak nic i wszedł do domu.

Dopiero kiedy później przyniosła mu jedzenie i usiadła obok niego, trzymając na rękę śpiącą dziewczynkę, zapytał, czy się nie obawiała, że on nie wróci.

– Nie – odpowiedziała zupełnie swobodnie. – Przecież ci mówiłam, że będę na ciebie czekać.

– Ale nawet nie wiedziałaś, jak się nazywam?

– Nie, po cóż też? Przecież jesteś ojcem mojego dziecka. Powiedz mi to teraz, jak się nazywasz?

– Iwan Iwanowicz Machow.

– Tak? Iwan Iwanowicz...

Dziecko obudziło się. Bawiła się z nim i powtarzała wielokrotnie:

– Iwan Iwanowicz.

Machow przypatrywał się jej w milczeniu, całkowicie ogarnięty uczuciem.

– Jak się nazywa mała? – zapytał wreszcie.

– Jakże ma się nazywać? Masza, tak jak ja.

– Masza... Maszeńka – powtarzał sobie cicho Iwan Iwanowicz.

– Ojciec mówi, że pop powinien ją ochrzcić – opowiadała dziewczyna, podczas gdy Machow przyglądał się jej z namysłem. – Dlaczego, nie powiedział. Nie znam się na tym. Pop do nas nie przychodzi, a my nie możemy jechać tak daleko. Zresztą po co? Nazywam ją po prostu Masza, a ona rozumie, mimo że jej pop imienia nie nadał... Nieprawdaż, Maszeńko, moje szczęście jedyne, moje złote?

Przyciągnęła dziecko do piersi i ucałowała.

Iwan Iwanowicz wstał nagle, wziął od niej dziecko i obsypał je niezdarnymi pieścotami, aż zaczęło płakać.

Tym razem kiedy Machow pojechał dalej, zabrał ze sobą Maszę i małą do kopalni złota, potem zaś do Krasnojarska. Po kilku latach ożenił się z nią i przeprowadził, już jako bogaty właściciel kopalni złota, do Irkucka. Tam półdzika dziewczyna z tundry szybko przemieniła się we wspaniałą damę, która sporą wagę przywiązywała do zasad dobrego tonu, do dobrych manier i potrafiła tak umiejętnie wywiązywać się z roli, jaką grała w towarzystwie, jak gdyby od dziecka ją do tego przysposobiano.

Iwan Iwanowicz Machow pozostał natomiast tym, kim był uprzednio: syberyjskim poszukiwaczem złota oraz filozofem z krwi i kości.

## RODZINA STRIELNIKOWÓW

Jednym z najbardziej gościnnych domów w Irkucku był ten, który należał do kupca i fabrykanta Apolinarego Strielnikowa. Nigdzie nie odbywały się wspanialsze przyjęcia z bardziej wyśmienitymi potrawami i lepszymi winami. Uroczystości, które tu organizowano nie powstydzilby się żaden z europejskich salonów. Największym jednak mangesem, przyciągającym do domu Strielnikowów, była piękna żona gospodarza, pełna radości życia gospodyni – Matriona Fadijewna.

Apolinary Karpowicz Strielnikow był synem niezwykle bogatego kupca i właściciela fabryki. Mimo dobrobytu, jego wychowanie pozostawało jednak bardzo mierne. W szkole nauczył się zaledwie najpotrzebniejszych rzeczy, mniej z własnej winy, bardziej za sprawą rodziców.

– Po co nasze jedyne dziecko ma sobie łamać głowę nad tymi błazeństwami? – odpowiedział stary Strielnikow, kiedy go o tę sprawę zapytano. – Niech pan posłucha, jak obchodzono się z tym biednym chłopcem. Moja żona od dłuższego czasu widziała, jak Apolinary Karpowicz zawsze wychodził z pokoju nauczyciela, którego zatrudniłem w naszym domu za namową jednego z przyjaciół, z zapłakanymi oczami. Postanowiłem więc samemu się przekonać, jak odbywa się lekcja. Zakradłem się pod drzwi pokoju, gdzie się ta nauka odbywała i podsłuchiwałem.

– Powiedz mi – usłyszałem pytanie nauczyciela. – Przez jakie kraje i miasta będziesz musiał przejść, jeśli zechcesz udać się z Irkucka do Paryża?

Chłopiec oczywiście tego nie wiedział. Ależ się ten głodomór zdenerwował, wprost nie do opisanego!

– Ty ośle! – krzyknął do dziecka. – Przez cały tydzień pokazywałem ci to na mapie, a ty ciągle jeszcze nie wiesz?

No, tego było mi trochę za wiele. Wszedłem i rozprawiłem się z tym człowiekiem.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Dlaczego panu przychodzi do głowy zamęczać mojego syna takimi głupstwami? Jeśli mój syn zapragnie dokądś pojechać, to pośle służącego i każe przygotować list podróży. Tam już jest napisane, jak podróż powinna przebiegać. Wszystko inne pozostaje sprawą kierującego powozem pocztowym. A już iść, to mój syn w ogóle nie będzie, nawet do cerkwi. Dzięki Bogu mamy dość pieniędzy, aby mieć za co jeździć. Pan nie zna się na tym i nie potrzebuje pan już do nas przychodzić – po tych słowach odliczyłem mu pieniądze za cały miesiąc, zabrałem mojego syna i pozostawiłem głodomora samemu sobie.

W takich warunkach edukacja duchowa młodego mężczyzny musiała pozostawać daleko w tyle za jego niewątpliwie znaczniejszymi umiejętnościami. Skoro jednak to, czego się już nauczył, zdaniem ojca wystarczyło, żeby kiedyś przejąć zarządzanie interesem – obie strony były z tego obrotu sprawy zadowolone. Głównie dlatego, że Apolinary Karpowicz od najmłodszych lat był przyzwyczajony ślepo wykonywać wolę ojca. Nie łamał sobie nad tym głowy i – na ile pozwalały zyski z interesu – był wystarczająco wyposażony przez ojca w pieniądze, dzięki którym mógł beztrudnie oddawać się skłonnościom wieku młodzieńczego, którym miasto stwarzało nieskończone możliwości.

W rok mniej więcej po śmierci matki, ojciec kazał go wezwać do swego pokoju i oznajmił:



– Apolinary Karpowiczu, chciałbym uwierzyć, że kochasz mnie jako swojego ojca i jesteś przekonany o tym, iż pragnę twojego dobra.

Apolinary słuchał w pozie pełnej szacunku, jak zwyczaj tego wymagał i odpowiedział:

– Ojczulku, daliście mi życie i możecie ze mną zrobić, co zechcecie. Szanuję was, jak polecił Bóg szanować swoich rodziców. Czy czymś zawiniłem?

Ojciec uprzejmie poklepał go po ramieniu i z wielkim zadowoleniem powiedział:

– Nie, uchowaj Boże! W żadnym wypadku. Ale widzisz, mój synu, że moja żona, a twoja świętej pamięci matka, zgodnie z wolą Bożą odeszła do nieba, my zaś potrzebujemy kobiety w domu. Jestem już za stary, żeby żenić się po raz drugi. Nie chcę też, by ludzie gadali. Ty jednak wkrótce skończysz 24 lata i życzyłbym sobie, żebyś zawarł związek małżeński. Czy mnie zrozumiałeś?

Apolinary Karpowicz skłonił się i wyszedł.

Mniej więcej po tygodniu kazał się zaanonsować u ojca. Stary siedział przy liczydło.

Apolinary stał w odległości, wyrażającej pełen respekt i czekał, aż ojciec spojrzy na niego i zapyta.

– No więc, Apolinary Karpowiczu, jakie masz życzenia?

– Nakazaliście mi, żebym wstąpił w święty związek małżeński – odpowiedział młody mężczyzna, skłoniwszy głowę aż na piersi w należnym goście posłuszeństwa.

– Oczywiście – potwierdził ojciec. – Czy znalazłeś już jakąś?

– Tak, ojczulku. Jeżeli będziecie skłonni zezwolić, to z pełnym szacunkiem pragnę zakomunikować, że palec Boży mi ją wskazał. Nie ma pieniędzy a jej rodzice są nisko urodzeni. Jednak jest bardzo ładna, zdrowa i sądzę, że będzie świetnie pasować jako synowa dla was i żona dla mnie. Gdybyście więc nie odmówili nam ojcowskiego błogosławieństwa, moglibyśmy się pobrać i dać naszemu domowi radość oraz przysporzyć porządku i ładu.

Apolinary Karpowicz skłonił się nisko i cofnął z szacunkiem.

Ojciec odpowiedział mu po chwili: – Tak więc? Ona jest ładna? Możesz sobie na to pozwolić, żeby ożenić się z najpiękniejszą. Jesteśmy bogaci i Bóg obdarzył nas wszelkimi dobrami... Jest uboga? Hm... Wszyscy przychodzimy ubodzy na świat, a kiedy umrzemy i tak nic z naszych bogactw nie możemy ze sobą zabrać. Jest niskiego urodzenia? Wszyscy ludzie zrodzili się z tej samej ziemi i do niej też powrócą... Wszystko jedno... Czy mam pojechać i sobie ją obejrzeć?

– Jeśli pozwolicie, każę po nią posłać.

Zawołano woźnicę i zlecono mu pojechać po Matryonę Fadiejewną i zaprosić ją wraz z rodzicami.

Matriona Fadiejewna w całym mieście znana była z urody i pogody ducha. Wszędzie nazywano ją: mewa śmieszka. Bo śmiała się tak jasno, promiennie i słonecznie, że w towarzystwie każdy musiał być radosny.

Rodzice Matryony pochodzili ze wsi, ale niedługo po jej narodzinach przeprowadzili się do miasta, gdzie ojciec najpierw pracował jako dozorca, a później uzyskał posadę woźnego w gimnazjum. Co prawda, nie wzbogacił się na niej. Jednak Matriona Fadiejewna jako jedyna córka wychowywana była lepiej, niż wymagał tego jej skromny stan. Rozpieszczano ją na wszelkie możliwe sposoby. Chodziła w gorsiecie i kapeluszu. Nowinki w modzie śledziła z upodobaniem i zapałem.

Inni również rozpieszczali Matryonę Fadiejewną z powodu jej urody i pogodnego usposobienia. Mężczyźni dosłownie do niej się przymilali. Jej piękna i uprzejma twarz, drobna

postać i gracia jej ruchów oczarowały wszystkich, a do tego wносиła w swoje otoczenie coś szczególnego, przez co bardziej zwracała innym w głowach. Matriona Fadiejewna byłaby wspaniałą dziewczyną – bez jej kokieterii. Zależało jej dosłownie na tym, żeby wabić mężczyzn, więc wszyscy zalecali się do niej, ale żaden nie chciał pojąć jej za żonę.

Jej rodzice już się więc obawiali, że zostanie starą panną, gdy na horyzoncie pojawił się Apolinary Karpowicz, wielki kupiec.

Matriona Fadiejewna nie miała żadnych zastrzeżeń co do tego, że przypadał jej zaszczyt złożenia pierwszej wizyty bogatemu panu, jakim był Strielnikow, chociaż właściwie to ją kupiec powinien odwiedzić. Wręcz przeciwnie, sama o to zabiegała. Przyszła wystrojona świątecznie, w asyście rodziców. Swoim zachowaniem i urokiem wywarła jak najlepsze wrażenie, tak, że stary Strielnikow nie mógł się jej nachwalić i podziwiał dobry gust i wybór syna.

Po kolacji posłano po popa. Zapalono święte świece, zdjęto ze ściany ikonę z Matką Boską, zdobioną bogato szlachetnymi kamieniami, która służyła już czterem pokoleniom przy okazji wszelkich uroczystości w domu Strielnikowów i każdemu ważniejszemu wydarzeniu przydawała splendoru. Następnie młodzi zostali pobłogosławieni pośrodku bogato umeblowanego pokoju, na całkiem nowej otomanie, przy wtórze śpiewu i modlitwy.

Narieczona za pierwszy pocałunek otrzymała piękną biżuterię z brylantami po zmarłej matce Apolinarego, zaś jej rodzice dziesięć tysięcy rubli.

– Dzięki Bogu, stać nas na to – zapewnił przy tej okazji Strielnikow. – A teraz jesteśmy jedną rodziną.

Po sutej kolacji sam oprowadził synową po wszystkich pokojach, ucałował i ogłosił:

– Teraz to wszystko jest twoje. Teraz ty jesteś panią tego domu. Dzięki Bogu, stać nas na to, a ty będziesz z nami dzielić wszystko, czym nas Bóg obdarzył.

Wkrótce wyprawiono huczne wesele. Dom Strielnikowów znowu miał gospodynię.

## 2.

Nawet po ślubie z Matrioną Fadiejewną, Apolinary Karpowicz niewiele w swoim życiu zmienił. Interesy pozostały jego głównym zajęciem, a kiedy został ojcem, poświęcił im wszystkie siły i czas, nie troszcząc się o nic, co nie byłoby z nimi związane. Dyskusje o świecie obmierzły mu i uważał za grzech każdą próbę zmiany utrwalonych w dzieciństwie poglądów, że Pan Bóg na Niebie a car na Ziemi są jedynymi, którzy mają prawo rządzić światem i uszczęśliwiać ludzi lub im szczęście odbierać. Tak jak ojciec, stał się stłumić w sobie każde własne przekonanie, wierny tradycji.

Twardo trzymał się obyczajów, w których go wychowano. Żadna brzytwa nigdy nie dotknęła jego brody, ale każdej soboty po łaźni kazał sobie przycinać równo włosy wzdłuż linii, biegnącej od jednego ucha do drugiego. Potem przychodził jeszcze czas na golenie. O dom troszczył się równie mało, jak kiedyś zwykł czynić jego ojciec. Wedle jego przeświadczenia pozostawało to sprawą kobiety, którą zresztą w tym celu poślubił. Tak jak przedtem nosił spodnie wsunięte w buty z cholewami oraz długi rosyjski płaszcz, i tylko przy nadzwyczajnie uroczystych okazjach, jak bale i przyjęcia organizowane przez żonę, zadawał sobie trud nałożenia odświętnego ubrania lub fraka.

Zresztą kochał swoją żonę, cieszyło go jej powodzenie w towarzystwie. Darzył ją pełnym zaufaniem i pozwalał na zaspokojenie zachcianek, zezwalał na jej wszystkie za-

interesowania. Obsypywał ją dowodami dobroci i poświęcał ogromnie dużo uwagi. Skoro pozostawiał jej całkowicie wolną rękę i mogła w domu czynić wszystko, na co miała ochotę, błyskawicznie zgromadził się wokół niej krąg gości, którzy oczarowani jej urokiem z lubością wypijali wina jej męża.

Dalece bardziej niż możliwość oddawania się przyjemnościom zabaw, zdawał się uszczęśliwiać ją fakt, że bogactwo i dobroć męża pozwalały jej zaspokajać potrzebę pobożności, ile tylko dusza zapragnęła. Zawsze była otoczona kilkoma batiuszkami i matiuszkami. Modliła się wraz z nimi, a dobrzy mnisi – braciszczowie i zakonnice – siostrzyczki niezmiernie zachwalali przebywanie w tym bogatym domu. W każde święta przychodzili popi, by odprawiać modły. Latem domowe świąteczne nabożeństwa przenoszono do lasu i spraszano na nie wielu gości.

Żadnemu z pobliskich klasztorów nie odmówiła wizyty, w każdym pozostawała przynajmniej kilka dni. Przed Świętami Wielkanocnymi jechała do Klasztoru Innocentego i pościła tam całe trzy tygodnie. Dla uczczenia jej powrotu zawsze organizowano duże przyjęcie. Goście witali ją życzeniami, za co każdego z nich trzykrotnie całowała w usta.

Nawet wtedy, gdy Matriona Fadiejewna została matką wspaniałego chłopca, zachowała ten dziwny sposób bycia i życia. Stała się jeszcze ładniejsza, bardziej kwitnąca, mocniej pobożna i weselsza niż przedtem – ale też bardziej kokieteryjna. Wciąż pozostawała najlepszą, najzwinniejszą tancerką i najpogodniejszą kobietą w Irkucku.

### 3.

Tak minęło dziesięć lat, w trakcie których nie wydarzyło się nic szczególnego, aż pewnego dnia Apolinarego Karpowicza zaskoczył anonimowy list, który dał mu wiele do myślenia.

Najpierw rzucił to pismo na ziemię, straszliwie nań kląć i plując, potem jednak, może mniej spokojny niż wcześniej, powrócił do pracy, mrużąc od czasu do czasu pod wąsem niezrozumiałe słowa. Dopiero kiedy skończył, list znów znalazł się w zasięgu jego wzroku. Podbiegł więc i pałając wściekłością oraz głośno złorzecząc, podarł go. Wreszcie jednak podniósł to, co z niego zostało i zamknął na klucz w biurku.

Wychodząc, natknął się w przedpokoju na sługę Fiedię, który podawał mu palto i pomagał się ubierać. Stanowiło to nowość, wprowadzoną przez Matryonę Fadiejewną.

– Fiedia? – upewnił się, nie patrząc na niego. – Czy moja żona jest w domu?

Matriona Fadiejewna zamieszkiwała pokoje na górnym piętrze.

– Jaśnie pani kazała zaprząć kabriolet i pojechała zapewne ze starym mnichem do cerkwi. Odbywa się tam dziś nabożeństwo w intencji świętego Arkadego.

Strielnikow zadowolili się tym, wsiadł do swego powozu i udał się na spotkania w interesach. Ledwie jednak oddalił się o kilka ulic od domu, polecił stangretowi zawrócić i zawieźć się do kościoła farnego.

Przed wejściem do świątyni stało wiele powozów. Przebiegł wzrokiem po wszystkich. Brakowało wśród nich zakrytego kabrioletu.

Wysiadł, gnany przecuciami i wszedł do środka. Niemal mechanicznie spryskał się święconą wodą, skłonił głęboko, podszedł do świętego krzyża, ucałował go, dał na zapalenie kilku świec w intencji świętego Arkadego, wrzucił monetę do puszkki i ruszył dalej.

Długo jego wzrok daremnie błądził w poszukiwaniu Matryony Fadiejewny. Serce bolało go, jakby ktoś wetknął w nie nóż. Stopniowo jednak odczuł działanie uroczystej ciszy świętego miejsca na swój nastrój.

– Stoi na pewno na samym przedzie – przekonywał siebie. – Gdyż znajduje się tutaj z całą pewnością, a tylko ty jej nie widzisz, ponieważ jest taki tłum.

Dalsze przeciskanie się naprzód stało się niemożliwe, więc uspokoił się tą myślą, splunął za siebie i opuścił cerkiew.

– Jaki ze mnie głupiec – myślał sobie. – Skoro w ogóle zwracam uwagę na takie plotki.

Jeszcze raz splunął za siebie i z okrzykiem „oszczerstwo” wszedł do powozu, zdławił w sobie chęć, żeby ponownie zlustrować pojazdy, stojące przed cerkwią i wyruszył załatwiać interesy.

Kiedy wrócił do domu, spytał Fiedię, czy przez ten czas żona wróciła...

Zanim jednak Fiedia zdążył odpowiedzieć, wybiegła mu w pośpiechu naprzeciw, rzuciła się na szyję, pocałowała i powitała najczulszymi słowami.

Czuł się, jakby za chwilę miało go porazić słońce, tak gwałtownie napłynęła mu krew do głowy. Czy mógł nawet tylko przez mgnienie oka nie ufać tej kobiecie? Wstyd czuł teraz aż w głębi duszy i pozwolił, by Matriona Fadiejewna prowadziła go jak dziecko.

Zabrała go ze sobą, poszli do jej pokojów, a potem razem do bawialni syna. Grisza siedział przy swoim stoliku i wycinał święte obrazki z arkusza, który dostał w podarunku w jednym z klasztorów. Gdy spostrzegł ojca, którego bardzo kochał, podskoczył, pobiegł w jego stronę, ucałował serdecznie jego rękę i delikatnie się do niego przytulił. Wiele już nauczył się od matki.

Przywiązany do syna Strielnikow darzył swojego Griszę prawie boską miłością. On, co było jego najskrytszym marzeniem, miał kiedyś osiągnąć wszystko, co jemu samemu nie zostało dane. Miał uczestniczyć w błogosławieństwie wiedzy i oświaty, do którego dostępu jemu samemu zabronili rodzice. Przecież za ich czasów świat był jeszcze inny. Teraz jednak car, niech mu Bóg błogosławi, uwłaszczył chłopów. Już nie stan, w jakim człowiek się rodzi, lecz to, czego się nauczy okazywało się rozstrzygające. Kiedyś byli chłopci i panowie – a chłop musiał pozostać chłopem, choćby zdobył wielkie bogactwa. Teraz wszyscy ludzie byli równi i tylko wykształcenie stanowiło o różnicy. Choćby Purgałow – sąsiad wywodził się z chłopów, a był teraz naczelnym lekarzem sztabowym w randze generała. Dlatego Grisza miał zostać inaczej wychowany niż jego ojciec. Po to, by doszedł do dóbr wyższych niż puste bogactwo. Miał się nie bać własnego zdania i rozwijać własne poglądy na świat. Grisza powinien uczyć się do szkół, nauczyć się w nich czegoś przydatnego i z Bożą pomocą pójść do Pitra – jak nie tylko w Irkucku familiarnie nazywano Petersburg – na uniwersytet.

Cieszyły go wzruszały pieszczoty jego syna. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy sam tak bardzo musiał cierpieć, jak nigdy przedtem w życiu. Czułość jakby przytłoczyła go, podniósł więc dziecko, przycisnął i całował aż mu po policzkach popłynęły łzy.

– Och, ty mój Grisza! – wykrzykiwał przy tym. – Mój drogi synu! Pewnie, że będziesz pracowity i będziesz się uczył? Sprawisz swojemu ojcu więcej radości niż cokolwiek innego na świecie, niż wszystkie bogactwa, niż... niż...

Przy tych słowach rzucił dziwne spojrzenie, z ukosa na Matryonę Fadiejewną, którą zaskoczyły wylewne czułości jej męża.

– Czym jest szczęście? – ciągnął, gdy postawił znów chłopca na podłodze. – Szczęście? Hm... Jest niczym światło, lekki podmuch... i gaśnie.

-----

Matriona Fadiejewna z początku wcale nie wiedziała, czym wytłumaczyć zachowanie męża. Dopiero kiedy po paru dniach poprosił ją, żeby w przyszłości powiadamiała go,



kiedy ma zamiar pójść do cerkwi bądź odwiedzić któryś z klasztorów, wpadła na myśl, że przyczyną zmiany musiało stać się rzucone na nią podejrzenie. Przez jakiś czas starała się – oczywiście nadaremnie – wytropić sprawcę intrygi. Częściej zmieniała posłańców i starała się zachować jak największą ostrożność. Na dłużej jednak okazywało się to nie do zniesienia, bo jej lekkomyślne usposobienie przeważało. Zapominała o tym, co się wydarzyło i powróciła do poprzedniego stylu życia, chociaż nie umknęło jej, że Apolinary Karpowicz od czasu sceny z Griszą stał się wobec niej całkiem inny niż poprzednio, mniej wyjeżdżał, rzadziej spędzał wieczory w klubie. Zauważyła dziwne błyski w jego oczach. Czasami dostrzegała taki wyraz jego twarzy, że sama natychmiast bladła. Pozostawała jednak tak lekkomyślna, że wszystko uznawała za przypadek lub przywidzenie.

Tylko raz, przy stole, kiedy on siedział w melancholijnym nastroju i rozmyślał, zapytała, co mu jest i czy ma jej coś do zarzucenia.

Nie mówiąc ani słowa ani nie wypuszczając z ręki noża, którym się bawił, spojrział w jej stronę i gapił się na nią wzrokiem tak przenikliwym, aż zerwała się przerażona.

W końcu z niesamowitą siłą wbił nóż głęboko w blat stołu i wyszedł, niespokojnie oglądając się za siebie jak spłoszona hiena.

#### 4.

Począwszy od tego dnia oboje czuli, że coś stało między nimi i tylko wspólna miłość do Griszy, który urodą podobny był do matki, a przez nauczycieli chwalony jako najlepszy i najzdolniejszy uczeń, zapobiegała całkowitemu rozkładowi.

Przed gośćmi odwiedzającymi dom Strielnikowów nie dało się oczywiście ukryć tego nastroju, a ponieważ znali despotyczny charakter Apolinarego woleli mocno ograniczyć swoje wizyty. Każdy wiedział, że ten olbrzymi mężczyzna potrafił, mimo swojej uprzejmości, objawiającej się w zwykłym spokojnym obcowaniu – w zdenerwowaniu zmienić się we wściekłą, szalejącą bestię.

I tak na przykład, jeszcze w okresie pierwszych lat pożycia małżeńskiego, kupił do sań konia – wspaniałego i nadzwyczaj drogiego. Cenne zwierzę wkrótce bardzo pokochał i starannie pielęgnował. Po pewnym czasie koń, może wskutek nadmiernej o niego troski, stał się samowolny i narowisty, płoszył się przy byle okazji. Pewnego dnia, kiedy Apolinary Karpowicz pojechał wraz z małżonką do miasta po zakupy – koń stanął w miejscu. Jego właściciel próbował przez pierwszych kilka minut słowami, a potem uderzeniami pejcza spowodować, żeby ruszył. Powoli jednak rozpałała się w nim wściekłość. Zacisnął mocno zęby, wargi nabrzmiały mu jak nieforemna masa, twarz powlekła się bladością, oczy pobłyskiwały jak niebo w trakcie gwałtownej burzy. Przez cały ten czas nie wypowiedział ani słowa. Raz tylko wydał z siebie ochryply okrzyk i zaraz wyskoczył z sań, wyciągnął swój nóż i nie zwracając żadnej uwagi na ludzi, gromadzących się wokół, wbił go w serce zwierzęcia.

Swoim pracownikom Strielnikow również czasem demonstrował swój barbarzyński charakter, choć póki mógł, starał się opanować swoją złość. W mieście wiedziano o tym i mówiono, że kiedy jest zły, lepiej nie mieć z nim do czynienia. Jeden po drugim goście zaczęli unikać jego domu i niebawem wspaniałe, okazałe salony Matriony Fiedorowny, w których przedtem było tak gwarno i wesoło, stały teraz puste i opuszczone.

-----

W tym czasie autor anonimów, który wydawał się śledzić każdy krok Matriony, nie przerwał prześladowania Apolinarego przy użyciu swojej pisaniny. Częstokroć pracow-

nicy byli przerażeni widokiem Strielnikowa, kiedy błąd jak trup i ze świecącymi oczami wychodził ze swojego kantorka.

Za każdym razem udawało mu się jednak na tyle opanować wściekłość, że uniknięto przynajmniej skandalu w obecności posłańców. Działo się tak do chwili, gdy Matriona Fadiejewna przyszła do jego pracowni, żeby oznajmić, że zamierza pojechać do klasztoru.

Nie spojrzawszy nawet znad swoich papierów, wykrzyknął do niej:

– Mówię ci, że zostajesz w domu!

Stała jak wryta, ale nie powiedziała ani słowa.

Kiedy po chwili podniósł głowę znad pulpitu, jeszcze ciągle tkwiła przed nim, w tym samym miejscu, gotowa i ubrana do drogi, w palcie, w kokieterijnym modnym kapelusiku na jasnych włosach, trzymając jedną rękę w sobolowej mufce.

Wstał, mierząc ją przenikliwym spojrzeniem. Matriona Fadiejewna zaczęła płakać. Wściekły zajrzał z bliska w jej piękną twarz, po której teraz płynęły łzy. Oczy jej zaczęły błyszczeć, a on zagryzał zęby. Szczęki drżały, nabrzmiewały wargi, tak jak wtedy, kiedy zabił swojego pupila, ukochane zwierzę.

Niesamowite uczucie strachu sprawiło, że jej policzki pobrały. Bała się go.

– Zlitujcie się – szeptała drżącym głosem.

– Dla ciebie nie ma zmiłowania – ryczał, uderzając pięścią w pulpit. – Jazda. Nie rozumiałaś, co powiedziałem?

Przerażona Matriona zatoczyła się do tyłu, daremnie próbowała złapać się jakiegoś krzesła... Zanim go dosięgła, upadła na ziemię nieprzytomna.

Przez chwilę stał nad nią. Widok jej go nie wzruszył.

Wreszcie przeszedł koło niej, zazgrzytał zębami, mruknął i zatrzasnął z hukiem drzwi za sobą.

– Podła żmija!

Dopiero długo po tym, jak opuścił gabinet, służący odważyli się tam wejść, by podnieść jęczącą i zaprowadzić do jej pokoju.

\*\*\*

Od tego zdarzenia, życie w domu Strielnikowów toczyło się jeszcze bardziej beznadziejnie niż przedtem. Apolinary Karpowicz nawet nie zaszczycał żony jednym spojrzeniem, jakby jej wcale nie było.

Mijali się w milczeniu, nawet przy stole nie zamieniano ani jednego słowa. W kontaktach służbowych stał się tak nieznośny, że większość przyjaciół w interesach zaczęła go unikać, a w domu okazał się prawdziwym tyranem. Nawet noc nie przynosiła mu ukojenia. Całymi godzinami krążył jak drapieżnik po swojej pracowni, a kiedy się wreszcie położył, męczyła go bezsenność.

Matriona Fadiejewna szybko zdążyła się pocieszyć. Całej jej osobowości obcy był ten posępny, smutny nastrój, więc niemożliwe stało się, żeby wytrzymała na dłuższą metę taką presję. Z czasem otrząsnęła się z wrażenia, jakie początkowo wywarła na niej niedawna, okropna scena z mężem i zaczęła wykorzystywać okazje, by potajemnie wymykać się z domu.

Dosłownie wykradała się i zakradała z powrotem i podczas, gdy Apolinary Karpowicz zdawał się poddawać bólowi i rozpacz, ona jakby nigdy nic wesoło poskakiwała w swoich salonach na górce.

## 5.

W drugiej połowie postu wielkanocnego, Apolinary Karpowicz znów zmienił swoje zachowanie. Stał się bardziej uprzejmy, okazywał więcej zainteresowania i sam zaproponował jej tuż przed świętem wielkanocnym, by wybrała się do klasztoru Innocentego.

Pojechała i wróciła dopiero tuż przed Wielkanocą.

W tym czasie wydawało się, że Apolinary Karpowicz całkowicie doszedł ze sobą do ładu. Jako prawdziwy wyznawca ortodoksyjnej wiary, zanim udał się do spowiedzi wielkanocnej, prosił żonę o przebaczenie. Wśród słabych, niedoskonałych ludzi dzieje się czasem rozmaicie, a przysłowie powiada: przeżyć jedno życie to o wiele więcej, niż obrobić kilka sporych pól. Dlatego niech spróbuje mu wybaczyć wszystko, co się wydarzyło, będzie tak dobra i zapomni.

Matriona Fadiejewna nie była nieprzystępna. Chętnie mu wybaczyła i znowu mogła jak kiedyś odwiedzać klasztory i cerkwie. Przecież spowiednik – batuszka wyłożył mu, że kto tak żyje, jak jego żona z Bogiem, ten nie może zapominać o swoich obowiązkach. Święty człowiek zarzuty uznał za oszczerstwa, a jemu przecież trzeba wierzyć.

Apolinary Karpowicz również zaczął częściej odwiedzać klub, by zagrać partyjkę winta, rodzaj wista. Stał się znowu bardziej przystępny i zwykle w lepszym humorze. Zaczął nawet nadrabiać zaległości w składaniu wizyt, zabierał ze sobą żonę, wydawał przyjęcia i przy każdej okazji zachowywał się tak, jakby niebo nad małżeńskim szczęściem Strielnikowów znowu było rozpogodzone i jasne.

Głównym powodem jego przemiany był Grisza, który rozwijał się i wyrastał na wspańskiego, okazałego młodziana. Oboje rodzice darzyli go całkiem niebiańską miłością. Niezmiennie był pierwszym uczniem w klasie i wszyscy nauczyciele prześcigali się w pochwałach, odnoszących się do jego ambicji i zdolności. Tym razem również Grisza otrzymał na Wielkanoc znakomite świadectwo i kiedy Apolinary Karpowicz, który zawsze oczekiwał go z niecierpliwością, nareszcie go zobaczył, radość jego była tak olbrzymia, że wszystko inne poszło w niepamięć.

Czy Matriona Fadiejewna nie kochała tego chłopca? Czy raz po raz nie przytulała go najczulej do piersi, ścisłała i powtarzała pieszczotliwie:

– Grisza, Griszeńka, szczęście ty nasze, synku nasz najdroższy!

Nie, niemożliwe, by była tak podła! Wszystko, co o niej mówiono, okazało się oszczerstwem. Anonimowy autor listów był podłym łotrem, a Matriona Fadiejewna męczennicą!

## 6.

Szczęście jednak nie trwało długo.

Pewnego dnia, kiedy Matriona Fadiejewna pojechała do klasztoru Kiryłowa, tak jak zapowiedziała – Apolinary Karpowicz otrzymał ponownie anonimowe pismo, kreślone znaną mu już ręką.

Jak tylko rozpoznał charakter pisma, przeszył go dreszcz. Trzęsącą się ręką wziął list i przez chwilę przyglądał mu się niepewnie, potem jednak nie otwierając go, odrzucił daleko od siebie ponad pulpitem na ziemię, wybiegł z pracowni i wyruszył, by składać wizyty w służbowych sprawach. Wrócił dopiero późno w nocy, jak się wydawało mocno podпиты i od razu zasnął.

Następnego dnia służący podczas sprzątania znalazł w pokoju list i ponieważ nie był otwarty, położył go znowu na stole pana, na nieszczęście zapisaną częścią pod spód.

W ten sposób list, który na pewno powędrowałby do pieca, gdyby Apolinary Karpowicz dostrzegł charakter pisma, został otwarty. Subiekci byli przy tym.

Kiedy jego wzrok padł na treść, zrobił się błąd jak trup, podarł list na strzępy i wykrzyknął ze wszystkich sił, aż wszyscy zadrżeli:

– Suka!

Błyskawicznie pochwycił kapelusz, wybiegł jak wicher do jednokonki i gnał, popędzając konia uderzeniami bicia.

– Zanosi się na burzę – szeptali subiekci, którzy popatrzyli za nim z przerażeniem. Potem zebrali większe kawałki listu, zdołali jednak odczytać zaledwie kilka oderwanych słów: „mówię – jesteś – niedorajda – oficer... koń... podarowała... tam... klasztor”.

Tych kilka oderwanych słów wystarczyło, by uzmysłowić subiektom wściekłość ich szefa, gdyż to, czego Apolinary Karpowicz miał się teraz dowiedzieć, było w kantorku od dawna znane. W czasie, gdy oni jeszcze pochylali się nad tym i debatowali, co się wydarzy – na ulicy ze wszystkich stron zbiegli się już ludzie, by zobaczyć jak Apolinary Karpowicz i jego pokrwawiona żona w wielkim nieładzie są prowadzeni do domu.

Niebawem przyszli policjanci, z dyrektorem policji na czele. Później pojawiło się jeszcze kilku adiutantów generalnego gubernatora. Na ulicy mrowił się tłum. Dom został zamknięty. Przyjechali Kozacy na koniach i knutami rozpędzali gromadzących się ludzi.

Lekarz sztabowy zajechał dorożką, wysiadł, błąd jak papier i udał się do pokoiów nieszczęsnych Strielnikówów.

Nadzwyczajne, niesamowite plotki wstrząsnęły miastem. Wszystkich opanowało zdenerwowanie.

– Piękna Matriona Fadiejewna została zamordowana przez Apolinarego Karpowicza – powtarzano.

Oczywiście! Od dawna spodziewano się czegoś podobnego! To bydlę, wściekła bestia, krwiożerczy tygrys! Na cóż zdała się teraz Apolinaremu jego pobożność, wspaniałomyślność i gościnność – aż do późnej nocy tłumy gromadziły się i przeciskały przed jego domem. Ludzie wcale nie zmęczyli się, złorzecząc mu i współczując niewinnej ofierze napadu jego złości. Mimo to nikt nie wiedział nic pewnego i dopiero następnego ranka ogłoszono, jaki był rzeczywisty przebieg wypadków.

W anonimowym liście napisano, że Matriona Fadiejewna wcale nie przebywa w klasztorze, lecz u swego kochanka, oficera. Podarowała mu niedawno drogiego konia, na którym jej amant każdego dnia dumnie paradytuje ulicami miasta. U niego Apolinary znajdzie swoją żonę.

Kiedy tam dotarł, ordynans – Kozak, nie chciał Apolinarego wpuścić bez anonsowania. Ten odepchnął go jednak na bok i w sekundę później nieszczęsny mąż stał, trzęsąc się z gniewu i zgryzoty. Przed sobą miał parę kochanków, która w pieszczotliwym objęciu siedziała na otomanie.

– O! To moja śmierć! – zawołała Matriona Fadiejewna, kiedy spostrzegła błyszczące oczy swojego męża. Chciała uciekać, lecz strach ją sparaliżował. Błada z przerażenia zemdląca na otomanie.

Ledwie przez sekundę jej się przyglądał, potem z dzikim krzykiem rzucił się na nią jak tygrys na swoją ofiarę. Oficer usiłował go powstrzymać. Potężne uderzenie pięści powaliło go na ziemię. Kiedy się pozbierał, Strielnikow ciągnąc za sobą żonę za włosy, dotarł już do ulicy i miał właśnie zamiar umieścić nieprzytomną w powozie. Nagle rozległ się



strzał. Oficer, który porwał ze ściany rewolwer, wystrzelił do Apolinarego Karpowicza. Kula trafiła w lewe ramię i przeszła na wylot. Bezgłośnie upadł raniony obok powozu.

Współczujący ludzie podnieśli go wreszcie, położyli obok nieprzytomnej żony i zawieźli oboje do domu.

-----

Minęło wiele tygodni, zanim oboje poczuli się lepiej.

Wtedy rozpoczął się proces, który zakończył się w znamienny sposób: Apolinary Karpowicz uznany został za jedyne winnego, otrzymał nakaz wyprowadzenia się z miasta. Pod karą zakazano mu powrotu, jak długo będzie żyła jego żona. Cały majątek i opiekę nad Griszą przyznano Matronie Fadiejewnie, która za tak salomonowy wyrok była ze wszechmiar wdzięczna. Natomiast oficer został przeniesiony nad Amur.

## 7.

Z ciężkim sercem wyprowadził się Apolinary Karpowicz z miasta, jako całkowicie złamany człowiek. Powędrował nad Bajkał, gdzie pomocni przyjaciele zadbali, żeby mógł otworzyć fabrykę, którą swoim nieprzerwanym trudem doprowadził do rozkwitu. Tym, co pocieszało go w nieskończonym zgryzocie i dodawało sił do dalszych czynów, pozostawała myśl o Griszy, który wciąż darzył go drogą mu miłością. Czuł się przywiązany do ojca, gdy uświadamiał sobie wyuzdane zadowolenie matki. Co roku przysyłał Apolinaremu Karpowiczowi swoją fotografię, którą ojciec zawsze oprawiał w piękne ramki, po czym stawiał na biurku, codziennie podziwiał i całował. Najszczęśliwszy był jednak Apolinary Karpowicz, gdy przychodziły świadectwa szkolne Griszy. Syn pozostawał najlepszym i najpilniejszym uczniem w całym gimnazjum. Kiedy Apolinary Karpowicz widział potwierdzenie tego w świadectwach, wystawianych przez nauczycieli, naprawdę szalał z radości. Tak, Grisza był jego pociechą, jego nadzieją – jego życiem.

Nagle na półroczu ostatniego roku szkolnego Griszy, Apolinary Karpowicz otrzymał wiadomość, że Matrona Fadiejewna umarła, po rozdaniu prawie całego majątku klasztorom i roztrwonieniu go z kochankami. Jednocześnie Grisza zapytywał, co teraz ma począć.

– Skończyć studia – odpowiedział ojciec. – I zdać egzaminy. W tym czasie sprzedam fabrykę i razem przeprowadzimy się do Petersburga, na uniwersytet.

Sprzedać fabrykę udało się szybciej, niż się tego spodziewano, a ponieważ także nauczyciele Griszy chcieli swojemu pupilowi umożliwić podróż do Petersburga jeszcze tego lata, postanowili, że zda egzaminy już na święta wielkanocne. Zaraz po załatwieniu interesów Apolinary Karpowicz wyruszył więc w drogę, ledwie potrafiąc poskromić ogromną tęsknotę za synem.

W międzyczasie odbyły się egzaminy i na każdym postoju dalszej podróży Apolinary Karpowicz otrzymywał wiadomości o wynikach. Wszystko przebiegało zgodnie z życzeniami i łatwo sobie wyobrazić, jak szczęśliwy był Apolinary Karpowicz. W osadzie Listwieniszoje czekała nareszcie wiadomość, że Grisza zdał egzaminy oczekuje ojca, by wyruszyć z nim na zachód.

Jakże chętnie pojechałby Apolinary Karpowicz jeszcze tej nocy do Irkucka, żeby wspaniałego, ubóstwianego syna po tak długim rozstaniu znów móc zamknąć w ramionach. Jednak ponieważ ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia, bo nagłe przeżycie niezmiernie go wyczerpało, musiał jeszcze przez noc pozostać w siole Listwieniszoje. Do-

piero następnego ranka wyruszył trojką na spotkanie z miastem, gdzie doznał tylu nie-szczęść, a które jednak teraz miało mu oddać to, co miało najcenniejszego, jego Griszę.

Mijała dwunasta w południe, kiedy dotarł do pierwszych zabudowań miasta. Kazał woźnicy skręcić w główną ulicę. Wiodła tędy najkrótsza droga do mieszkania Griszy. Ledwie jednak pojechali parę domów dalej, musieli się zatrzymać, żeby przepuścić kondukt żałobny. Apolinary Karpowicz zdjął czapkę, przeżegnał się i pomodlił za pokój zmarłej duszy. Potem znów pełnym kłusem podążali do domu, gdzie Grisza na pewno już się niecierpliwił i czekał na ojca.

Dorożka pocztowa zatrzymała się nareszcie, jej dzwoneczki przez całą drogę pobudzały ciekawość mieszkańców uliczki. Wydawało się, że tylko Grisza ich nie słyszy. Apolinary Karpowicz rozglądał się trochę zaskoczony. Dlaczego Grisza nie przychodził? Czemu nie rzucał mu się na szyję?

Spojrzał w górę... Wszystkie okna w domu były otwarte... Straszne przecucie targnęło jego sercem. Wskoczył z dorożki i wszedł do środka... Ani jednego człowieka. Nigdzie... Popędził schodami do góry i otworzył drzwi jednego z pokoiów... Wokół wszystko pachniało kadzidłem... Jakaś kobieta, zajęta sprzątaniami, wyszła mu naprzeciw.

– Gdzie jest mój syn? Gdzie Grisza, mój jedyny syn? – wołał grzmiącym głosem.

– Grigorij Apolinarowicz? – odpowiedziała stara, gapiąc się ze zdziwieniem. – Gdzie miałyby być? W drodze do cerkwi. Zdaje się, że pan wcale nie wie, że zmarł nagle na serce? Przedwczoraj? Nauczyciele mają go na sumieniu.

Jak opętany Apolinary Karpowicz zbiegł ze schodów.

– Szybko! Za konduktem, który spotkaliśmy po drodze! Szybciej! – wrzasnął do woźnicy. Wskoczył do dorożki, odtrącił szyjkę butelki z koniakiem i wypił ją jednym tchem do dna.

Woźnica, który po minie podróżnego nie spodziewał się niczego dobrego, z całych sił poganiał konie. Pędziły pełnym galopem.

Apolinary stał w wozie jak słup soli. Jego długa broda i poły futra powiewały na wietrze. Czapka spadła mu gdzieś z głowy.

– Szybciej! Szybciej! Och, mój synu! Griszeńko! Synu mój! – krzyczał ochryłym głosem raz po raz, wymachując w powietrzu prawą ręką, jakby trzymał w niej bicz, którym chciałby poganiać konie.

Przy końcu głównej ulicy dogonili wreszcie kondukt.

– Zatrzymaj! – krzyknął Apolinary Karpowicz, wytaczając się z sań. – Och, Griszeńko! Synu mój!

W mgnieniu oka wskoczył na karawan.

– Grisza, mój Griszeńko – zawołał znowu, obejmując obiema rękami trumnę.

Kiedy kondukt dotarł do cerkwi, znaleziono Apolinarego Karpowicza, leżącego na trumnie syna. Już nie żył.

## PALAGEJA FIEDOROWNA

### 1.

Palageja Fiedorowna była piękną, szczupłą, gibką dziewczyną o gęstych, jasnych włosach. Nosiła je zaplecione w warkocz, zwisający aż do pasa, w który zgodnie ze słowiańskim obyczajem wplecione były kolorowe, wąskie wstążki. W jej nieco bladej, melancholijnej twarzy najbardziej charakterystyczne były oczy – ogromne i niebieskie, z rzęsami tak długimi, iż wydawało się, że patrzy spoza nich. Spojrzenie miała głębokie i poważne, chód stanowczy i miarowy. Chociaż śmiała się rzadko, zawsze była rześka i dziarska. Od najmłodszych lat chodziła swoimi drogami, bez koleżanek i przyjaciół. W kręgu swoich znajomych nigdy nie plotkowała o innych, nie zwracała też uwagi na pogłoski, które do niej dochodziły...

[W tekście brak dwóch stron]

...było powodem jego zesłania na Syberię.

- No to pytaj. Mnie to nie przeszkadza.
- Gdzie byłeś?
- U pana Krawcowa – brzmiała krótka odpowiedź.
- Aha. I u niego byłeś całą noc?
- Tak.
- Dlaczego?
- Kocham go.

Fiodor Iwanowicz przyjrzał się jej z wyrazem złości w oczach. Zacisnął mocno pięści... Pohamował się jednak i po przerwie zapytał znowu:

- Czy on też cię kocha?
- Nie. Ale nie ma nic przeciw temu, żebym u niego zostawała.

Fiodor Iwanowicz znowu musiał zrobić pauzę, żeby stłumić wzbierającą w nim złość.

- Czy wiesz, co z tego może wyniknąć, Pałasza? – spytał.
- Czy jesteś przygotowana na wszystko? Nikt ci nie pomoże. Będziesz musiała sama sobie radzić.

- Co mi tam. Nie obchodzi mnie to. Kocham go.

Ojciec przyglądał jej się przez chwilę. Odpowiedziała mu spojrzeniem – nawet nie zadrżały jej powieki. Potem przeszedł się kilka razy po izbie, stanął przed dziewczyną i powiedział:

- Masz swój rozum i musisz się sama o siebie troszczyć. Jak sobie chcesz.

Powiedziawszy to, znowu zabrał się spokojnie do swojej pracy.

-----

### 2.

Afanasij Iwanowicz Krawcow był znanym dziwakiem. Żaden człowiek nie potrafił powiedzieć, z czego i jak żyje. Do Irkucka przybył przed wielu laty. Nikt nie miał pojęcia, skąd przyjechał ani dlaczego. Żył bardzo skromnie, nawet biednie, nikt go nie obchodził. Był co najmniej o trzydzieści lat starszy od Pelegei Fiedorowny.

Na tej samej parceli co on, mieszkała z tyłu w małej chatce wdowa po krawcu. Córka jej była koleżanką szkolną Pelagei. Od niej właśnie po raz pierwszy usłyszała Pelageja o dziwactwach pana Krawcowa. Opowiadała, że podobno bardzo nienawidzi płci pięknej i w osobliwy sposób wziął się za poprawianie Biblii.

Fakt, że Pan Bóg stworzył Ewę z jednego żebra Adama uznawał za bajkę.

– Zły stworzył kobietę. Kiedyś był najlepszym i jedynym przyjacielem Boga i dzielili się między sobą wszystkim. W czasie tworzenia świata bardzo się pokłócili, a kiedy Bóg obstawał przy swoim, mocno strapiony Zły powędrował w zaświaty, gdzie urządził sobie własne królestwo, które nazywamy piekłem. Wszystkie ludzkie dusze, które Pan Bóg wyposażył w zbyt wiele cech, przynoszących więcej szkody niż szczęśliwości, są tam męczone i torturowane. Jako największą udrękę ludzkości zły stworzył kobietę.

Podobne osobliwe opowieści o Afanazjim Iwanowiczu wywarły na Pelagei głębokie wrażenie. Rozmyślała o nich stale i im więcej historyjek słyszała, tym żywiej pragnęła poznać tego dziwnego człowieka, który różnił się zupełnie od innych. Wtedy nie miała jeszcze nic innego na myśli.

Wdowa po krawcu pozostawała jedyną osobą, mającą dostęp do tego dziwaka. Zadaniem jej było latem o godzinie 6, a zimą o godzinie 8 rano nastawić samowar, pójść i przynieść świeże bułki oraz czyścić jego buty i ubranie. U pana Krawcowa natomiast nie było w ogóle takiego zwyczaju, żeby sprzątać.

Potrafił przez cały dzień pić herbatę i palić fajkę. Siedział od rana do nocy ze swoim cybuchem tuż przy oknie, które latem było szeroko otwarte, albo też leżał na łóżku i kopcił.

Nigdy nie pisał i sam nie otrzymywał listów. Nie czytał gazet. Nigdy także nie czesał ani nie mył włosów i brody, z jednym wyjątkiem, kiedy czasami w soboty chodził do łaźni na kąpiel parową.

Okazję wykorzystywała wdowa po szewcu, żeby pod jego nieobecność posprzątać pokój i zmienić pościel.

Świetnie radził sobie z popami, którzy z okazji bardziej znaczących świąt przychodzili do każdego mieszkania ze świętym krzyżem, aby pobłogosławić wiernych. Afanazij Iwanowicz urządzał to zawsze tak, że stał już przed drzwiami, kiedy nadchodzili. Milcząc wsuwał im banknot trzyrublowy, za co popi od razu dziękowali, zabierali się ze świętymi insygniami i podążali z błogosławieństwem do sąsiedniego domu.

Stary dziwak stał się więc przyczyną, że Pelageja Fiodorowna, która przedtem nigdy nie miała nawet przyjaciółki, poczuła nagle silną wewnętrzną potrzebę, żeby przesiadywać u córki wdowy po krawcu. Okazało się, że albo musi o coś zapytać, to znowu koniecznie pokazać jakiś haft, innym razem trzeba było pomóc w gospodarstwie... Wszystko tylko po to, żeby pójść do jej domu, a przy okazji choćby rzucić okiem na wnętrze pokoju pana Krawcowa. Potrafiła też umiejętnie, nie zdradzając się w niczym, wypytać przyjaciółkę o wszystko, co się działo u Krawcowa.

Trwało to jakiś czas. Któregoś dnia sądziła, że Afanazij Iwanowicz wyszedł. Wychyliła się więc przez otwarte okno daleko do wnętrza, żeby przynajmniej raz przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie.

Nagle zaskoczył ją szorstki głos:

– Kogo tu pani szuka?

Palageja Fiodorowna odskoczyła spłoszona i oblała się rumieńcem.



Zanim jednak zdążyła ochłonać po tym niemiłym zaskoczeniu, już człowiek – niedźwiedź podszedł ze swoim długim cybuchem do okna i powiedział:

– A, to pani. Niech pani zajdzie do mnie. Wypije pani ze mną herbatę?

Kiedy wydawało się, że ona nie może się zdecydować, dodał:

– No, niech się pani nie ociąga.

– Ani myślę – odpowiedziała Palageja Fiodorowna. – Nie należę do tego gatunku ludzi. Zastanawiałam się tylko nad tym, czy zaproszenie było szczere, czy też jest pan jednym z tych, którzy chcą się z nami, dziewczynami, tylko zabawić.

– Zabawić? Ja? – zawołał dziwak, wybuchając pogardliwym, lekceważącym śmiechem. – Z tym diabelskim pomiotem, diabelskim nasieniem dawno skończyłem żartować, dawno zaprzestałem zabawy... Już wiem, jak się przed wami bronić! Ponieważ, niech mnie pani tylko uważnie posłucha, najbardziej kąśliwa i jadowita żmija jest mi milsza, niż choćby jedna spośród was, nawet najłagodniejsza.

– Czyżby? I pan ma odwagę zaprosić mnie do siebie na herbatę? Dostyc to nieostrożnie z pańskiej strony? – Gdzie tam. Niech pani nie mędrkuje. Niech pani wejdzie i wypijemy herbatę albo niech pani idzie swoją drogą.

Palageja Fiodorowna wybrała to pierwsze. Rozmowa w podobnym tonie, w jakim zaczęli ją na ulicy, w środku potoczyła się wartko. Kłócili się bez przerwy. Prawił jej grubiaństwa, a ona nie pozostawała w niczym dłużna.

Jednak przy pożegnaniu podał jej rękę i wskazał:

– Niech pani posłucha. Jeśli nie jest pani taką jak inne laleczką, która potrafi zawołać tylko „mama, tata”, albo jak krowa, co patrzy jak nażreć się tanim kosztem i podtuczyć, to wtedy hm... może mnie pani znowu odwiedzić. Ale jeszcze jedno muszę powiedzieć: jeśli ma pani jakieś zamiary wobec mnie, będą z nich nici. Zrozumiała pani? W takim wypadku pomyliła pani adres. Nie mam zamiaru zawracać sobie głowy żadną babą: mam ich potąd...

Po wypowiedzeniu tych słów zdecydowanym ruchem przesunął ręką pod brodą. Popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

-----

Kilka dni później Palageja Fiodorowna weszła jakby nigdy nic do pokoju Afanazego Iwanowicza.

– Och! – zawołał, gdy spostrzegł, że nadchodzi. – Już pani przyszła? No, niech tam. Już pani jest. Ale jak mówiłem: niech pani sobie niczego nie wyobraża. Nie będzie pani miała szczęścia do mnie.

Wkrótce jednak spokojnie i w przyjemnym nastroju pili herbatę i gawędzili. Pod wieczór zerwała się wichura i lunął deszcz z wałącym gradem, aż się szyby trzęsły. Wycie wichru wcale im nie przeszkadzało... Pili herbatę, dalej gawędzili i stało się: Palageja Fiodorowna nie wróciła tej nocy do domu.

### 3.

Odtąd zdarzało się częściej, że Palageja Fiodorowna nie powracała na noc i zostawała u pana Krawcowa aż do chwili, kiedy została matką zdrowego chłopca.

Przyszła znowu już po połogu. Ani jedno słowo na ten temat nie padło. Nie chciała nic mówić bez pytania – a on go nie zadał. Niczego nie żądała, a on niczego jej nie ofiarował. Przyszła – dobrze, gdyby nie przyszła – też dobrze. Od czasu do czasu zaczynał

rozmowę na swój ulubiony temat, o nikczemności i podłości kobiet. Jednak ona o tym nie dyskutowała. Współżyli tak ze sobą do czasu, kiedy przyszedł na świat ich trzeci syn.

Gdy miał już siedem miesięcy, zjawiła się Palageja Fiodorowna i przedstawiła pierwszą prośbę: chciałaby, żeby pozwolił przyprowadzić do jego mieszkania dzieci.

– Dlaczego? – spytał mocno zaskoczony.

– Bo zmarła matka... Po pogrzebie musi się odbyć stypa oraz msza żałobna, panachida. Małe dzieci nie są przy tym potrzebne.

W odpowiedzi pokiwał tylko przyzwalająco głową, a ona poszła i przyprowadziła dzieci.

Była to trójka ślicznych, zdrowych chłopców, rześkich i radosnych, aż przyjemnie na nich popatrzeć. Wdowa po krawcu zaopiekowała się dziećmi i nie mogła się nachwalić, jakie one są piękne, a ich matka pracowita.

Afanazij Iwanowicz nie odpowiedział na to ani jednym słowem.

Palageja Fiodorowna wróciła po trzech dniach i pocałowała swoje dzieci, pan Krawcow dał jej jednak znak, aby poszła z nim do izby.

Kiedy byli sami, zapytał:

– Palagejo Fiodorowno, czy jesteś zadowolona?

– Oczywiście – odpowiedziała szybko.

– Tak, ale dlaczego? – spytał, patrząc z niedowierzaniem.

– Innym wiedzie się o wiele gorzej. Dzieci są zdrowe i rześkie a ja zarabiam akurat tyle, ile potrzebujemy.

Przeczaił się, chciał zjrzeć do jej duszy. Palageja Fiodorowna zachowała jednak spokój i stanowczość. Niesamowita dobroć i szczerść promieniowały z jej oczu. Na twarzy rysowała się rzadko spotykana siła charakteru.

Przypatrywał się jej dłuższą chwilę i nagle wybuchnął:

– Palagejo Fiodorowno, jeszcze dzisiaj wyjeżdżam... Nie oczekuj ode mnie listów ani wiadomości. Po wyjeździe stąd będę dla ciebie stracony na zawsze. Między nami wszystko skończone. Na zawsze...

W tym momencie wywołały ją z pokoju krzyki dzieci.

Dwie godziny później Afanazij Iwanowicz podążył Moskiewskim Traktem w powozie pocztowym.

#### 4.

Nikt nie potrafi powiedzieć, czy Palageja Fiodorowna płakała, a jeśli tak, to ile wylała łez. Nie widziano ich na jej twarzy. Z nikim nie rozmawiała o swoim położeniu. Była tak jak przedtem pracowita i zamknięta w sobie.

Lata mijały.

Zmarł jej ojciec Fiodor Iwanowicz. W prawie całkiem zniszczonym i rozpadającym się domu otworzyła pralnię i miała zawsze wiele pracy. Zadbła, żeby dorastające dzieci uczyły się zawodu. Najstarszy syn miał zostać ślusarzem, średni stolarzem, a najmłodszy kupcem. Co niedziela przychodzili do matki i pomagali jej w wieszaniu prania. Sprawiało im to najwięcej przyjemności.

W okolicy najpierw sporo o niej plotkowano, zwłaszcza o zniknięciu Krawcowa. Próbowano wydobyć z niej wiadomości, wypytywano, kiedy Afanazij Iwanowicz powróci. Wtedy nic nie mówiła lub krótko odpowiadała:

– Z pewnością wróci! Wróci z pewnością...

Nigdy się nie skarżyła. Nic nie zakłócało spokoju jej duszy. Nic nie potrafiło złamać jej wiary ani silnej woli. Troszczyła się o dzieci i nie nadużywała dobroci innych.

Ponieważ była kobietą piękną i świeżą, miała też adoratorów, wśród nich był bogaty mydlarz. Żadnego z nich nie traktowała jednak poważnie. Tylko raz znalazła się w rozterce. Znalazł się ktoś, kto potrafił kusząco przedstawić jej przyszłość u swego boku. Trwał ten urok jednak tylko przez kilka sekund. Lekki uśmiech i spuszczone oczy zdradzały jej podniecenie i zdenerwowanie. Potem jednak wyprostowała się i powiedziała:

– Znajdzie pan z pewnością jeszcze lepszą dziewczynę. Ja już kochałam, a teraz jestem matką. Moja miłość należy do moich dzieci.

## 5.

Minęło prawie dwadzieścia lat. Palageja Fiodorowna dzięki swej naturalnej dobroci, pracowitości i pilności, zdobyła sobie w mieście powszechne poważanie. Jednak pan Krawcow nigdy nie dał znaku życia.

Aż któregoś ranka nagle z ulicy doszły dźwięki dzwoneczków podróznego powozu. Słysząc je było coraz bliżej i bliżej, aż wyłonił się powóz pocztowy, który zatrzymał się przed domkiem Palagei.

Chociaż była dopiero siódma rano, Palageja już pracowała. Pukanie do okiennic wywołało ją przed dom. Z powozu pocztowego wysiadł zdrowy jeszcze i silny, ale całkiem już posiwiały mężczyzna.

– Dzień dobry, Palagejo Fiodorowno. Czy przypomina pani mnie sobie jeszcze? – zapytał, podając szeroką dłoń.

Palageja stanęła jak wryta. Minęła chyba minuta cała, zanim zdolna była odpowiedzieć:

– Oczywiście, Afanaziju Iwanowiczu. Wiedziałam, że pan jednak kiedyś wróci do swojej Pałasy i jej trzech synów – stwierdziła, uśmiechając się.

– No, ale o tym potem... Czy może się pani ubrać lepiej... bardziej odświeżnie?

– Nie tak wiele, ale...

– To proszę pójść się przebrać.

Palageja wróciła po dziesięciu minutach, przebrana w niedzielną sukienkę.

– Proszę tam usiąść – wskazał na dorożkę.

Nie mówiąc ani słowa, wsiadła. Zajął miejsce obok niej, dał znak powożącemu i ruszyli.

Dorożka zatrzymała się przed cerkwią. Czekają tam już dwóch świadków.

Pół godziny później Palageja Fiodorowna była żoną pana Krawcowa...

-----

Po ślubie powrócili do domku Palagei. Gdy znaleźli się w pokoju, Afanazij Iwanowicz wyciągnął plik banknotów, położył na stole i oznajmił:

– Palagejo Fiodorowno, przez długi czas kazałem cię obserwować. Dobrze się trzymałaś. Za to też cię wynagrodziłem. Teraz jesteś moją żoną, a to są pieniądze na dzieci. Także w przyszłości będę się o ciebie troszczył. Gdybyś jednak pomyślała, że zostanę teraz z tobą? Nie, tego sobie nie wyobrażasz. Wy, kobiety, pochodzicie jednak od diabła. Jeślibym zechciał z tobą zostać, to wiem, że diabeł jeszcze by z ciebie wylazł, a nie chciałbym do tego dopuścić...

Po wypowiedzeniu tych słów wyszedł i nim Palageja zdążyła oprzytomnieć, wsiadł do dorożki i odjechał.

## ZAMASKOWANY

Pracowałem jeszcze w kopalni soli w miejscowości Usola, ale nie mieszkałem już w barakach, przeznaczonych dla więźniów, tylko na wolności, w wiosce o tej samej nazwie.

Raz wieczorem poszedłem na spacer na brzeg Angary, by pocieszyć się trochę widokiem malowniczego, dzikiego krajobrazu i odświeżyć dzięki łagodnemu powietrzu. Włóczęcąc się bez celu wzdłuż stromych brzegów rzeki, dotarłem do zupełnie odludnej okolicy, gdzie nigdy wcześniej nie byłem.

Dzień okazał się bardzo ciepły, jak to często się zdarza we wschodniej Syberii. Żeby rozsmakować się w tym wspaniałym wieczorze, zszedłem wąską dróżką, którą zapewne mało kto chodził, nad rzekę, przepływającą obok mnie z głośnym hukiem. Nad wodą roily się tysiące owadów różnego gatunku. W zaroślach ćwierkało mnóstwo ptaków, które latem przylatują tutaj ze wszystkich stron świata, żeby w tej dzikiej i dziewiczej okolicy – gdzie nikt im nie przeszkadza i mają wystarczająco dużo pożywienia – budować gniazda i wysiadywać młode.

Oczarowany byłem bogactwem i różnorodnością toczącego się tu życia. Dziękowałem w skupieniu kochanemu słońcu, za sprawą którego również biednemu wygnańcowi na Syberii dane było przeżyć kilka szczęśliwych chwil. Usiadłem na trawie tuż przy szumiącej rzece i paliłem cygaro.

Głęboki, lecz przyjemny głos przerwał tok moich myśli.

– Mój panie. Czy pozwoli pan, że przypalę swoją fajkę od pańskiego cygara?

Podniosłem wzrok.

Stał przede mną postawny, niezmiernie biednie ubrany starzec, trzymając w ręce małą fajkę własnej roboty. Rozpięta na piersi mocno podarta koszula wyglądała na więzienną. Podobnie kaftan – krótki i bardzo znoszony oraz spodnie, pokryte niezliczoną liczbą łat wskazywały na to, że należą do więźnia.

Nogi były bose.

Głowa za to – niezmiernie interesująca. Prawdziwy typ Wielkorusa... Włosy gęstymi, białymi lokami opadały w nieładzie spod czegoś brudnego i postrzępionego, co kiedyś było czapką. Długa broda ciasno okalała bladą twarz, wąsy były aż żółtozielone, zapewne od palenia kiepskiego tytoniu. Między brwiami sterczał duży, mocno opalony nos o klasycznym profilu. Duże oczy, kiedyś zapewne niebieskie, teraz wydawały się wyblakłe i matowe.

Podaliśmy mu swoje cygaro. Fajki jednak nie udało mu się przypalić. Prawdopodobnie tkwiło w niej zaledwie parę zwęglonych kawałków korzeni tytoniu. Obserwowałem go i w duszy myślałem sobie: kim mógł być w przeszłości?

Gdy zorientował się, że nie dopnie swego, twarz jego zmarszczyła się ze złości. Zapewne bardzo chciał zapalić.

– Nadaremnie! Nadaremnie pana trudziłem! – powiedział w końcu, oddając mi cygaro. – Zechce pan wybaczyć.

Przeprosił i zamierzał odejść.

– Niech pan posłucha – zawołałem za nim. – Nie mam już ochoty palić. Proszę zrobić mi przyjemność i zatrzymać cygaro.



Przez kilka sekund patrzył na mnie swoimi wygasłymi oczami. Potem wziął cygaro i powiedział:

– Bóg zapłać.

Palił teraz z widoczną chciwością. Zaciągał się dymem bardzo głęboko, wciągając go do gardła, aż oczy wychodziły mu na wierzch. Wykonywał przy tym ruchy takie, jak gdyby przełykał od razu pół litra koniaku.

– Proszę się przysiąc do mnie – zaprosiłem.

– O, nie – odpowiedział. – Nie wolno mi. Jestem tutaj zatrudniony jako strażnik. Muszę iść do swojej kopalni.

– A gdzie znajduje się pańska kopalnia?

– Tam, niedaleko stąd, nad brzegiem. Mieszkam tam.

– Jeśli mógłbym ją zobaczyć, pójdę z panem.

W odpowiedzi przytaknął uprzejmie i parę setek kroków szliśmy razem, aż dotarliśmy do kopalni.

Była to zwykła dziura, wykopana w stromym brzegu rzeki. Spróchniała deska zastawiała wejście. Kawałek szkła, po którym widoczne było długie działanie deszczu, słońca i brudu, bardziej przypominający blachę niż szkło, służył za okno. Dreszcz mnie przeszył, kiedy zajrzałem do środka! Z tyłu po prawej stronie widniało zagłębienie w ziemi, w którym znajdowały się kamienie, kociołek i resztki popiołu: był to piec. Po lewej stronie od tego zagłębienia rzucało się w oczy legowisko: kilka starych desek, pokrytych przegniłym sianem i łachmanami. Wszystko to leżało na kamieniach. Znajdowało się tam również coś, co przypominało stół. Czego na nim nie było! Wszystko tu pozostawało brudne i pachniało nędzą, że zmiłuj się Boże!

Widok ten stanowił wyraźny zgrzyt w zestawieniu z bogactwem przyrody na zewnątrz i tym, jak mnie uprzednio urzekła. Bardzo szybko na pożegnanie poleciłem się na przyszłość, zzymając się na swoją dziecianną ciekawość. Zepsułem nią sobie cały piękny wieczór. Zirytowany poszedłem do domu, nie obejrzawszy się ani razu w kierunku zachodzącego słońca, które jest na Syberii szczególnie piękne.

Wstrętne wrażenie i wspomnienie tego bezgranicznego ubóstwa wprawiły mnie w bardzo nieprzyjemny nastrój i najgorszy był fakt, że te duże, wygasłe oczy dały mi dużo do myślenia. Po to, by rozproszyć te myśli, udałem się na poszukiwania jednego z moich towarzyszy niedoli, który posiadał harmonijkę nożną i grał na niej z prawdziwą wirtuozerią. Poprosiłem, żeby zagrał coś dla mnie, co ochoczo uczynił. Muzyka mnie uspokoiła. Wypiliśmy herbatę i gawędziliśmy przyjemnie. Kiedy wracałem do domu, zapadła już późna noc.

Zaledwie jednak położyłem się z mocnym postanowieniem, żeby zaraz zasnąć i zgasiłem światło, a już koszmarnie myśli rozpoczęły ponownie swój przeraźliwy taniec. Znów stał przede mną stary człowiek w zeszmaczonym ubraniu więźnia i ze straszliwie cierpiącą twarzą. Ponownie zaglądałem do żałosnej, nędznej dziury, którą każdy zawahałby się przeznaczyć na legowisko dla psa. Znów wpatrywały się we mnie te zagadkowe, wyblakłe oczy, zastygłe i obce, jakby poznany dopiero co człowiek chciał do mnie zawołać:

– Och, ty! I ty kiedykolwiek odważyłeś się otworzyć usta, skarżąc się? Ty czułeś, że masz prawo gniewać się na swój los, za to, że w nagrodę za twoją miłość do Ojczyzny rzucił cię aż tutaj, na Syberię do kopalń? Ty niewdzięczniku! Na kolanach powinieneś dziękować Bogu za tak lekką dolę. Gdybyś chociaż miał wyobrażenie o tej bezgranicznej nędzy, która wyprała mnie ze wszystkiego i odczłowieczyła!

Zasnąłem dopiero nad ranem, po to, żeby w parę godzin później obudzić się z bólem głowy, który był nie do zniesienia. Szybko załatwiłem codzienną poranną toaletę, aby szybko wyjść na świeże powietrze. Słońce przypiekało już mocno, chociaż był dopiero wczesny ranek. Postanowiłem, że przed pracą pójdę nad rzekę wykąpać się. Wyszukałem sobie wygodne i ustronne miejsce. Napawałem się, ile dusza zapagnie, orzeźwiająjącym działaniem fal i właśnie zamierzałem wracać, kiedy znowu naszła mnie chęć odwiedzenia starego. Powtarzałem sobie co prawda, że pewnie i tym razem zepsuję ten piękny poranek, ale takie dziwne coś, co było czymś więcej, niż prostą ciekawością, z nieodpartą siłą pchało mnie do tej jednej jedynej kopalni, której widok napełnił mnie poprzedniego wieczoru uczuciem grozy. Ociągając się, prawie wbrew woli, podchodziłem bliżej, ale pod koniec, kiedy postanowiłem już wracać, usłyszałem powitanie starego.

– Dzień dobry, mój panie – powiedział.

– Dzień dobry – odrzekłem.

– Już pan wstał?

– Tak, oczywiście. Jestem już po kąpieli!

– To dobrze. Widziałem pana i rozpoznałem. Kiedyś i ja bardzo lubiłem się kąpać, jednak teraz woda jest dla mnie za zimna.

– Proszę mi powiedzieć – zapytałem, przerywając błahą rozmowę. – Jak się pan nazywa?

– Ja? – spuścił głowę i zakłopotany wpatrywał się w ziemię. – Mówią na mnie tutaj Stiepan Markowicz Kariagin – wydobył wreszcie z siebie.

– Ale naprawdę nazywa się pan całkiem inaczej?

– Zupełnie możliwe, zupełnie możliwe – mruzczał i wpatrywał się we mnie.

– Nie podejrzewa pan chyba, że jestem szpiclem policyjnym?

– O nie... w żadnym wypadku – wyjąkał. – Lecz... widzi pan, muszę iść swoją drogą...

Mój urząd... Adieu!

Długo spoglądałem za nim... Miał taki dziwny chód.

-----

W następnych dniach nie mogłem zainteresować się starym, gdyż przybyli nowi ześłańcy. Nie wolno nam było czytać gazet – zresztą zdobyć je w Usoli i tak pozostawało niemożliwością – stąd też, jeśli chcieliśmy czegoś dowiedzieć się o świecie, byliśmy tylko i wyłącznie zależni od wiadomości i nowinek, przywożonych nam przez nowo przybyłych.

Dopiero po upływie tygodnia miałem znowu trochę czasu, żeby pójść na spacer i udałem się od razu do kopalni, gdzie przedtem pożegnałem starego.

Tym razem nie spotkałem go na dworze. Zajrzałem więc przez to – tak zwane – okno, żeby zobaczyć, czy nie ma go w środku. Rzeczywiście był wewnątrz. Z całą pewnością. Ale jak on wyglądał! Na oknie leżała książka, nad nią pochylony stary, w dużych okrągłych okularach na nosie. Czytał. Pozostawał tak bardzo zatopiony w lekturze, że wcale nie zauważył, kiedy przyszedłem. Wstrzymałem oddech, obserwowałem go i usiłowałem odczytać tekst w książce. Wydawało mi się, że to była rosyjska publikacja. W końcu wśliźnałem się do jamy i stanąłem blisko niego. Co zobaczyłem teraz? Czytał „Kraft und Stoff”, „Siłę i materię” Buchnera!

Ta książka była wtedy w Rosji zakazana i prawie niedostępna. A teraz znajdowałem ją tutaj, we wschodniej Syberii, w kopalni soli, u człowieka, który nie posiadał nawet dziesięciu kopiejek, żeby kupić tytoń do fajki, kosztujący niewiele więcej niż siano.

Sam od lat nie tęskniłem bardziej za niczym innym, jak za tym, by móc znowu poczytać jakieś dzieła Buchnera. Tak więc również zacząłem czytać, rozmyślać i zapominałem o otaczającym mnie świecie. Po chwili spojrział na mnie, ale wcale nie był zdziwiony, gdy mnie spostrzegł i wypytywał mnie w taki sposób, jakbyśmy od dawna przebywali razem. Wkrótce byliśmy pograżeni w rozmowie o Buchnerze, Darwinie, Dawidzie Straussie i innych zachodnich pionierach nauki tego czasu. Stary czytał ich dzieła, studiował je. Razem upajaliśmy się wymianą poglądów, rozmowa sprawiała nam rozkosz.

Wtem wydobył z siebie okrzyk przerażenia, który – jak poczułem – wstrząsnął mną do głębi. Zanim się opamiętałem, stary zniknął wraz z Buchnerem.

Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Dopiero stopniowo uzmysłowiłem sobie, co zaszło. Teraz nie miałem już wątpliwości, że ten człowiek, który nazywał się Stiepan Markowicz Kariagin był jednym z nieszczęśników, przemierzających syberyjski ocean śniegu pod fałszywą banderą, gdyż z ich prawdziwym nazwiskiem powiązana jest okropna tajemnica, którą muszą ukryć, lub też nie chcą, żeby im o niej przypominać. To są tak zwani Zamaskowani.

Pod wpływem radości z prowadzonej głośno wymiany myśli, zapomniał o wszystkim wokół, aż nagle uprzytomnił sobie, że mogę odkryć jego tajemnicę. Wówczas uciekł przerażony.

Od tej chwili nieodparta chęć poznania kolei losów starego zawładnęła mną coraz bardziej. Jednak dopiero gdy minęła zima, udało mi się na tyle zdobyć jego zaufanie, że uwierzył w szczerść mojej przyjaźni i wtedy opowiedział mi historię swojego życia.

### 3.

Stiepan Markowicz Kariagin – ze względu na jego rodzinę pozostaniemy przy tym nazwisku – był synem poważanego i szlachetnie urodzonego rosyjskiego generała brygady, którego car Mikołaj mianował gubernatorem bardzo odległej prowincji.

Z wielu dzieci pozostał mu tylko ten jedyny syn. Ból jego musiał być więc ogromny, kiedy któregoś dnia syn stanął przed nim i oznajmił, że chce pójść na uniwersytet.

– Co? – zachnął się stary ojciec. – Chcesz stać się gryziptórkiem? Czy nie wiesz, że nie będzie to godne twojego urodzenia? Młody mężczyzna z takiego stanu powinien zacząć karierę w wojsku. Kto postępuje inaczej, daje zły przykład. Czy chcesz, żeby twoja rodzina przestała być chętnie widziana w sferach rządowych?

Młody mężczyzna pałał jednak nieprzewyciężoną niechęcią do perspektywy kariery w wojsku. Ojcu nie pozostało nic innego, niż pozwolić mu wstąpić na uniwersytet. Aby jednak uniknąć gadaniny w rodzinie i wśród obcych równych im stanem, wysłał syna po naukę za granicę.

Po studiach na różnych uniwersytetach niemieckich, Stiepan Markowicz udał się do Paryża i Londynu, a wreszcie również do Szwajcarii, gdzie w tym czasie szukający edukacji Rosjanie wskutek postępu w duchowym rozwoju imperium carskiego cieszyli się wielkim poważaniem.

Przed młodym, dystyngowanym, wytwornym i doskonale wykształconym człowiekiem wszystkie najlepsze salony stały otworem. Na jednym z przyjęć poznał młodą dziewczynę o imieniu Johanna M, córkę szwajcarskiego proboszcza, którą tak przyciągały dowcipne konwersacje Stiepana, że niebawem żywo się nim zainteresowała. Jemu również spodobała się młoda i świeża dziewczyna i wkrótce się do siebie zbliżyli, aż nie było mowy o rozłące... Postanowił się z nią ożenić.

Zawiadomił ojca o swoim zamiarze. W odpowiedzi usłyszał, że rodzina uzna ten mariaż za hańbę i ucieknie się do wszelkich możliwych środków, żeby przeszkodzić ich związkowi.

Pozostał jednak przekonany, że upór ojca jest bezpodstawny. Jeszcze bardziej utwierdził on Stiepana Markowicza w jego postanowieniu. Wolał raczej zrezygnować z powrotu do rodzinnego domu i ojczyzny, niż opuścić ukochaną. Gdy okazało się, że intrygom nie ma końca, szybko zdecydował. Objął posadę nauczyciela i poślubił Johannę, spodziewając się, że ojciec z czasem pogodzi się z faktami dokonanymi.

Mylił się jednak. Generał odczytał postępowanie syna jako bezczelne kwestionowanie woli ojca. I poprzysiągł tej bezczelnej osobie zemstę za to, że podstępnie posługując się różnymi sztuczkami zwodziła i na koniec ukradła mu syna. Nieprzejednana nienawiść wobec niewinnej kobiety całkowicie przemieniła gubernatora. Obnażył dzikość i surowość swojej prawdziwej natury. Z względnie łagodnego i wyrozumiałego człowieka zmienił się w porywczego, popędliwego złoźnika. Wiele razy Stiepan Markowicz otrzymywał listy z ojczyzny, w których życzliwi uprzedzali i ostrzegali, żeby – jeśli miłe mu jest życie własne i rodziny – nie wracał do Rosji. Również tam, gdzie się teraz znajduje, powinien uważać, ponieważ nienawiść jego ojca nie zna granic.

W tej palącej złej namiętności generał wpadł na pomysł wyjątkowo podły, żeby udawać pojednanie i tym sposobem urzeczywistnić zamiar zemsty. Nagle sprawiał wrażenie, że pogodził się z tym, czego nie może zmienić. Próbował pozornego pogodzenia się i kiedy zawiadomiono go, że został dziadkiem, napisał do syna uprzejmy list, załączając kilkaset rubli.

Stiepan Markowicz przyjął pismo tak, jakby to uczynił każdy zwyczajny syn, który nie chce we własnym ojcu widzieć podstępного barbarzyńcy. Wierzył bez zastrzeżeń w rzetelność przebaczenia. Z jego powodu wydawał się szczęśliwy. Zależało mu na pojednaniu i pogodzeniu się z ojcem. Przy tym jego sytuacja finansowa także nie przedstawiała się najlepiej. Jako nauczyciel nie zarabiał wiele, a Johanna potrafiła równie źle gospodarować jak on sam.

Minęło kilka lat. Kontynuowano wymianę listów z ojcem. Nie były serdeczne, ale w miarę uprzejme i można było się spodziewać, że ojciec nareszcie pogodził się z tym, czego już zmienić się nie uda. Zresztą młode małżeństwo co roku miało okazję obwieszczać narodziny nowego wnuczka.

Pewnego dnia nadszedł list od generała, w którym zapytywał, czy syn nie zamierza wrócić do Rosji i nie ma ochoty przyjąć posady państwowej, na dobry początek u własnego ojca. Przy posiadanych kontaktach z pewnością nie będzie musiał czekać długo na awans na wicegubernatora.

Perspektywa tak wspaniałej przyszłości wywarła na Johannie znaczne wrażenie. Sądziła, że za wszelką cenę należy przyjąć propozycję teścia, mimo licznych ostrzeżeń krewnych i przyjaciół, którzy znali Rosjan i tkwiącą w nich żądzę zemsty. Uważali, że doprowadzony do wściekłości generał zdolny jest do wszystkiego. Sam Stiepan Markowicz również nie bardzo ufał pokojowi czy rozejmowi, jaki między nimi nastąpił. Niejasne przecucia mówiły mu, że z tego posunięcia nic dobrego nie wyniknie. Jednak Johanna od tego momentu nie dawała mu już spokoju i kiedy ojciec nalegał w listach, żeby się sprowadzili do kraju, syn zdecydował się zrezygnować z bezpiecznego domu w nowej ojczyźnie i powrócić do dawnej.



## 4.

Po długiej, a w ówczesnych warunkach uciążliwej podróży, dotarli do domu ojca, gdzie w pawilonie ogrodowym urządzono dla nich mieszkanie.

Generała nie było w domu. Przybyszów powiadomiono, że musiał wyjechać służbowo, by coś załatwić. Matka nie żyła już od kilku lat. Przyjezdni nie zastali więc nikogo oprócz służby i jednej głuchoniemej kuzynki.

Po jakimś czasie generał wrócił. Stiepan Markowicz chciał rzucić mu się na szyję, przytulić się do jego piersi, po długiej rozłące ucałować i prosić o przebaczenie. Został jednak odepchnięty. Gdy spojrzał w pobłyskujące groźnie oczy starego, słowa uwięzły mu w gardle. Zapytał tylko, czy może przynajmniej pokazać ojcu swoje dzieci. Wtedy generał wstał, zmierzył syna wściekłym spojrzeniem i bez jednego słowa opuścił pokój.

Po takim powitaniu nie należało się spodziewać niczego dobrego. Johanna starała się pocieszać małżonka i próbowała własną czułością i delikatnością wynagrodzić mu utraconą miłość ojca. Jednak jego opanowała głęboka melancholia. Przeczucie czegoś niesamowitego, co musi się wydarzyć, co czuł, że wisi w powietrzu, spędzało mu sen z powiek, pozbawiało odwagi i wszelkiej ochoty do dalszego działania. Johanna cierpiała zapewne dalece bardziej. Komu mogła zaufać i się wyzalić? Obca tutaj, nie znała ani jednego rosyjskiego słowa. Wykorzystano to jako pretekst, by nie wprowadzać jej do towarzystwa. Ciężka, długa podróż z trójką dzieci w powozie bardzo ją wyczerpała. Posępny nastrój jej męża także wpłynął na jej samopoczucie, więc Johanna była cierpiąca.

Po pewnym czasie Stiepan Markowicz otrzymał nareszcie polecenie, żeby udał się do biura i zapoznał z przyszłymi obowiązkami. Sekretarz ojca zaprosił go na wieczorną herbatę, przy której mieli omówić szczegóły spraw zawodowych. Stiepan Markowicz próbował odmówić, pod pretekstem, że ze względu na chorobę żony nie składa jeszcze wizyt. Sekretarz nie przyjął jednak do wiadomości wymówki, skoro mowa miała być tylko o sprawach zawodowych. Stiepan Markowicz nie miał więc innego wyboru, jak zaproszenie przyjąć.

Pożegnał się z żoną i dziećmi, zapowiedział, że wróci późno i poszedł.

Z powrotem był dopiero około północy. W pawilonie ogrodowym świeciło się jeszcze światło, podobnie jak w pokoju generała.

Podochocony z powodu uprzejmego przyjęcia przez sekretarza, niczego nie podejrzewając, pospieszył nie zdejmując płaszcza do pokoju żony. Tam było już ciemno... Zawołał... Nikt nie odpowiedział... Zaniepokoiło go to...

Poszedł po światło, które stało na stole w jego pokoju i chciał wracać, kiedy stojąc już w progu – wzdrygnął się.

Ktoś leżał na podłodze... Przeszyło go straszliwe przeczucie. Poświecił sobie i ujrzał coś przerażającego: pośrodku pokoju, w olbrzymiej kałuży krwi leżała jego żona, obok jego troje dzieci... Cała czwórka dosłownie zaszlachtowana, z poderżniętymi gardłami... Trochę dalej widniał zakrwawiony nóż.

Za sprawą bólu i przerażenia całkiem bezmyślnie porwał nóż i pobiegł do ojca.

Błady jak trup, trzęsąc się, stał przed nim i wrzeszczał:

– Jesteś mordercą! Moja żona! Moje niewinne dzieci! Całe moje szczęście! To ty jesteś ich mordercą!

Generał, który oczekiwał jego pojawienia się, siedział spokojnie na krześle z wysokim oparciem. Nie poruszyło go to. Oczy jego pozostawały prawie przesłonięte przez opa-

dające brwi. Połyskiwały spod nich tylko małe świecące punkciki, całkiem jak u hieny. Pozwolił mu się wykrzyczeć, a kiedy syn nie potrafił już z siebie wydobyć nawet jednego słowa, powiedział zimno:

– Nie potrzebujesz się wcale tak podniecać... Jesteś jeszcze młody. Już ja postaram się o to, żebyś miał inną żonę. Będziesz ją miał, pasującą do twojego stanu. A co się tyczy tych bękartów...

– Ojczy! – krzyknął nieszczęsny.

Cyniczne słowa generała odebrały mu resztę zdrowego rozsądku. Rzucił się na ojca z zakrwawionym nożem w ręku.

– Ogień! Pali się! – wołano na zewnątrz.

Rozglądał się wokół jak opętany. Pawilon z czterema martwymi ciałami stanął w płomieniach.

Dopiero teraz oprzytomniał.

U jego stóp leżało krwawiące ciało ojca, który charczał w ostatnich konwulsjach... Zabity przez niego...

## 5.

Wypadł stamtąd i zniknął w tłumie ludzi, usiłujących ugasić pożar. Wybiegł z miasta i dalej pędził przed siebie, coraz dalej. Całymi dniami błąkał się wokół bez jedzenia, aż całkiem opadł z sił i zemdłał.

Kiedy już doszedł do siebie, znajdował się w małej chatce pośrodku lasu. Znalazła go stara kobieta, kiedy szukała chrustu i przytaszczyła na swoim wózku do chaty. Gdy nieco wydobrzał, spytał, gdzie przebywa. Wypowiedziała nazwę regionu mocno oddalonego od jego rodzinnych stron. Nie był w stanie myśleć. Niewytłumaczalna siła pchała go ciągle dalej, przed siebie. Wiele miesięcy pozostawał posłuszny temu jednemu pędowi: ciągle dalej, naprzód.

Zachorował w końcu w Jekaterynburgu na Uralu. W swoim obłądzie aż tam dotarł. Wyglądał okropnie: obdarty, prawie zagłodzony, brudny, całkiem zaniedbany. Nikt by nie odgadł, że należy do wyższej klasy ludzi. Aresztowano go więc jako włóczęgę, podejrzewając, że uciekł z kopalni tylko po to, żeby jak wielu innych zostać skazany na powtórne zesłanie na Syberię. Proces ciągnął się w nieskończoność. W twierdzy, o której krążyły niesamowite opowieści, zachorował na tyfus i trafił do szpitala więziennego.

Zwyciężył i zwalczył chorobę. Gdy oprzytomniał, dowiedział się od strażnika ku swojemu przerażeniu, że mającąc w gorączce, wygadywał tak niesamowite rzeczy, iż powiadomiono policję i wszczęto śledztwo.

Pomógł mu przypadek. Na sąsiednim oddziale zmarł na tyfus inny więzień, o nazwisku Stiepan Markowicz Kariagin, który za pospolite przestępstwo kryminalne został skazany na 12 lat robót w kopalni i właśnie tutaj w czasie transportu na Syberię zachorował.

Zdarzyło się to tuż przed Świętami Bożego Narodzenia. To okres, kiedy Rosjanie, współczujący doli ziomków, którzy znajdowali się w drodze na Syberię, hojnie obdarzali ich jałmużną. W zamian za przyrzeczenie, iż otrzyma tę jałmużnę, strażnik obiecał, że go uratuje.

W ten sposób nieszczęśliwy uciekinier, którego jedynym życzeniem pozostawało, żeby przed hańbą ustrzec nazwisko rodziny, powędrował do łóżka zmarłego przestępcy, a kryminalistę położono do jego własnego.

Nazajutrz lekarz przy nazwisku domniemanego włóczęgi postawił w księdze chorych krzyżyk.

– Zmarł.

Przy nazwisku Stiepana Markowicza natomiast napisał:

– Wyzdrowiał. Może kontynuować drogę do kopalni i przez kilka dni jako rekonwalescent jechać na saniach.

Nieszczęśliwy człowiek następnym transportem dostał się na Syberię pod nazwiskiem pospolitego przestępcy Kariagina i po nie kończących się cierpieniach i wyrzeczeniach dotarł do kopalni soli.

Pozostał jednak bez sił. Często trzeba go było stawiać na nogi po pracy. Kiedy komendant był któregoś dnia w dobrym humorze, nadał mu urząd i mieszkanie w opisanej przeze mnie kopalni.

Zadanie jego od prawie dwudziestu lat polegało na przycumowaniu statków, przybyłych z ładunkiem wapna. Musiał też uważać, by nie zostały uszkodzone ani oderwane z cum przez dziko rwącą Angarę i porwane gdzieś daleko. Miał także pilnować, żeby źli ludzie nie plądrowali statków.

Jedynie pocieszenie dawały książki, kiedyś należące do politycznego zesłańca, doktora W. Doktor W. otrzymywał je krętymi drogami od przyjaciela, a zanim umarł w kopalni, przekazał je jak jedyny spadek uczonemu z jamy, z którym się również zaprzyjaźnił.

-----  
\*\*\*

Gdy zostałem zwolniony z kopalni w Usoli i posłany na osiedlenie w Irkucku, stary jeszcze żył. Po kilku latach jednak od pewnego znajomego dowiedziałem się, że na jego miejscu przy cumowaniu statków pracuje jakiś garbaty więzień.

## OSKA

### 1.

Kiedy piękna i żądna władzy duńska księżniczka Dagmar, która przedtem była narzeczoną Mikołaja, gorąco kochanego następcy tronu, za obiekt westchnień obrała jego brata, Aleksandra Aleksandrowicza, późniejszego cara Aleksandra III i jako jego jaśnie małżonka została szczęśliwą matką księcia, obecnie nam panującego cara Mikołaja II – mogliśmy się i my, których za miłość okazaną własnej ojczyźnie zesłano do kopalń wschodniej Syberii nieco ogrzać padającymi również na nas promieniami carskiego miłościwego słońca.

Ja, który od dwóch i pół roku pracowałem i spałem zakuty w łańcuchy, zostałem wraz z innymi towarzyszami niedoli ułaskawiony z tej okazji. Mogliśmy zamieszkać w wiosce Usola, leżącej niedaleko kopalń, pod warunkiem, że punktualnie i sumiennie będziemy wykonywali swoją pracę i każdego wtorku o określonej godzinie staniemy do apelu w mieszkaniu komendanta. Na placu kościelnym, naprzeciw prawosławnej świątyni, kupiłem sobie parcelę, na której wznosiła się mała chatka. Kuchnię zrobiłem z dawnego domku zimowego. W skład parceli wchodziło również rozległe podwórko, na którym znajdowały się najpotrzebniejsze zabudowania gospodarcze oraz ogród warzywny. Wszystko urządziłem zgodnie z moimi życiowymi potrzebami. Wkrótce zezwolono mi również na to, by moją pracę wykonywali inni, a ponieważ przyjaciele wspierali odpowiednimi sumami moje utrzymanie, mogłem oddać się bez reszty pracy naukowej i podjąć studia w dziedzinie sztuki. Wynająłem sobie starego Czukcę, który udawał, choć bardzo kiepsko, kucharza. W ciągu dnia pracowałem w domu, późne popołudnia wykonywałem na spacerach i wycieczkach. W ten sposób bardzo powoli dochodziłem do siebie po okresie ciężkiej pracy w kopalni.

Niedaleko kopalń soli mieściła się okryta złą sławą kolonia, nazywana Mołotowką. Składał się na nią zaledwie jeden szereg nędznych chat, ukrytych częściowo za nasypem, który służył także jako droga, prowadząca do lasu. Lasem tym dało się dotrzeć na Trakt Moskiewski, szeroką drogę dla wojska, która przebiegała przez całą Syberię i przed wybudowaniem kolei transsyberyjskiej pozostawała główną arterią. W Mołotowce gnieździła się najgorsza hołota, gotowa na każde zawołanie zniszczyć życie ludzkie za jedyne 10 kopiejek. Stanowiła postrach dla wszystkich nieco spokojniejszych i lepszych mieszkańców innych siół. Ciągłe morderstwa na tle rabunkowym i inne przestępstwa wszelkiego rodzaju zdawały się nie mieć końca. Co tydzień nowe transporty przestępców zapewniały ciągły napływ najgorszego elementu.

Na spacerach najchętniej wybierałem się do lasu. Leżąc w cieniu drzew, na zielonej leśnej ziemi, mogłem puszczać wodze fantazji, rozmyślać lub cieszyć wzrok gorączkowym, żywym ruchem całych rojów owadów, które muszą w trakcie tak krótkiego lata działać tak wiele. Aby dotrzeć do lasu, zwykle szedłem Traktem Moskiewskim, a wracałem drogą na nasypie mołotowskim, chociaż zdarzało się również odwrotnie.

Droga była niezwykle przyjemna, aczkolwiek zgodnie z tym, co uprzednio stwierdziłem, nie pozbawiona niebezpieczeństw.

Pewnego lipcowego wieczoru, kiedy z powodu gorąca – w ciągu dnia było 35 stopni ciepła – wyruszyłem w drogę powrotną nieco później niż zwykle zostałem zaskoczony



w lesie przez straszną nie pogodę. W krótkim czasie zrobiło się tak ciemno, że prawie nic nie było widać na wyciągnięcie ręki. Nawet kiedy zdołałem się wydostać z leśnych chaszczki i dotarłem do nasypu mołotowskiego, wciąż było tak ciemno, że drogi nie dało się zobaczyć. W dodatku padający ulewny deszcz tak rozmiękczył gliniastą ziemię, że bez przerwy ślizgałem się i aż po kostki zapadałem w breję. Dosłownie ześlizgiwałem się, a ponieważ na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo, bo mogłem spaść z nasypu, byłem z jednej strony przemoczony do suchej nitki przez deszcz, ale też ze strachu mokry od potu. Ponadto droga zmęczyła mnie już solidnie. Wokół nie widać było choćby jednego promienia światła, nie słychać warkotu jadącego wozu ani nawet szczeknięcia psa.

Zupełnie jakby wszystko wymarło... Droga, która równie dobrze mogłaby prowadzić do piekła!

Nagle potknąłem się o coś miękkiego – to coś było jakby elastyczne.

Kiedy ponownie odzyskałem równowagę, zawróciłem bez namysłu, ponieważ zdziwiłem się, że mogłem w tym miejscu znaleźć jakikolwiek większy przedmiot: bo kamień to nie był z całą pewnością.

Szukałem, posługując się w ciemnościach nogami i kijem.

Nareszcie znalazłem. W brudzie leżało coś, co przypominało paczkę.

Skoro pomagając sobie kijem nie mogłem stwierdzić, co tam leży, ostrożnie pochyliłem się i zacząłem dotykać znaleziska ręką. Najpierw poczułem mokre łachmany.

W przerażeniu cofnąłem rękę. Dotknąłem czegoś ciepłego, lepkiego i nawet żywego. Na pewno...

– Krew? Czy to krew? Może zamordowane dziecko?

Morderstwa były tu przecież na porządku dziennym.

Próbowałem osuszyć ręce i następnie zapalić zapalniczkę. Nareszcie. Udało się...

Rozpoznałem włosy. Pewnie zatem była to głowa. Znów macałem ręką znalezisko. Kiedy tylko dotknąłem miejsca, gdzie powinna być, jak przypuszczałem twarz, to coś wzдрыgnęło się. Wydawało mi się, że usłyszałem ciche kwilenie. A więc jeszcze nie całkiem martwe okazało się moje znalezisko...

Nie zastanawiając się dłużej, zabrałem nieszczęsną istotę i na plecach taszczyłem do szpitala.

Do szpitala było daleko a moje znalezisko ciężkie. Dochodziła już północ, kiedy tam dotarłem. Całkowicie wyczerpany, zapytałem o dyżurnego lekarza. Podano mi nazwisko jednego ze współtowarzyszy niedoli, z którym kiedyś studiowałem. Był okazałym, wspaniałym młodym człowiekiem. Jako lekarz niezwykle pilny i zdolny, pozostawał szorstki w zachowaniu i cyniczny w słowach. Kazałem go zawołać.

– Z jakiego piekła szatani cię tu nasłali? – naskoczył na mnie, kiedy spojrzał na nocnego intruza, wyczerpanego, przemoczonego i ubrudzonego. – Chyba cię coś ugryzło? Mówię ci: ty ze swoimi bezsensownymi ideami i miłością do ludzi teraz masz! Z tą obrzydliwą świnią! Śmierdzi zgniłą kwaszoną kapustą. Są barbarzyńcami po ojcach i łotrami po matkach. No, dawaj, pokaż. Niech ci będzie! Muszę przecież kiedyś pójść spać. Miałem dzisiaj dwie ciężkie operacje, a na dodatek to nieszczęsne spotkanie!

Wszystko to wyrzucił z siebie trochę nieskładnie, jednym tchem. Skorzystałem z okazji, żeby trochę odpocząć i pozwoliłem mu się zżymać i wściekać. Znałem go przecież. Serce miał dobre. Potrafił oddać nawet ostatni kęs, jeśli uznał to za konieczne. Swego czasu przesiadywał w pokoju bez spodni, ponieważ to nieodzowne okrycie pożyczyl ja-

kiemuś biedakowi, który podobno miał kogoś w nich odwiedzić, ale potem przepadł razem z nimi.

Gdy już nareszcie się wykrzyczał, przedstawiłem swoją sprawę. Najpierw był nieco zdziwiony, że się pewnie pomylił, ale po chwili zaczął od początku.

– Oszalałeś? Biegać po okolicy w taką pogodę i znosić mi tutaj umarlaków. Naprawdę powinno się tobie nałożyć kaftan bezpieczeństwa...

Utyskując, zaczął jednocześnie rozwijać moje znalezisko. I kiedy ukazało się coś, co prawie nie przypominało istoty ludzkiej – pokryte brudem i pękniętymi wrzodami stopy, napuchnięta twarz – wówczas strażnicy, spluwając za siebie, uciekli w przerażeniu. Wszyscy obawiali się zarażenia. Mnie również zrobiło się dość dziwnie. Natomiast mój przyjaciel, porzuciwszy wszelkie karcenie, zabrał się do dokładnego badania.

Kiedy starannie umył ręce w karbolu, zamruczał:

– Zabierz sobie tę kupę brudu. Nie mogę mu już pomóc.

Próbowałem go namawiać. Wtedy jednak prawie wyszedł z siebie.

– Co? – wrzeszczał. – Czy sądzisz, że potrafię ożywiać umarłych? A nawet gdybym to umiał, nie zastanawiałbym się nad taką kupą gnoju. Do diabła! Chłop całkiem zwariował. Przytargać do mnie coś takiego!

Znaleziony, który okazał się trzynastoletnim lub najwyżej piętnastoletnim chłopcem w ostatnim stadium fizycznego wyczerpania, został jednak przyjęty do szpitala i otoczony najlepszą opieką, jakby był pacjentem, za którego wyzdrowienie obiecano zapłacić tysiące. Całymi nocami sam lekarz przysiadawał przy jego łóżku. Wydawało się, że jego ambicja skupiła się na tym, żeby uratować chłopca, który w tak przedziwny sposób został znaleziony. Ilekroć jednak przychodziłem, żeby zapytać o zdrowie podopiecznego, zawsze słyszałem odpowiedź:

– Zabierz go stąd! I tak musi umrzeć!

## 2.

Jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom, chłopiec nie umarł. Po trzech miesiącach – w tym czasie zaczęła się już zima – całkiem zdrowy, został wypisany ze szpitala.

Co miałem z nim teraz począć?

Ojca chłopiec w ogóle nie znał. Wiadomo, że był koniokradem. Pochodził zapewne z południowych guberni, gdzie kradzieże koni były na porządku dziennym. Ze strachu przed chłopami, małżonka dobrowolnie zgodziła się towarzyszyć w drodze na Syberię mężowi, skazanemu na roboty w kopalni. W czasie długiego transportu urodził się chłopiec. Ojciec zachorował w kopalni i zmarł. Matka – latawica poszła z innym i przepadła, zostawiając dwuletniego chłopca pod opieką mieszkańców Mołotowa.

Nieszczęsną istotę pędzono z jednej chaty do drugiej. Nikt nie chciał się nim zająć. Kiedy podrósł, zaczął żebrać i jakoś przeżył. Potem mołotowcy brali go do pasania świń lub gęsi i dawali w zamian odrobinę strawy. Włóczył się tak, aż skończył trzynaście lat. Nikt się nim nie zajmował. Dlatego też pozostał opóźniony w rozwoju fizycznym, chudy i podupadał na zdrowiu. Jak bezdomny pies szukał odrobiny pożywienia, a kiedy zapadł na ospę, wyrzucono go na ulicę.

Niczego więcej, pomimo starań, nie udało się o jego przeszłości dowiedzieć.

Co mogłem zrobić? W końcu sam musiałem go do siebie przyjąć – przynajmniej do czasu, aż całkiem wyzdrowieje.

Mój służący – stary Czuczka – był przerażony nowym mieszkańcem naszego domu.

– Taki podrzutek, twarz całkiem powykrzywiana, nieforemny nos i jeszcze te wyleniałe brwi!

Nie, z takim przez diabła naznaczonym i przez złe duchy dla hańby stworzonym dzieckiem, on nie może zostać pod jednym dachem.

Prawda, że Oska – tak nazywali go mołotowcy – był bardzo brzydki. Tak brzydki, że sam traciłem dobry nastrój, kiedy musiałem na niego patrzeć. Mimo to jednak zatrzymałem go, dałem siennik i koc. Wskazałem mu miejsce na piecu w pokoju, którego sam nie używałem i zleciłem staremu, który jednak był dobrodusznym człowiekiem, żeby się nim jak najlepiej opiekował. Chłopakowi natomiast zakazałem pokazywania się w mojej obecności i więcej się nim nie interesowałem.

Potrafił się tak roztropnie dostosować do warunków, że ani go nie widziałem, ani nie słyszałem. Kiedy daremnie próbowałem się dowiedzieć więcej o jego przeszłości, zaprzestałem dalszych prób i prawie zapominałem, że istnieje. Dopiero latem wpadł mi ponownie w oko.

W ogródku posadziłem mnóstwo różnorodnych kwiatów, które przyjaciele przysłali mi z mojej nieszczęsnej ojczyzny. Miałem dużo pracy z ich podlewaniem i wrywaniem chwastów, ponieważ przy takim żarze z nieba i bardzo krótkich nocach, ziemia szybko zmieniała się w popiół. Dziennie potrzebowałem od 12 do 20 wiader wody, żeby je wszystkie podlać. Wodę musiałem przynosić ze studni. Wstawałem między 3 a 4 rano i zaczynałem tę pracę, gdy inni jeszcze spali.

Ogromnie się zdziwiłem, gdy pewnego ranka ujrzałem cały ogród świeżo podlany, a wszystkie chwasty wyrwane. Początkowo nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, kto mi pomaga. Innym razem, gdy wstałem jeszcze wcześniej niż zwykle, dostrzegłem, że na werandzie mojego domu pojawił się okazały chłopak, który przemykał jak cień. We wschodniej Syberii noce o tej porze roku są krótkie, nawet przez całą dobę jest jasno. Chłopak przemykał jak cień. Skąpo ubrany, biegł z wiadrami do studni, wyciągał je bezgłośnie pełne wody i z dużą zręcznością wykonywał swoją, a właściwie moją pracę.

Chociaż był teraz mocno wyrosnięty, poznałem jednak, że to Oska, uratowany przeze mnie chłopiec, który w ciszy i bez żadnych żądań został moim pomocnikiem. Byłem tak mile zaskoczony, że od tej chwili postanowiłem więcej się nim zajmować.

Zaraz po śniadaniu, zanim przyszły moje modele, bo miałem malować, zasiadłem przy biurku tak, żebym mógł zobaczyć jego twarz w pełnym świetle i zawołałem go. Kiedy tylko usłyszał swoje imię, jednym susem znalazł się przy mnie. W pierwszej chwili zaskoczenie odebrało mi mowę. W nowych warunkach życia chłopiec rozwinął się w sposób zadziwiający. Wyrósł bardzo. Blizny nieco zarosły, nawet nos przybrał normalne kształty. Dopiero teraz zwracały uwagę jego piękne, czarne oczy, które patrzyły na mnie tak szczerze i otwarcie, a przy tym dość energicznie, że nie mogłem się nasycić odkrytą w ten sposób nowością.

– Oska – powiedziałem wreszcie. – Z pewnością chciałbyś zostać porządnym i dobrym człowiekiem. Nie będziesz jednak mógł tego osiągnąć, jeśli niczego się nie nauczysz!

Milczeliśmy, nie odrywając od siebie wzroku. Aby szybko rozstrzygnąć sprawę, dodałem:

– Czy chcesz się nauczyć pisać i czytać oraz tego wszystkiego, co się w życiu przydaje? Oczy jego odpowiedziały, zanim zdążył otworzyć usta.

– Dobrze – rozstrzygnąłem. – Możesz teraz odejść.

Jeszcze tego samego dnia kupiłem wszystko, co potrzebne, a nazajutrz już siedzieliśmy razem i zaczęliśmy naukę. Oska robił postępy w takim tempie, że zupełnie serio musiałem się zastanawiać, co ma z tego chłopca wyrosnąć, gdyż tu na katordze razem ze mną nie miał najmniejszych szans.

### 3.

Czuję się zmuszony do opowiedzenia zdarzenia, które miało miejsce wiele lat przedtem i zaważyło na przyszłości Oski.

Minął chyba rok od czasu, kiedy wraz ze znanymi i anonimowymi przestępcami politycznymi i kryminalnymi przybyłem do kopalni w Usoli. Życie tam, jeszcze w starych koszarach, przerobionych na więzienie, okazało się najbardziej beznadziejne, jakie można sobie wyobrazić. Dzień i noc pozostawaliśmy zakuci w łańcuchy, w których trzeba było chodzić, pracować i spać. Mimo, że koszary przeznaczono tylko dla 150 do 200 osób, mieściliśmy się tam w 400 i więcej. Na podłodze pomiędzy pryczami żyły krocie pasażerów, które wypijały krew niezliczonych pokoleń umęczonych i śpiących tu zesłańców, karmiąc potomstwo. Powietrze sprawiało wrażenie zadżumionego. Cieszyliśmy się za każdym razem, kiedy otwierano wrota i o czwartej rano Czerkies Hassan budził nas do ciężkiej roboty i mogliśmy nareszcie wyjść na świeże powietrze.

Do takiego życia nas zmuszano. Prześladowano nas i poniżano, ponieważ kochaliśmy sprawiedliwość i naszą ojczyznę! Stąd nic dziwnego, że nasze zamiłowanie do rozmów towarzyskich zostało zredukowane do zera i byliśmy szczęśliwi, kiedy nie musieliśmy się do nikogo słowem odzywać a nawet patrzeć na siebie nawzajem. W tej drugiej niechęci odzwierciedlała się nasza nędza i niedola, która się przez to jeszcze zwielokrotniała. Nasze chore dusze, okaleczone serca, nie wyrażały nic innego ponad ból, który był ponad nami, naszą istotą. Sprawialiśmy sobie nieskończone męczarnie, ilekroć spojrzeliśmy na siebie lub tylko słyszeliśmy nawzajem nasze głosy.

Na zjedzenie obiadu oraz przejście z miejsca pracy i z powrotem mieliśmy dwie godziny. W tym czasie załatwiano wszelkie niepojętym sposobem prowadzone interesy. Była to również jedyna okazja, żeby trochę odpocząć. Potem już komendant zastawał nas wszystkich razem w koszarach.

Jednak kiedyś, gdy właśnie mieliśmy wyruszyć po przerwie obiadowej, przyszedł do nas sierżant i nakazał zbiórkę na placu przed koszarami. Tak brzmiał rozkaz komendanta.

Przy akompaniamencie brzęku naszych łańcuchów przeszliśmy na plac i tam się ustawiliśmy. Wkrótce dostrzegliśmy komendanta, nadjeżdżającego kabrioletem. Był z nim jeszcze jeden mężczyzna. Przy budynku wartowni wysiedli, zbliżyli się do nas na odległość około 50–70 kroków, przystanęli, surowo zmierzili nas wzrokiem i wymienili między sobą uwagi. Staliśmy wyprostowani w szeregach i oczekiwaliśmy wydarzeń, które miały nastąpić. Zapewne niczego dobrego te przygotowania nie wróżyły.

Należy w tym miejscu nadmienić, że wielu politycznych zesłańców z surowymi wyrokami, natrafiało w drodze na Syberię na dobrowolnych męczenników, którzy skazani na łagodniejsze kary zsyłki, przejmowali ciężkie wyroki na siebie, aby innym pod ochroną własnego nazwiska umożliwić powrót do kraju, aby w ojczyźnie mogli znowu działać politycznie. Poprzez cały system szpicli i denuncjatorów rząd starał się oczywiście wykrywać takie oszustwa. Jeżeli władze natrafiły na ślad takiego patrioty, który aby służyć



ojczyźnie przejmował karę ciężkiej pracy w kopalni za kogoś, kto politycznie był bardziej wartościowy, to wówczas – jeśli nie było jeszcze całkowitej pewności co do proceduru – podejrzany był konfrontowany z denuncjatorem. Jeśli człowiek ten został rozpoznany, musiał wystąpić z szeregu, potem zaś następowało natychmiastowe wykonanie wyroku przez powieszenie lub nałożenie innej surowej kary.

Można sobie wyobrazić, jak się wszyscy czuliśmy. Ci, którzy byli winni, drżeli, że wybiła ich ostatnia godzina. A kto był niewinny, dręczyła go myśl, że straci na zawsze drogiego przyjaciela i towarzysza niedoli.

Mijały kolejne minuty tego przykrego dla nas wszystkich przeżycia.

Nagle znikły wątpliwości, że obcy zwrócił uwagę komendanta na miejsce, w którym stałem właśnie ja. Zamienili jeszcze kilka słów, a później komendant kazał reszcie wrócić do zajęć. Natomiast ja musiałem zostać.

Po chwili dwóch żołnierzy wzięło mnie między siebie, podczas gdy moi współtowarzysze ze łzami w oczach, zegnali mnie słowami i gestami. Przy wtórze brzęku łańcuchów powoli oddalali się coraz bardziej.

Wkrótce na placu wokół mnie zrobiło się cicho i spokojnie. Również komendant odjechał razem z gościem.

W końcu pojawił się starszy szeregowy z dwoma Kozakami, uzbrojonymi w obnażone bagnety i knut. Poprowadzono mnie przez wioskę Usola do Angary. Zupełnie nie miałem pojęcia, co się ze mną stanie. Zaprowadzono mnie do przedsionka, a potem do dużego pokoju domu komendanta.

Po kilku minutach wyszedł komendant wraz z obcym, którego poznaliśmy na wyspie solnej, uważanym przez nas za denuncjatora. Zasiadli przy stole. Zaś ja w towarzystwie Kozaków zostałem przywołany bliżej. Usłyszałem coś, co z początku wydało mi się marzeniem sennym.

– Zostanie pan odprowadzony do domu księżnej Trubeckiej – oznajmił komendant, ostro mierząc mnie podobnymi do igieł oczami. – Znajdzie pan tam córkę tego oto pana i na początek będzie pan trzy razy w tygodniu, popołudniami uczył ją wszystkiego, co należy do programu edukacji. Tak polecił jego ekscelencja, generalny gubernator Syberii Wschodniej.

Zwrócił się do Kozaków, którym rozkazał mnie odprowadzić. W przedpokoju natrafiliśmy na starszego szeregowca, który nas eskortował, idąc parę metrów przed nami. W takim pochodzie wędrowaliśmy przez całą wieś i rynek, ku zdziwieniu mieszkańców, którzy na dźwięk brzęczących łańcuchów spieszyli do okien. W końcu dotarliśmy do domu księżnej Trubeckiej, którą dziwne zrządzenie losu przygnało na Syberię, gdzie teraz prowadziła coś w rodzaju szkoły dla dziewcząt.

Zaprowadzono nas niezwłocznie do pokoju gościnnego. Kozacy stanęli po obu stronach otwartych drzwi, a starszy szeregowy poszedł swoją drogą, nie wypowiedziawszy nawet jednego słowa.

Nerwy moje za sprawą tej historii, bardziej pasującej do baśni z tysiąca i jednej nocy, pozostawały napięte do ostatecznych granic. Nawet nie miałem czasu się rozejrzeć, nim do pokoju weszła starsza, korpulentna dama, ubrana na czarno. Za rękę przyprowadziła dziewczynkę, mniej więcej czternastoletnią lub piętnastoletnią. Przedstawiła siebie, potem dziewczynkę, z uprzejmym uśmiechem wypowiedziała parę grzecznościowych uwag, na które starałem się, jak umiałem, równie elegancko odpowiedzieć. Następnie zaprosi-

ła mnie, żebym wypił z nimi herbatę. Dopiero pod wieczór odtransportowano mnie do koszar, ku niemożliwej do opisanego radości i wielkiemu zaskoczeniu kolegów. Przez całą noc śniłem jak dziecko, które na Gwiazdkę zostało zaskoczone najwspanialszymi i niespodziewanymi prezentami, aż do chwili, kiedy ochrypli głos Hassana okrzykiem „panowie do roboty!” oraz nagłe szarpnięcie zakutych w łańcuchy nóg, oznajmiły mi koniec cudownych marzeń sennych. Po południu zostałem nauczycielem słodkiej, nieśmiałej dziewczynki, której ojciec, jak wszyscy Sybiracy, żywił spore poważanie dla politycznych zesłańców i załatwił u władz zezwolenie, by wybrać spośród nich nauczyciela dla córki.

Mój czas pracy został podzielony. Przed obiadem harowałem w kopalni, a po obiedzie pracowałem jako nauczyciel, przy czym to drugie zajęcie zapewniało mi odpoczynek i nowe siły po pierwszym.

Ten piękny czas miał jednak swój koniec. Moja uczennica opuściła Usolę, a jej ojciec, niezwykle wpływowy kupiec i wyplukiwacz złota z Irkucka, odszukał mnie, by zaproponować zapłatę za lekcje dla córki. Oferta została oczywiście zdecydowanie odrzucona i udało mi się tego mądrego i światowego człowieka przekonać, że w tym wypadku to ja odniosłem większe korzyści. Jak najszczerzej uścisnęliśmy sobie ręce i rozstaliśmy się jak przyjaciele, uzgadniając wcześniej, że bez zwłoki zwrócę się do niego, jeśli będę potrzebował pieniędzy albo protekcji w obojętnie jakiej sprawie.

#### 4.

Przez wiele lat nie potrzebowałem odwoływać się do jego dobroci. Jednak teraz, kiedy przyszłość Oski stała się powodem moich strapień, przypomniałem sobie o kupcu. Napisałem do niego i odwrotną pocztą otrzymałem odpowiedź, abym przysłał chłopca do niego. Zamierzał na początek zatrudnić go w swoich browarach. Jeśli się sprawdzi, z pewnością będzie mu się u niego dobrze wiodło.

Oska płakał, kiedy mu oznajmiłem, że musi mnie opuścić. Mnie samemu nie było łatwo się z nim rozstać, ponieważ polubiłem go jak najszczerzej. Nic jednak nie dało się zmienić. Próbowałem obudzić do życia drzemiący w nim zarys dobrego człowieka. Więcej nie mogłem zrobić. Przyszłość musiał spróbować ułożyć sobie sam.

Po mniej więcej roku kupiec napisał do mnie, że jest zadowolony z Oski, który w jednym z jego zakładów otrzymał dobrą posadę. To była ostatnia wiadomość o nim. Zabraniłem mu pisać do mnie, ponieważ nie chciałem, żeby w jakikolwiek sposób czuł się zmuszony do okazania wdzięczności.

#### 5.

Mijały lata. Ogłoszono amnestię. Nie zapomniano również o nas, polskich rewolucjonistach. Zwolniono nas z kopalń i osiedlono we wschodniej Syberii. Z początku dostałem się do wioski Ajok, pracowałem to tu, to tam, nigdzie jednak nie zagrzałem miejsca na dłużej, ponieważ administracja centralna w Petersburgu, a zwłaszcza okryty złą sławą, Wydział IV Kancelarii Carskiej miał nas ciągle na oku i starał się ograniczyć do minimum nasz wpływ na miejscową ludność. Wreszcie zostałem wysłany do Irkucka, żebym objął tam posadę urzędnika. Smutne wspomnienia z Usoli coraz bardziej pokrywała mgła zapomnienia. Pojawiały się nowe zainteresowania i nadzieje, których życie nie skąpi.

Pewnego razu dostałem odpowiedzialne zadanie przeprowadzenia inspekcji na Trakcie Moskiewskim, tak daleko, jak sięga nasza gubernia. Zalecono mi wprowadzić nieco

ładu i porządku do stacyjek pocztowych, które się przy nim mieściły. Wszystko dlatego, że Wielki Książę Aleksander Aleksandrowicz, brat cara, miał niebawem przejechać tym traktem, a ponieważ u jego boku miał podróżować także minister komunikacji – łatwo sobie wyobrazić, jak mocno tej nieuporządkowanej, pozostającej w wielkim nieładzie administracji na Syberii, zależało na tym, żeby Jaśnie Miłościwemu Panu pokazać swój teren w jak najlepszym świetle. Kiedy jednak dotarłem do wsi Czeremszowo, zastała mnie w niej wiadomość, że Wielki Książę zmienił trasę i zamierza skręcić do Korei i Chin. Skoro jednak nic pewnego jeszcze nie wiadomo, mam w tej wsi pozostać i czekać na dalsze polecenia. Zdecydowałem się ten czas poświęcić na sprawiające mi przyjemność studiowanie etnografii. Kiedy spotkałem zaprzyjaźnionego dyrektora pobliskiej fabryki, bez ociągania przyjąłem jego propozycję, bym mu towarzyszył do jednego z jego zakładów daleko w lesie, niedaleko wsi Buriatów, należącej do innego mojego przyjaciela, wypłukiwacza złota z Irkucka. Nie przejmowałem się, że przecież wcale nie mam urlopu.

Przeżyłem kilka spokojnych dni odpoczynku. Dyrektor, pochodzący z terenów Syberii Zachodniej, który studiował w Rosji, był wyśmienitym człowiekiem i żadnej okazji nie pominął, żeby uatrakcyjnić mi pobyt i żebym się czegoś przy tym nauczył.

## 6.

Na krótko przed dniem, kiedy to zamierzałem ruszyć w powrotną drogę, dowiedziałem się, że z okazji karnawału w domu jednego z niższych urzędników odbędzie się przyjęcie z tańcami. Nie zamierzałem tracić okazji, aby przyjrzeć się tym ludziom z bliska podczas zabawy i zdecydowałem się pójść.

Dyrektor odradzał mi usilnie i stanowczo odmówił towarzyszenia mi. Przełożony powinien się trzymać od tego z daleka. Nawet jeśli na uroczystości pójdą niżsi urzędnicy i lepsi pracownicy okoliczni, to nigdy nie wiadomo, czy nie ma wśród nich złych elementów.

– Nie wyobraża pan sobie, ile musimy wycierpieć ze strony tej hołoty. Przy braku siły roboczej i otaczającym nas zewsząd lesie cieszymy się jednak, jeśli człowiek przygnany tu przez głód i zimno najmie się do pracy. Przyjmuje się go, choć z góry wiadomo, że to pewnie uciekinier z kopalni i pewnego dnia, z nadejściem lata, po prostu się oddali.

– Jaki interes mogą mieć ci ludzie, żeby się mnie czepiać? – oponowałem.

– Wystarczy, że mieszka pan u mnie – objaśnił. – Za każdym razem, gdy przybywa tu obcy, uważają go za szpiega dyrektora fabryki. Jeśli tym łotrom wyda się pan podejrzany, zwabią pana w jakąś zasadzkę pod byle pozorem, zabiją i ukryją w śniegu. Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Niedawno pewien urzędnik z kontroli, który zbyt uważnie patrzył miejscowym na ręce, zaginął w ten sposób. Latem na polach znajdziemy pewnie jego szkielet.

Nie przejąłem się ostrzeżeniem i wieczorem umówionego dnia, około siódmej wyruszyłem w drogę.

Jednak kiedy w ciemności szedłem wśród wysokich ścian śniegu, między którymi przekopana była wąska dróżka, zrobiło mi się trochę dziwnie na duszy.

Ani śladu gwiazd, księżycy czy choćby jednej jasnej smugi na horyzoncie. Niebo zawisło nad ziemią jak ciemny blaszany dach.

Może to trochę nieprzemyślana wyprawa? Udać się samemu do obcych, nieobliczalnych w swoich czynach ludzi? Coś w tym złego musi być, skoro tak nieustraszony człowiek jak dyrektor nie dał się namówić.

Na szczęście szybko zobaczyłem przed sobą nowy dom. We wszystkich czterech frontowych oknach, skierowanych w moją stronę, paliło się światło. Już z dworu dało się słyszeć panującą w środku wesołość. Wszedłem.

Tańczono, śpiewano i skakano w takt muzyki kilku bałałajek. Z powodu gęstego dymu palonego tytoniu i słabego oświetlenia, jakie dawały świece łożowe, z początku nic nie mogłem dostrzec.

Poszukałem sobie miejsca na ławie, ustawionej pod ścianą i zajmującej całą jej długość.

W izbie mrowiły się zuchwałe postacie w prawdziwych strojach chłopskich. Z okazji karnawału wszyscy się poprzebierali, a przygotowane maski były tak wiarygodne, że można było sądzić, że wszyscy są chłopami. Gadali, palili, pili herbatę i wódkę, rozstawioną wszędzie, w dużych ilościach na wszystkich stołach.

Obok mnie na ławie siedziało wiele kobiet i dziewczyn, również poprzebieranych za chłopki. Młodzi chłopcy, z zapalonymi fajkami w ustach, z futrzanymi czapkami na głowach, w suto marszczonych aksamitnych spodniach, wpuszczonych do niezgrabnych butów z cholewami, i z jedną lub obiema połami sukmany, wetkniętymi za pas, podchodzili do wybranek, klaszcząc w dłonie. Dziewczyny wstawały i wtedy pary ruszały w tan, posuwając się a najdziwniejszych figurach po całym pokoju. Chłopcy klaskali przy tym, przytupywali ciężkimi butami do taktu, że aż okna dźwięczały i wołali:

– Wesoło, wesoło!

Sień dzieliła dom na dwie części. Izba, w której tańczono, była oddzielona od sąsiedniej ścianą, sięgającą zaledwie połowy całej wysokości, znad której wielu gości przyglądało się tańczącym. Było bardzo tłoczno. Drzwi do sieni stały otworem i bezustannie tam i z powrotem przechodzili przez nie ludzie. Na bałałajkach grano ciągle ten sam, monotony kawałek. Wszyscy śpiewali razem tak długo, aż nie mogli wydobyć z siebie głosu.

Chociaż powietrze pozostawało przesycone zapachem bimbru oraz dymem tytoniu i panował ogłuszający hałas, znakomicie czułem się na swojej ławie. Nikt się szczególnie mną nie interesował, więc bez przeszkód mogłem przyglądać się do woli oryginalnym strojom i przebiegowi zabawy.

Tak minęło kilka godzin. Wciąż pojawiały się nowe twarze. Zamiast herbaty pito teraz przeróżne likiery, które przyrządza się tam z dzikich jagód i korzeni. Nastrój stawał się coraz weselszy, wszyscy byli podochoceni. W końcu postanowiłem wyjść. Posłałem po gospodarza, żeby się pożegnać.

Ten jednak nie przychodził. Zauważyłem natomiast, że inni zaczynają zwracać na mnie uwagę i gromadzą się po kilka osób. Powoli ustawały tańce. Miejscowi przechadzali się po izbie małymi grupkami, a kiedy zbliżali się do mnie, zdawało się, że mnie lustrują, nieznacznie mi się przyglądają. Nagle zostałem w izbie sam. Drzwi zamknięte...

Wstałem, żeby wyrzeć, co się zdarzyło, zauważyłem jednak za ścianką, dzielącą izbę na dwie, kilka twarzy, które mnie obserwowały, ale zniknęły zaraz, kiedy na nie spojrzałem.

Zaniepokoiło mnie to.

Od strony sieni wróciło do izby kilku młodych chłopaków w strojach chłopskich. Ociągając się, zrobili parę kroków w moją stronę, potem się odwrócili i ponownie zniknęli.

Nasłuchiwałem.

Za oddzielającą izbę ścianką miejscowi przechodzili na palcach i szeptali.

Teraz poczułem się naprawdę niepewnie. W głowie huczało mi z braku świeżego



powietrza i od hałasu wiejskiej zabawy. Całkiem mimowolnie przypomniałem sobie rozmowę z dyrektorem.

– Łotry zwabią pana pod byle pretekstem w zasadzkę, zabiją pana i pies z kulawą nogą nie będzie się tym interesował!

Wokół mnie ciągle jeszcze szeptano. Przez okna zaglądali zaciekawieni ludzie, którzy natychmiast znikali, jeśli tylko zobaczyli, że ich spostrzegłem. Wszystko stało się jasne: uważano mnie za szpiega właściciela czy kogoś w tym rodzaju. Całe towarzystwo było w zмовie. Znalazłem się w pułapce.

Minęło sporo czasu, ale w mojej sytuacji oblężonego nic się nie zmieniło. Szeptano, namawiano się, nagle gdzieś otworzyły się drzwi i zobaczyłem kilka tuzinów par oczu, które natychmiast znowu znikły. Nic więcej się nie zdarzyło.

Postanowiłem sobie, że nie ruszę się z miejsca. Świece łojowe były długie i wystarczyłyby do rana. Pomimo to znalazłem się w nieprzyjemnej sytuacji. Jak długo miałbym się tutaj bronić samemu, wobec przeważającej przewagi przeciwników? Na szczęście, z przekory i żeby pokazać dyrektorowi, że się nie boję, nie zabrałem nawet ze sobą rewolweru.

Znowu pięciu młodych chłopaków wkroczyło do izby. Przysunęli się tym razem dość blisko mnie, nic jednak nie powiedzieli i bez słowa odeszli. Zapewne mieli wszcząć ze mną kłótnię, a przy okazji mnie zabić. Postanowiłem sobie, że zachowam zimną krew i o ile to tylko możliwe, nie pozwolę się sprowokować.

Z mojego miejsca śledziłem każdy ruch i szmer.

Za ścianką działową gromadziło się teraz chyba coraz więcej ludzi. Zapewne nie mogli uzgodnić między sobą, w jaki sposób mają mnie zabić. Wyczułem to, słysząc bardzo ożywioną rozmowę, przy czym naraz mówiło po kilka osób. Ciągle szeptali. Rozróżniałem również głosy kobiet...

W każdej chwili spodziewałem się napadu.

Nagle z głośnym trzaskiem otwarto drzwi do sieni...

Wzdragając się, spojrzałem w tamtą stronę. Nie dostrzegłem jednak nikogo. Tylko za ścianką działową słychać było coraz bardziej ożywiony ruch i zamieszanie. Zrozumiałem, że stamtąd planowano na mnie napaść, by zabić, a trupa postanowiono wynieść przez otwarte drzwi do sieni, potem zaś na dwór, pod śnieg.

Wtem powróciła z sieni piątka młodych, którzy byli tutaj już przedtem. Chłopy jak dęby! Wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami, kroczyli w moim kierunku. Mniej więcej półtora metra przede mną przystanęli. Jeden z nich, silny jak tur, wysunął się naprzód i stanął krok przede mną. Pozostali postąpili za nim.

– Znam pana – powiedział zawiadacz, srogo na mnie patrząc.

Ręce trzymał za sobą – miał w nich z pewnością narzędzie zbrodni.

Siedziałem jak skamieniały i nie odpowiadałem.

– Znam pana – powtórzył. Głos jego zabrzmiał dziwnie, jakby był wzruszony. Zapewne miał zadać śmiertelny cios, ale teraz, kiedy stał ze mną oko w oko, nagle nie starczyło mu odwagi.

– Pan kłamie! – zawołałem.

– Nie! Ja nie kłamie. Znam pana. I pan również mnie zna!

– Kłamstwo pana jest więc podwójne!

Pozostali młodzi ludzie otoczyli mnie półkolem, w odległości wyciągniętej ręki. Mogli mnie dosięgnąć z łatwością.

Drzwi stały otworem. Pewien byłem, że dostrzegę w nich masę ściśniętych głów. Nie odważyłem się jednak spojrzeć w tamtą stronę, ponieważ chciałem mieć na oku chłopa, który powtarzał, że mnie zna. Jednak nie zaszczycił mnie żadną odpowiedzią.

Nagle wymienił moje nazwisko.

Nie zaskoczyło mnie to tak bardzo, ponieważ wyobraziłem sobie, że zdążyło dotrzeć tutaj. W rozpaczliwej sytuacji rozdrażniło mnie to dodatkowo, aż wściekły odparowałem:

– Czy pan mnie zna, czy też nie, jest mi to zupełnie obojętne. Niech pan odjedzie i da mi spokój!

– Nie dam panu spokoju, panie! – zawołał szybko drżącym głosem. – I mówię, że pan zna mnie także... Oska... Jestem Oska! Ten, którego pan znalazł na mołotowskim nasypie...

W jednej chwili zaniemówił. Popłynęły mu z oczu łzy, a słowa uwięzły w gardle.

-----

Za jednym zamachem wszystko się gwałtownie zmieniło, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Obrazy z przeszłości, jak żywe stanęły mi przed oczami. Pomyślałem o nędznej, zmizerniałej istocie, którą przed laty zaniósłem do szpitala, a teraz nagle ten okazały młody człowiek stoi przede mną.

Jednak teraz pomimo złego oświetlenia rozpoznałem go już bez wątpliwości. Prawie zasklepione blizny po ospie, mądre oczy – to naprawdę był Oska, mój dawny podopieczny, którego o mały włos uznałbym za własnego zabójcę.

Rozpoznał mnie dużo wcześniej i opowiedział ludziom historię swojego cudownego ocalenia. Przez dłuższy czas jednak nie zdobył się na odwagę, żeby mnie zagadnąć... Stąd nieśmiałe szeptki i obserwowanie mnie ukradkiem, które pod wpływem ostrzeżeń dyrektora i panującej na zabawie atmosfery moja podenerwowana wyobraźnia kazała mi niesamowicie tłumaczyć.

Nazajutrz Oska odwiózł mnie do Czeremszewa swoimi własnymi końmi. Jako samodzielny przedsiębiorca żył i mieszkał w kraju Buriatów – i ze wszystkiego, czego się o nim i od niego dowiedziałem, wnioskowałem, że wyrósł z niego ten, kogo kiedyś usiłowałem w nim obudzić. „Był człowiekiem”.

## Album

Sądzę, że widz lepiej zrozumie moje obrazy i bardziej się nimi zainteresuje, gdy rzuci okiem na niektóre objaśnienia, poświęcone pewnej liczbie osób, na nich przedstawionych, które bez wyjątku spotkał ten sam smutny los i przebyły ze mną te same cierpienia.

Data tych wypadków jest jeszcze zbyt świeża, ażebym mógł być kreślić biografię mych przyjaciół i towarzyszków niedoli.

Wiele ran jeszcze się nie zabiłiło i pomimo mej silnej woli, ażeby uniknąć wszelkiej przesady, pozostawić na uboczu każdą scenę okropną, obawiam się, ażebym nie zaszkodził tem moim towarzyszom, którzy jeszcze żyją, lub też ich rodzinom, gdyż nasz nieszczęśliwy kraj nie jest dzisiaj w lepszym położeniu, jak przed laty czterdziestu, tak pod względem politycznym, jak i pod względem socyalnym. Rozdarty on pomiędzy trzy mocarstwa, z pośród których dwa usilnie starają się wytepić jego język ojczysty, jego obyczaje, zwyczaje, a po części nawet i jego religię, chcąc, ażeby wszyscy zapomnieli, że istniała Polska!

To też ci rodacy, którzy powodowani gorącą miłością nieszczęśliwej ojczyzny, a przede-wszystkiem silną wolą, usiłowali z pod gniołącego jarzma oswobodzić Polskę – musieli usiłowania te okupić śmiercią lub długoletniem męczeństwem!

Dawniej, kiedy słup oznaczał granicę między Europą i Azją, był on ostatnim etapem, gdzie jeszcze wygnańcy mogli się spodziewać ułaskawienia. Dla tych, którzy tego nie uzyskali, od słupa tego kończyło się wszystko... rodzina, krewni, przyjaciele nie mogli im dalej towarzyszyć, tracili prawo do tego wszystkiego co posiadali, oni sami zaś nie mogli mieć nawet nadziei, że kiedykolwiek powrócą... To też rozdzierające sceny rozgrywały się tutaj w duszach skazańców, słup ten był niejako kamieniem grobowym ich nadziei!

Dziś rzeczy się zmieniły – krewnym nie wolno odprowadzać skazańców, zwyczaj jednak pożegnania na granicy pozostał. Dowódca konwoju woła: „Pożegnajcie się!” a wówczas wszyscy się zatrzymują i w scenie bolesnej a zarazem wspaniałej przenoszą się myślą ku swym ukochanym, ku swym ogniskom domowym, utraconym na zawsze. Potem rozpoczyna się w dalszym ciągu ponury pochód.

Oto przedmiot mego obrazu; starałem się przedstawić rozmaite typy wygnańców w tej strasznej chwili. Są to skazańcy polityczni i zwykli zbrodniarze, starzy i młodzi mężczyźni i kobiety, różni wiekiem, pochodzeniem i stanowiskiem społecznym, lecz złączeni przez ten sam niezmierny ucisk moralny.





1.  
*Pożegnanie Europy*; 1894;  
nr inw. M.680



2.  
*Pożegnanie Europy* (fragment)





3.  
*Pożegnanie Europy* (fragment)



4.

*Pożegnanie Europy* (fragment);

Aleksander Sochaczewski to postać stojąca przed słupem.





5.  
*Studium pięciu głów męskich;*  
nr inw. M.644





6.  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Dwóch mężczyzn i dwie kobiety z postaciami Anny Gudzińskiej i Peszyńskiego*;  
nr inw. M.655





7.  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Portret własny, dr Trzaskowski, kobieta siedząca i szkic kobiety modlącej się;*  
nr inw. M.651

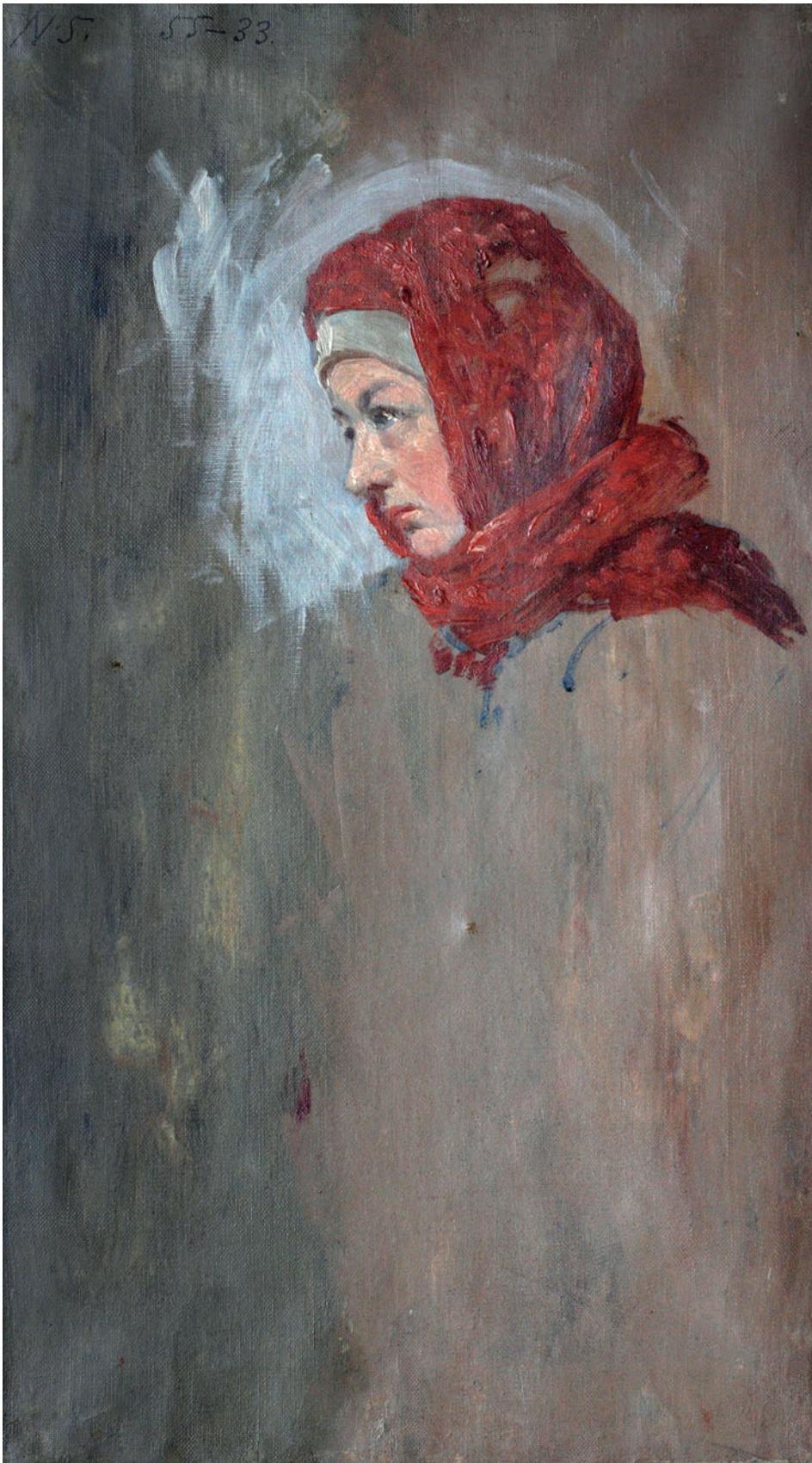


8

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.

*Portret Czernyszewskiego, piszącego na kamieniu, dwóch kobiet – modlącej się i płaczącej;*  
nr inw. M.658





9  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Pani Łagowska*;  
nr inw. M.686



10

*Studium: ks. Kamiński, nostalgia, moskiewski kupiec;*  
nr inw. M.741





11

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Hr. Mieczysław Wielhorski, prof. Julian Kędrzycki, Aleksander Oskierko i inne studia;*  
nr inw. M.661





12  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Marznący i kozak rozbestwiony*;  
nr inw. M.735

Marznący to Jan Frankowski.





13  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Studia z natury*;  
nr inw. M.740

Pięć z tych postaci znalazło się na obrazie po lewej stronie obelisku.



14  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Desperat i zakatowana kobieta*;  
nr inw. M.663

Desperat to na obrazie postać siedząca oparta o słup.





15  
Studium do obrazu  
*Pożegnanie Europy*.  
*Majdańszczyk, marznący,*  
*portret Yoppe-Beya*  
*– księcia;*  
nr inw. M.727





16

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Kobieta rozpaczająca i mężczyzna modlący się;*

nr inw. M.687





17  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Szkic katorżnika ze swoją córką*;  
nr inw. M.688





18  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Matka z córką modlące się (Rusinki)*;  
nr inw. M.698

Postaci znajdują się po lewej stronie pod słupem.





19  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Szkic sotnika kozackiego i skazańca*;  
nr inw. M.699





20  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Riadowej i uniformy żołnierskie*;  
nr inw. M.731





21

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Szkice postaci zesańców. M.in. Wańko Rozbójnik, kobieta, kobiety modlące się;*  
nr inw. M.646





22

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.

Prof. Czekanowski, książę Ortyński, kobieta modląca się, książę Kayssak;  
nr inw. M.734





23

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Kobieta modląca się i żołnierz*;  
nr inw. M.730





24  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Różne studia do pani Gudzińskiej i głowa starca*;  
nr inw. M.742





25  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Autoportret z żołnierzem*;  
nr inw. M.668





26

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Różne studia i szkice;*

nr inw. M.712





27  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Portret majdańszczyka*;  
nr inw. M.671





28

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Towarzysz, żołnierz i kozak;*

nr inw. M.724



29  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Mężczyzna, dziewczynka i pies*;  
nr inw. M.694





30

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
Szkice więźniów z postacią Peszyńskiego;  
nr inw. M.652



31

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Kobieta modląca się i szkic towarzysza* (Jan Frankowski);

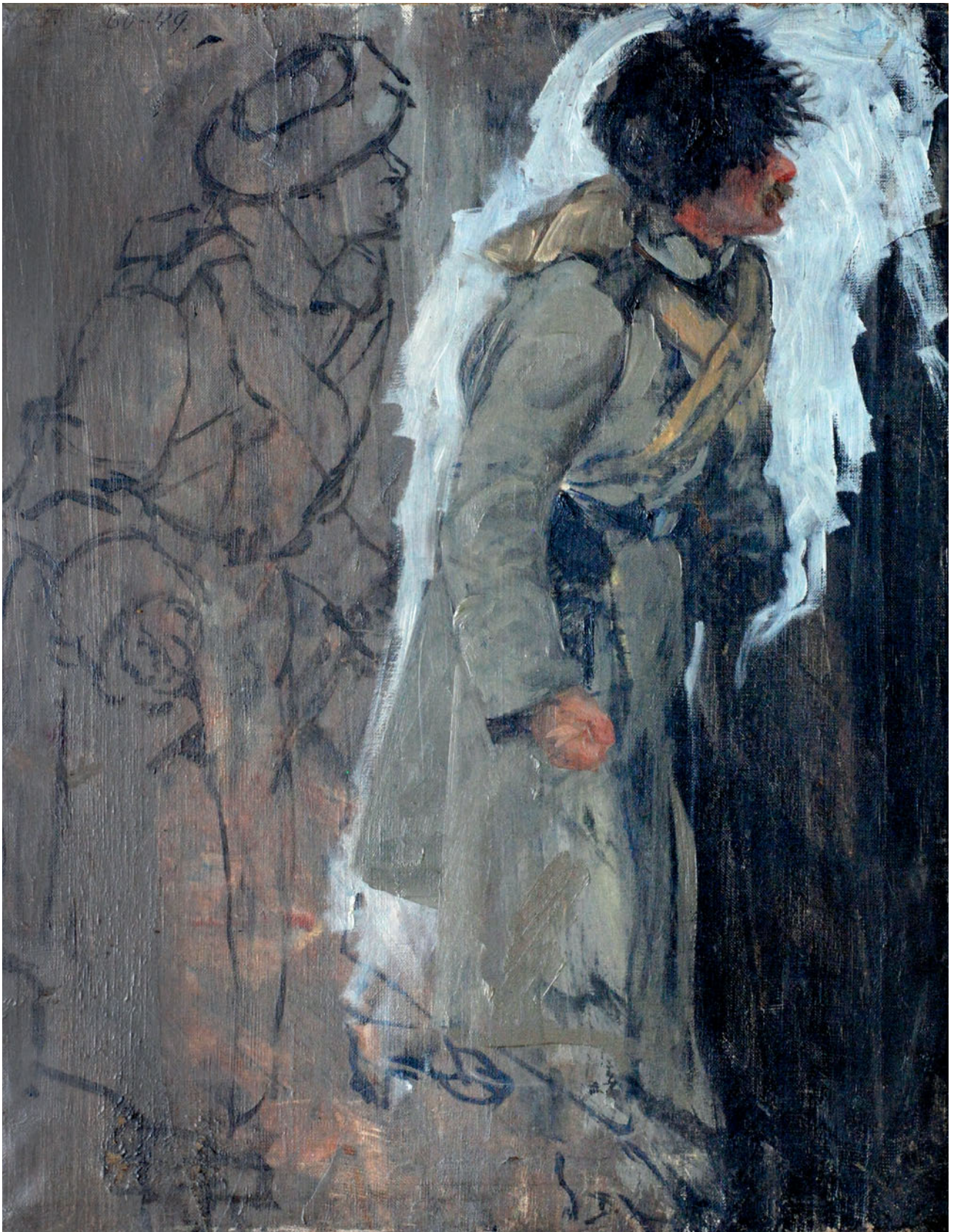
nr inw. M.728





32  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Czerkies i portret Zajczniewskiego*;  
nr inw. M.729





33  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Dwóch kozaków*;  
nr inw. M.696





34

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Trzy kobiety, portret prof. Świdy, żołnierz*;  
nr inw. M.624

Kobieta stojąca tyłem w trochę innej pozycji została umieszczona wśród grupy Polaków po prawej stronie obelisku. Żołnierz znajduje się po jego lewej stronie.





35  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Starzec i zesłaniec*;  
nr inw. M.623

Mężczyzna kryjący twarz w dłoniach znajduje się w głębi obrazu po lewej stronie obelisku.





36

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Mężczyźni, kobieta płacząca i modląca się*;  
nr inw. M.650





37

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Mężczyźni modlący się* (po lewej Jan Frankowski);

nr inw. M.659





38

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Trzy szkice wygnańców, między innymi księdza Kulczyckiego;*

nr inw. M.711





39  
Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Dwóch towarzyszy z katorgi*;  
nr inw. M.714





40

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Trzy studia kobiece, jeden szkic męski, portret Eichmillera;*  
nr inw. M.739

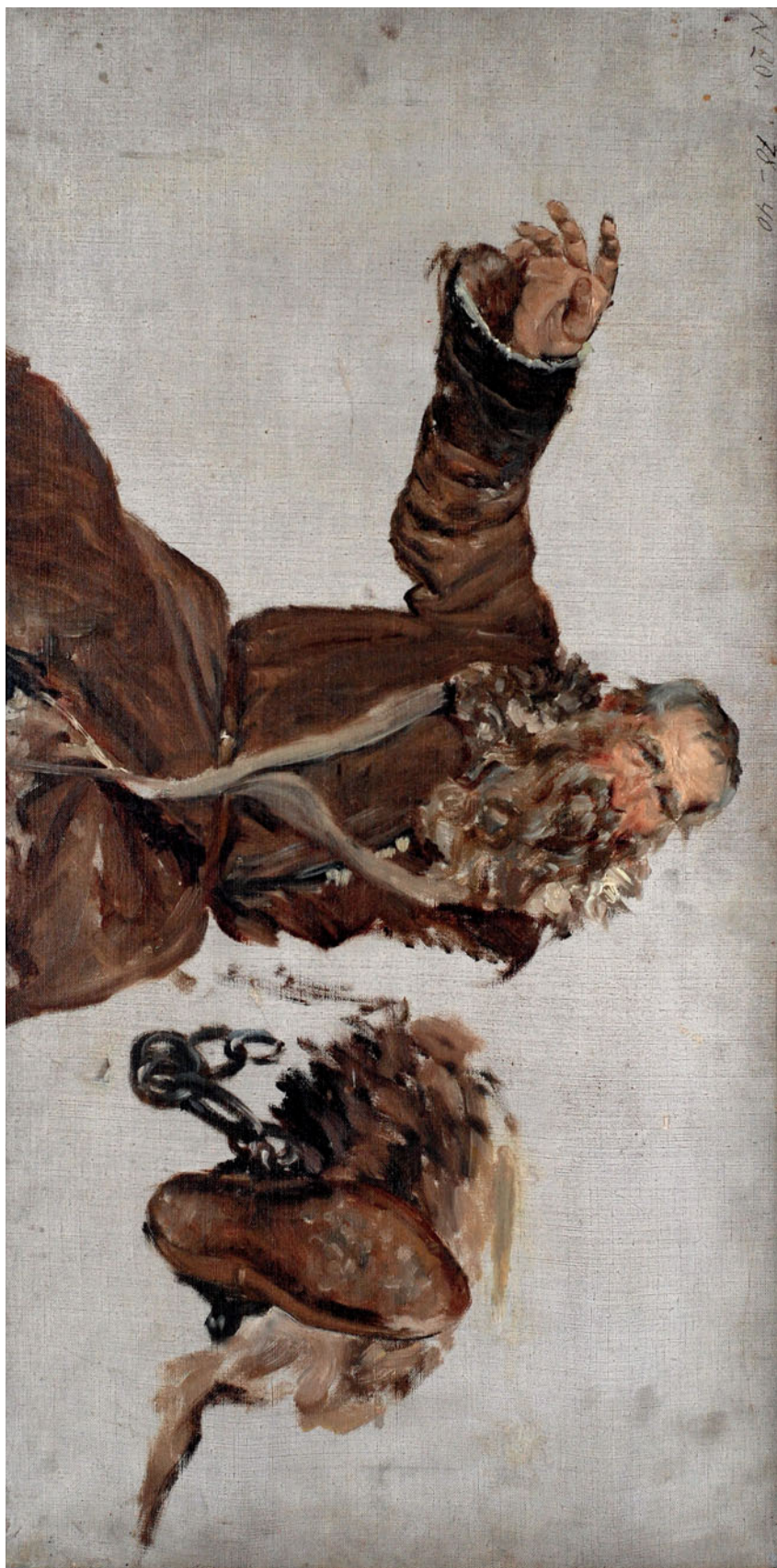


41

Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Szkic kobiety z dwojgiem dzieci;*

nr inw. M.685





42

Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.  
*Studium: sobotnik Prokop z Czerwonej Rusi*;  
nr inw. M.736

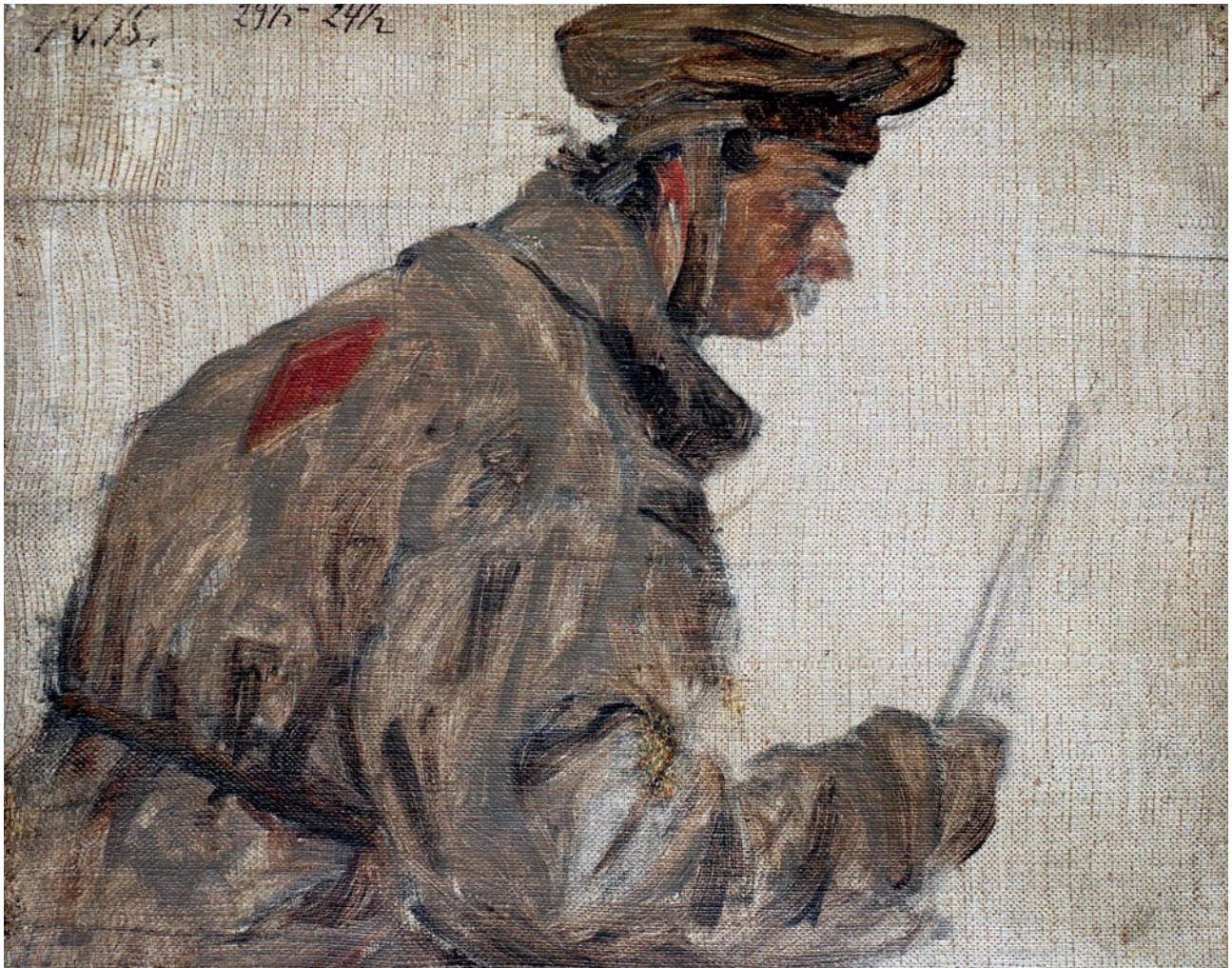


43

Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.*Modląca się kobieta*;

nr inw. M.701

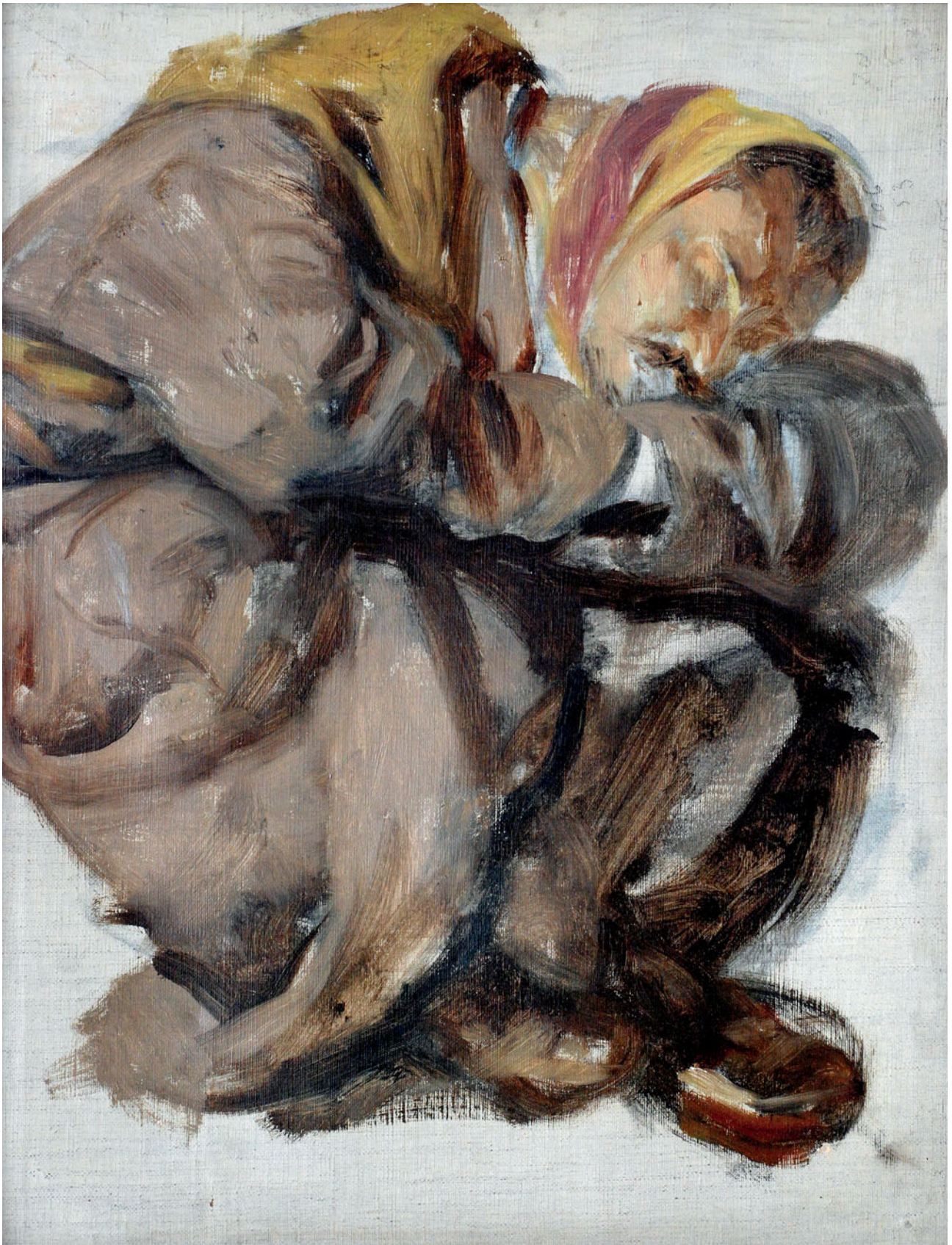




44

*Były obywatel Jamna;*  
nr inw. M.733





45  
*Studium śpiącego skazańca;*  
nr inw. M.690





46

*Typ skazańca śpiącego;*  
nr inw. M.689





47

*Szkic bójki na dziedzińcu więziennym;*  
nr inw. M.702





48

*Gudzińska nad przerebłą (Z życia wygnańców na Sybir);*  
nr inw. M.681





49

Studia do obrazu *Gudzińska nad przerebłą*.

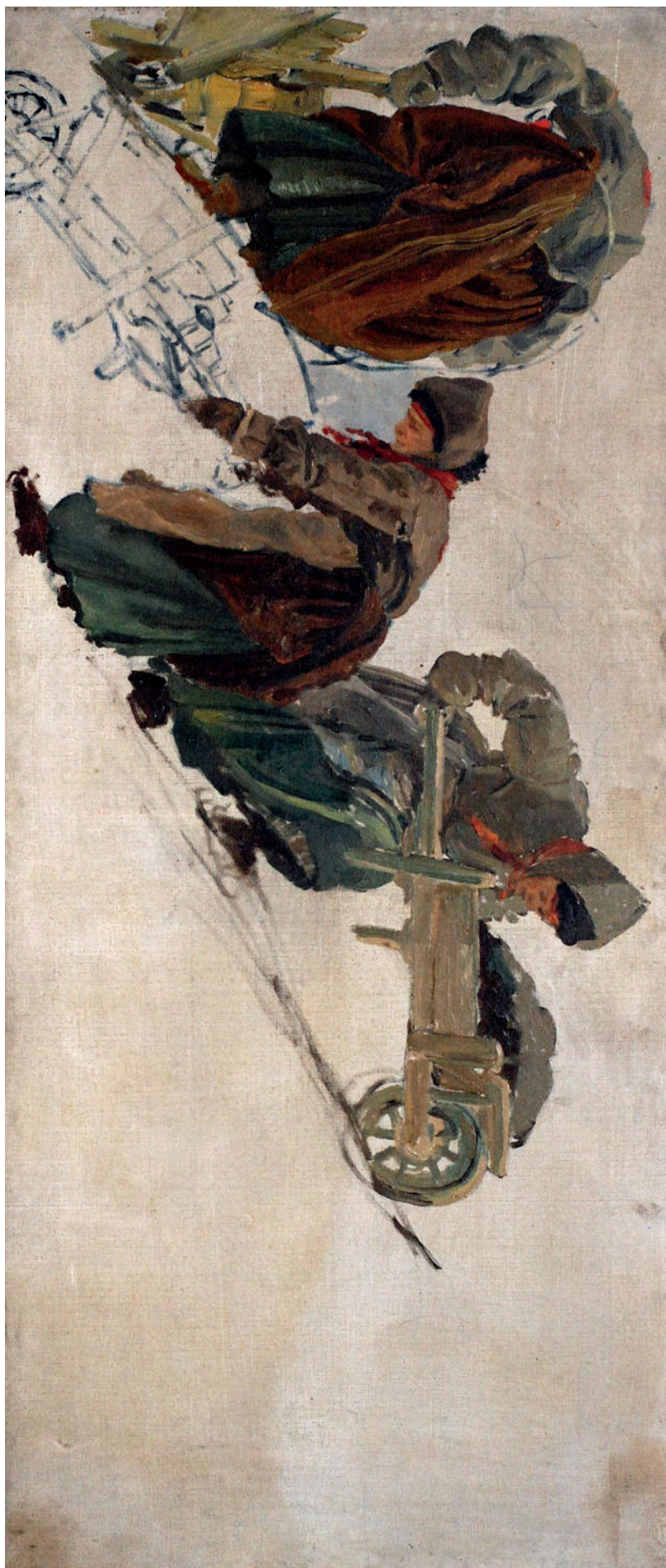
*Pani Gudzińska*;

nr inw. M.697

Pani Gudzińska płucze worki w przyrębli na rzece Angarze. Czerkes Asanka, jej strażnik, widząc, że ona chucha w zziębnięte ręce, zbliża się do niej z dziką miną i nie pozwala jej przerywać pracy.

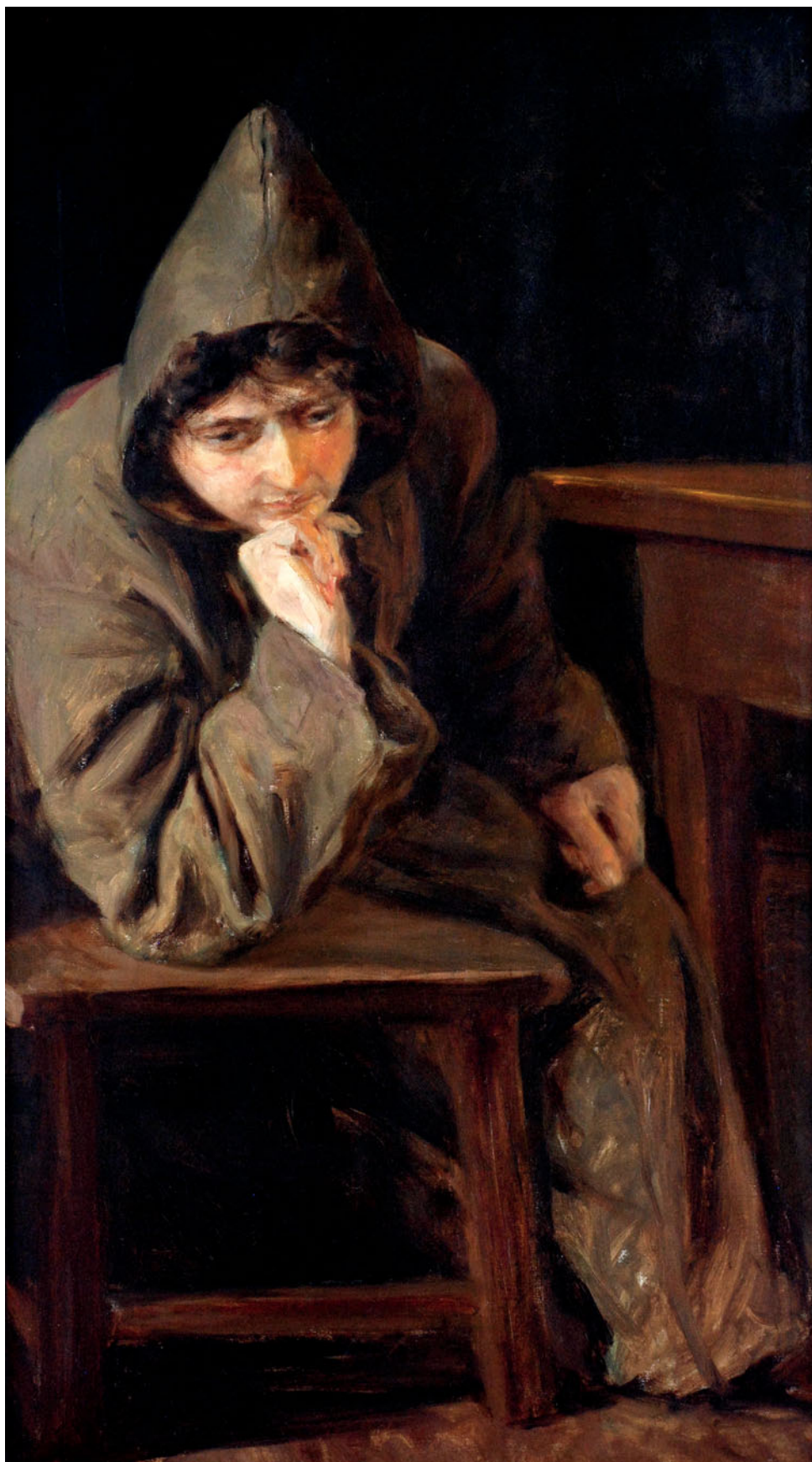
Na drugim planie pospolicie przestępcy, strzeżeni przez dozorców, przewożą wory na saniach.





50  
Szkic do obrazu  
*Gudzińska nad przerebłą.*  
*Trzy kobiety*  
*przy katorżniczych robotach;*  
nr inw. M.647





51  
*Gudzińska w więzieniu;*  
nr inw. M.737



52  
*Śmierć Gudzińskiej;*  
nr inw. M.638





53  
Szkic do obrazu *Śmierć Gudzińskiej*.  
*Portret kobiety*;  
nr inw. M.710



54

*Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni;*  
nr inw. M.677





55

Studium do obrazu *Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni.*  
*Studium trzech towarzyszy udających się do katorżniczej roboty;*  
nr inw. M.664

Oto poranek wiosenny!... Syberya o tej porze jest jeszcze często śniegami pokryta. Skazanych, z narzędziami w rękę, prowadzą ku domowi po drugiej stronie rzeki, wpadającej do Angary. Tam czeka ich ciężka praca. Pomiędzy żołnierzami eskorty, pierwszy, także skazaniec, jest dla nich wyjątkowo względny. Skazaniec polityczny, postępujący za nim, Kalinowski, inżynier, odzyskawszy wolność, został księdzem. Żyje dotychczas w jednym z klasztorów galicyjskich jako opat.

Ten za nim, to Hamelski, redaktor dziennika w Warszawie. Nie zobaczył on już nigdy swej ojczyzny, gdyż spoczął w mogile na wygnaniu.

Dalej Jakób Giejsztor, o którym jest mowa w broszurce, i starzec Ilnicki, zmarły również na wygnaniu. Był on podejrzany o to, że jako urzędnik Banku Polskiego dostarczył z niego funduszy na poparcie powstania. Wdowa po nim jest znaną poetką.





56

Studium do obrazu *Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni.*  
Szkic współtowarzysza z katorgi Jakuba Gieysztora;  
nr inw. M.667





57  
*Wieczór. Zakuwanie w kajdany;*  
nr inw. M.625



58

Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany*.

*Dwa studia ubrań skazańców;*

nr inw. M.713

Jest to studium ubrania Peszyńskiego.

Wielki śnieg, który na Syberyi pada niekiedy jeszcze na wiosnę, nie pozwala chodzić w kajdanach. To też co rano skazańcom, opuszczającym więzienie, zdejmują je a zakładają im napowrót wieczorem po powrocie z pracy w kopalni.

Przedstawiłem siebie na tym obrazie.

Starzec, to Peszyński; nosi łańcuch, jak wszyscy skazani, przywiązany do pasa zapomocą rzemienia, bo w ten sposób podczas chodu nie doznaje tak wielkiego bólu od ciężaru i ruchu kajdan. Na drugim planie hrabia Bniński.





59

Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany*.

*Studium Peszyńskiego.*

Studium do obrazu *Pożegnanie Europy*.

*Studium nóg Jana Frankowskiego.*

nr inw. M.673





60

Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany.**Kowal;*

nr inw. M.656



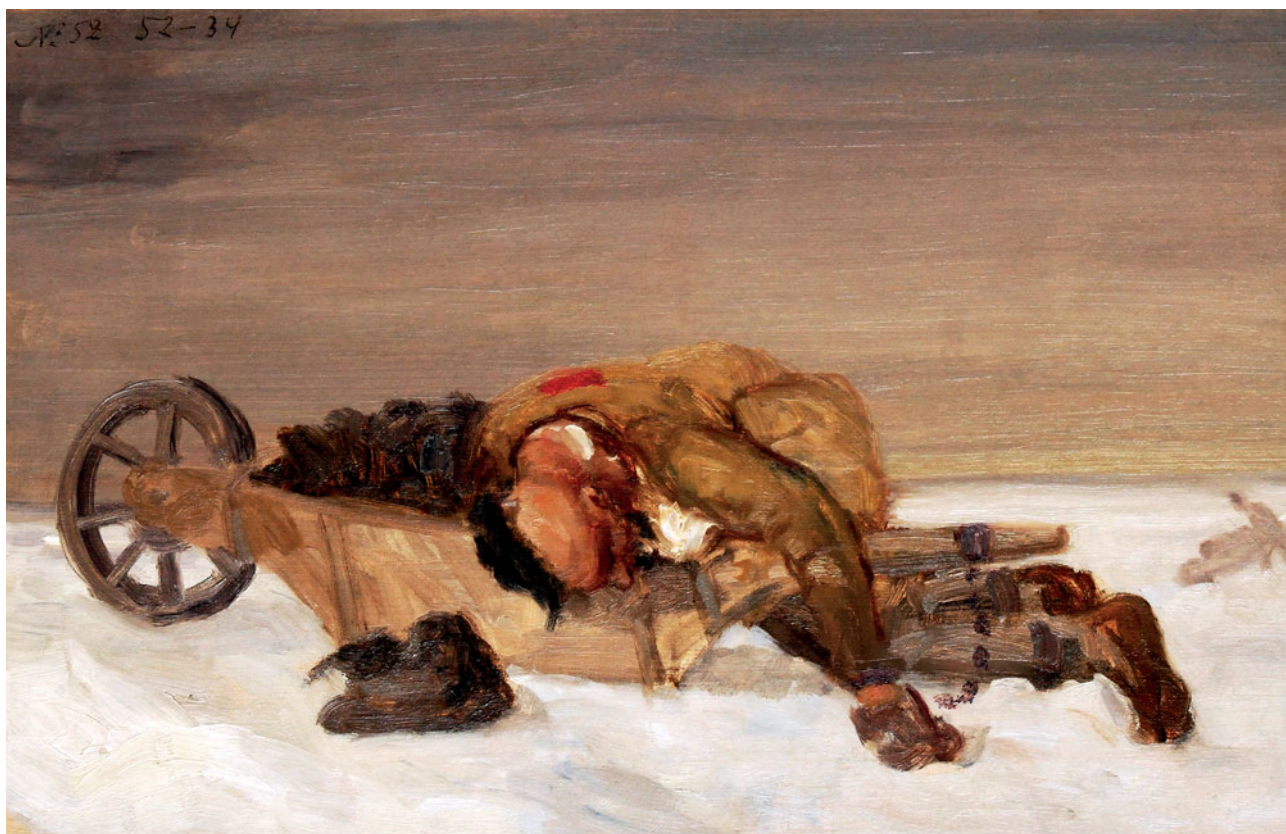


61  
Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany.*  
*Dwa szkice głowy starca;*  
nr inw. M.672



62  
*Śmierć na taczce;*  
nr inw. M.679





63  
*Ostatnie taczki Cajżyka;*  
nr inw. M.622





64

*Odoczynek na taczkach;*  
nr inw. M.641





65  
*Pożegnanie na zawsze;*  
nr. inw. M.725





66

*Grupa zesańców;*  
nr inw. M.643





67  
*Głębocki z synem;*  
nr inw. M.716





68

*Rodzina zesańców;*  
nr inw. M.717





69

*Na etapie;*

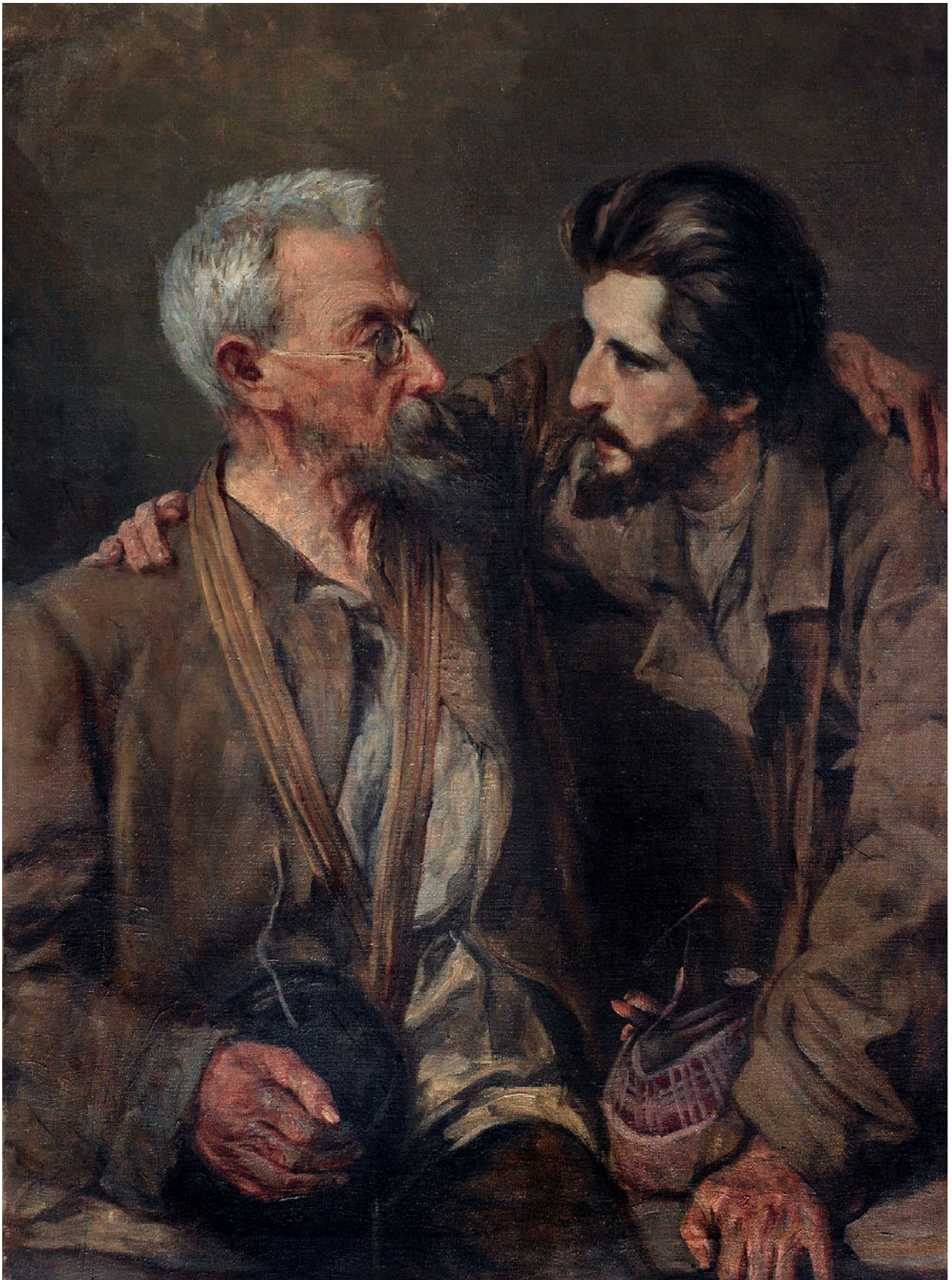
nr. inw. M.675





70  
*Podpora starca;*  
nr inw. M.633





71  
*Dwa pokolenia;*  
nr inw. M.640





72

*Studium dwóch kobiet;*  
nr inw. M.708





73  
*Scena z życia wygnańców;*  
nr inw. M.632

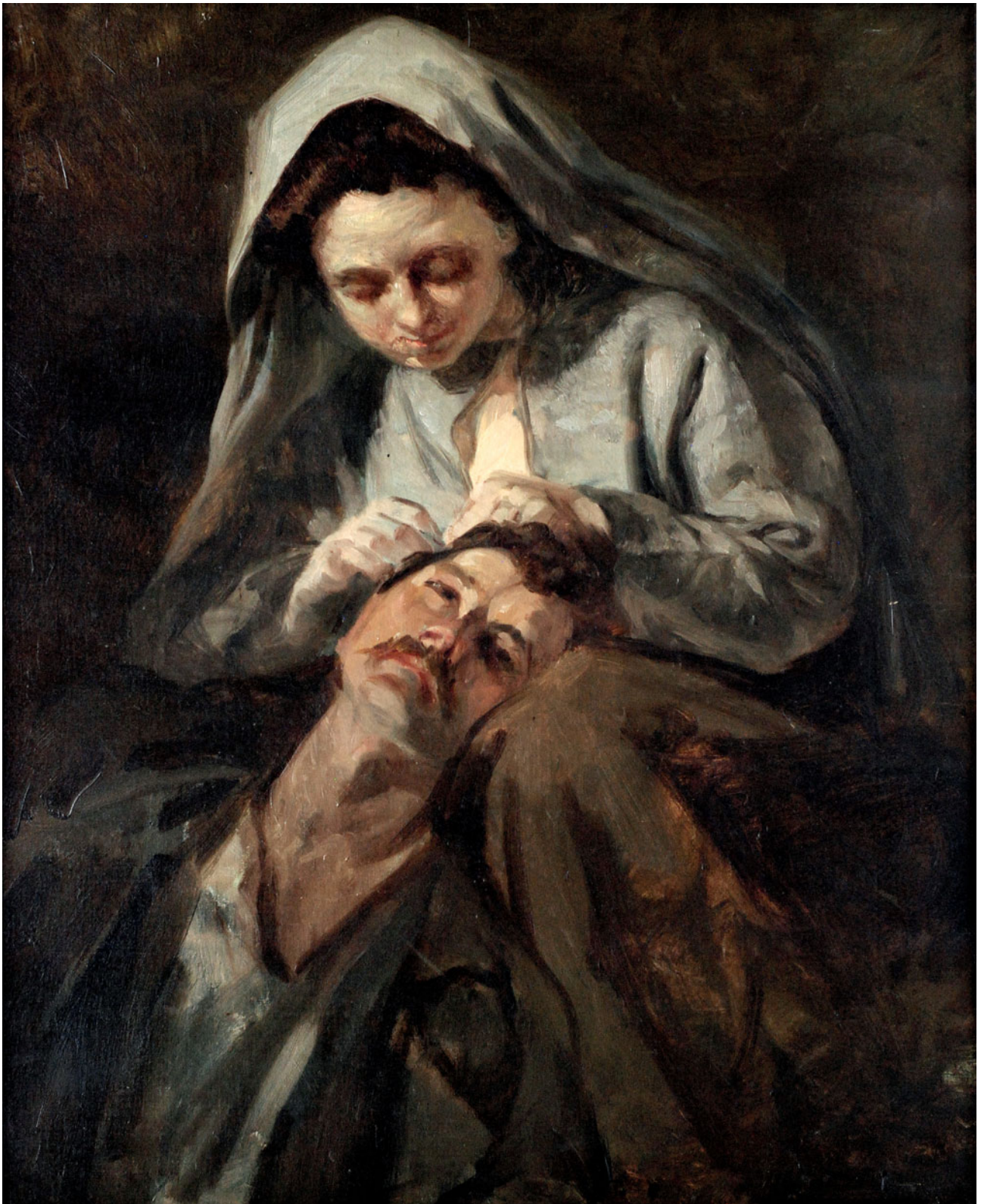




74

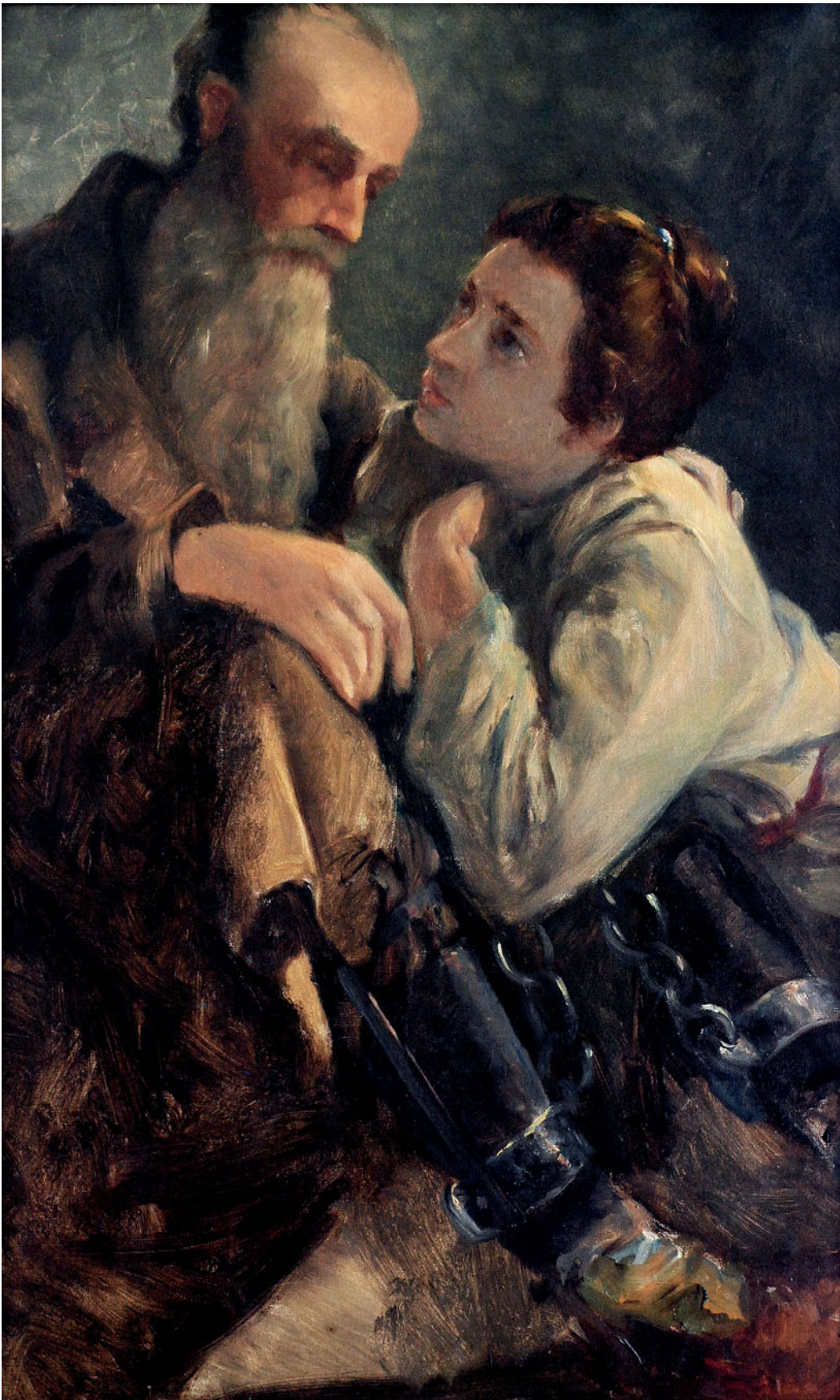
*Para młodych skazańców;*  
nr inw. M.738





75  
*Smutna konieczność;*  
nr inw. M.723





76  
*Katorżnik z córką;*  
nr inw. M.726





77  
*Studium „Ach jak mi smutno”;*  
nr inw. M.715





78

*List z kraju;*  
nr inw. M.645

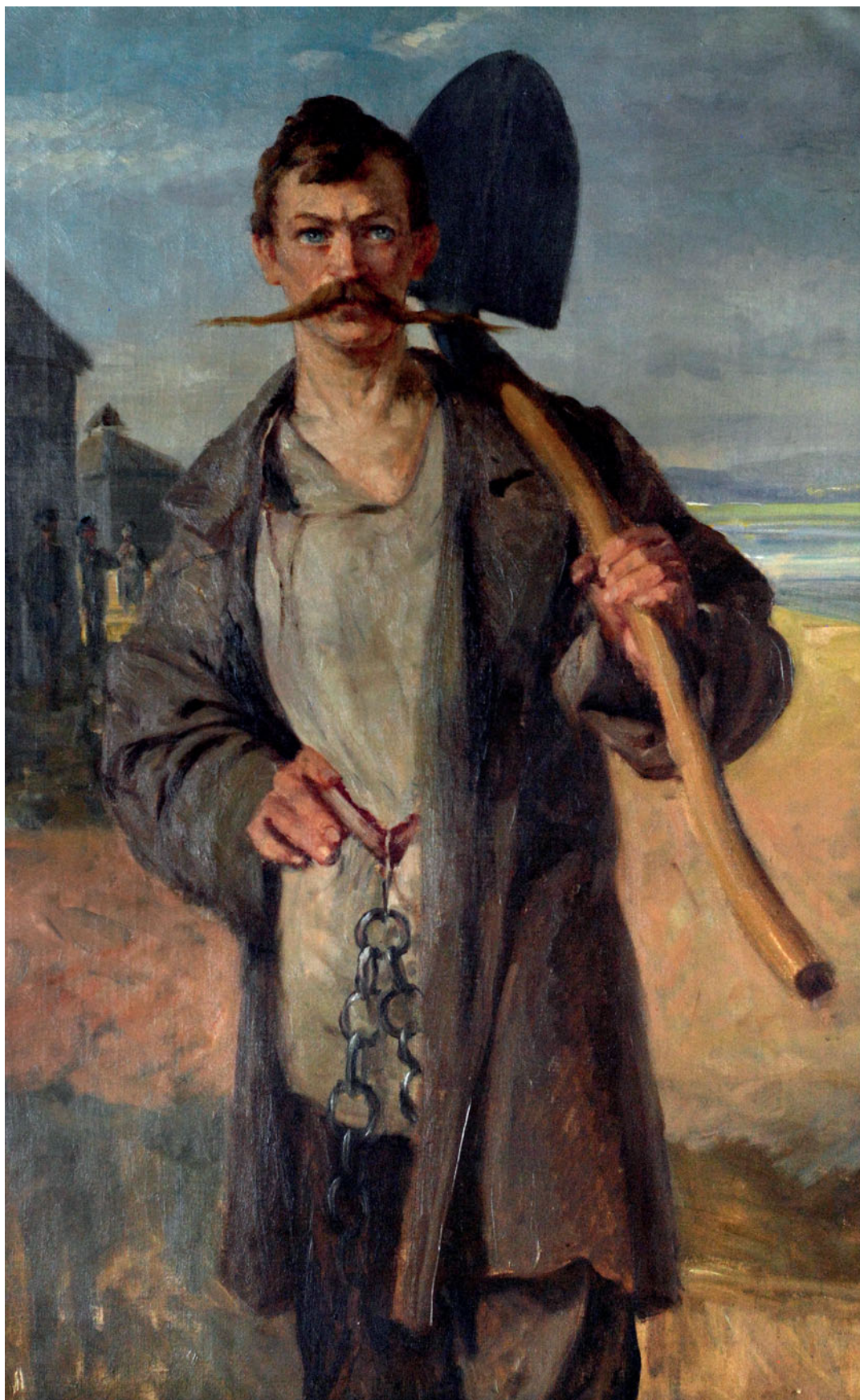




79

*List z kraju;*  
nr inw. M.642





80

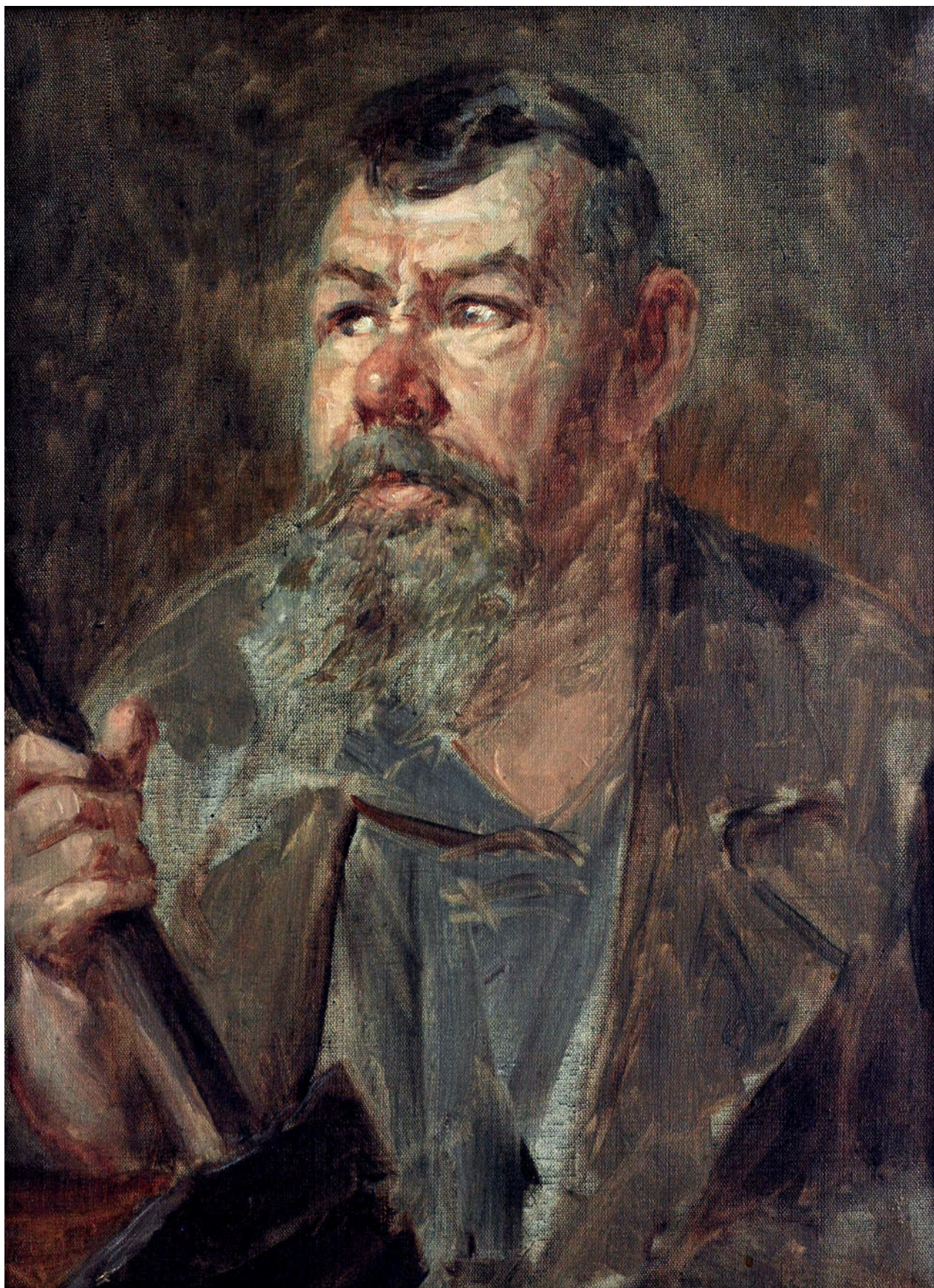
*Portret katorżnika;*  
nr inw. M.634





81  
*Starzec w kajdanach;*  
nr inw. M.639





82

*Kowal z młotem do zakuwania kajdan;*  
nr inw. M.648





83

Studium do zaginionego obrazu *Śmierć dr Maya*.*Ksiądz w katordze;*

nr inw. M.653

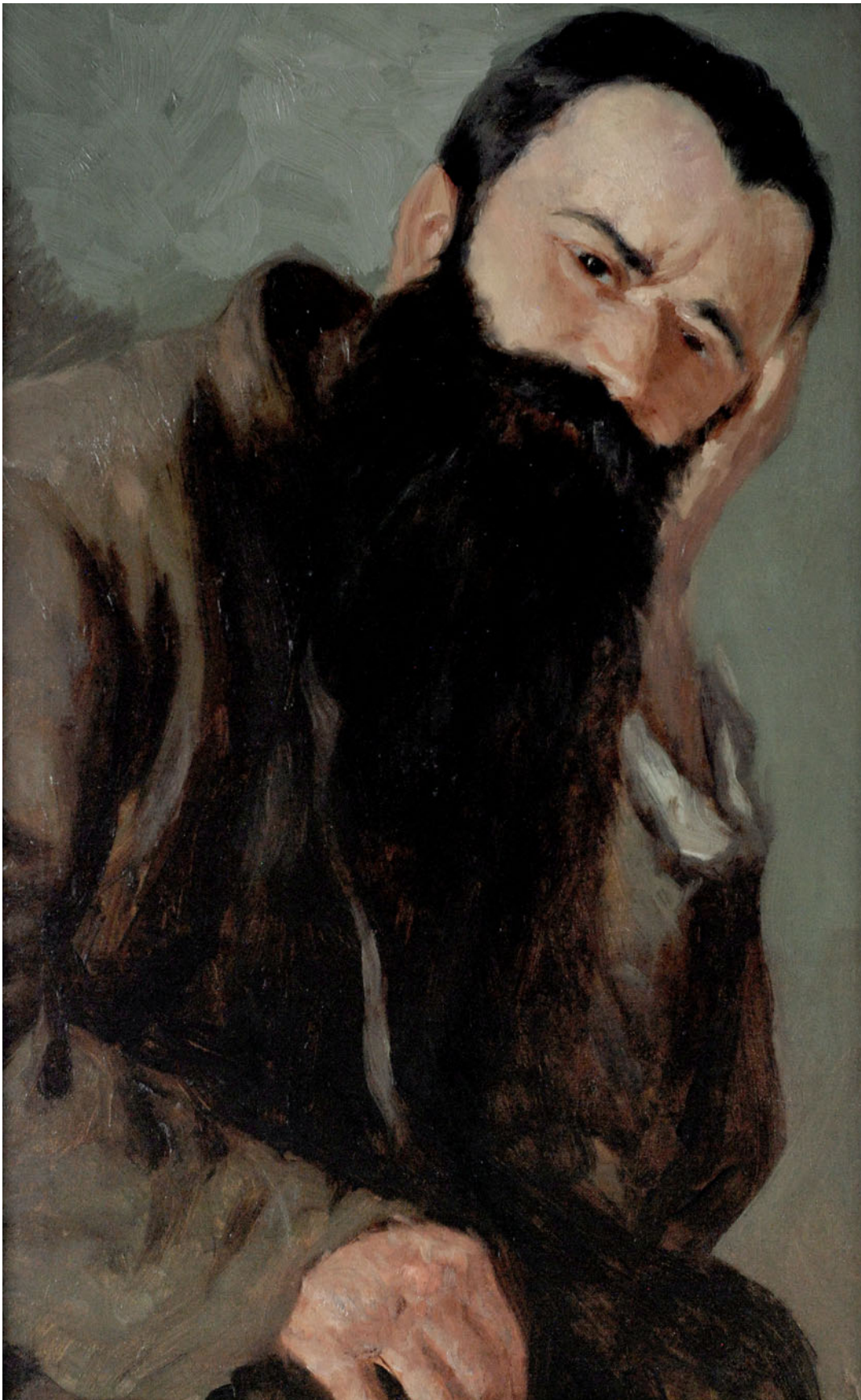




84

*Studium księdza w katordze;*  
nr inw. M.709





85  
*Ksiądz Kamiński;*  
nr inw. M.691





86

*Portret starej kobiety (Rusinki);*  
nr inw. M.700





87  
*Skazaniec;*  
nr inw. M.674





88

*Studium Karola Nowakowskiego;*  
nr inw. M.665





89  
*Skazaniec;*  
nr inw. M.718





90

*Portret starca;*  
nr inw. M.703





91  
*Portret katorżnika;*  
nr inw. M.706



92

*Portret starca;*  
nr inw. M.626





93

*Skazana na szubienicę / Studium kobiety z dzbanem;*  
nr inw. M.678

Prawdopodobnie portret Anny Gudzińskiej.





94

*Portret młodej wygnanki;*  
nr inw. M.649





95  
*Portret wygnanki;*  
nr inw. M.693





96

*Studium młodej dziewczyny / Portret młodej wygnanki;*  
nr inw. M.654





97

*Portret zesłanki;*  
nr inw. M.670

Prawdopodobnie portret Heleny Kirkorowej.





98

Portret zesłanki Heleny Kirkorowej;  
nr inw. M.592

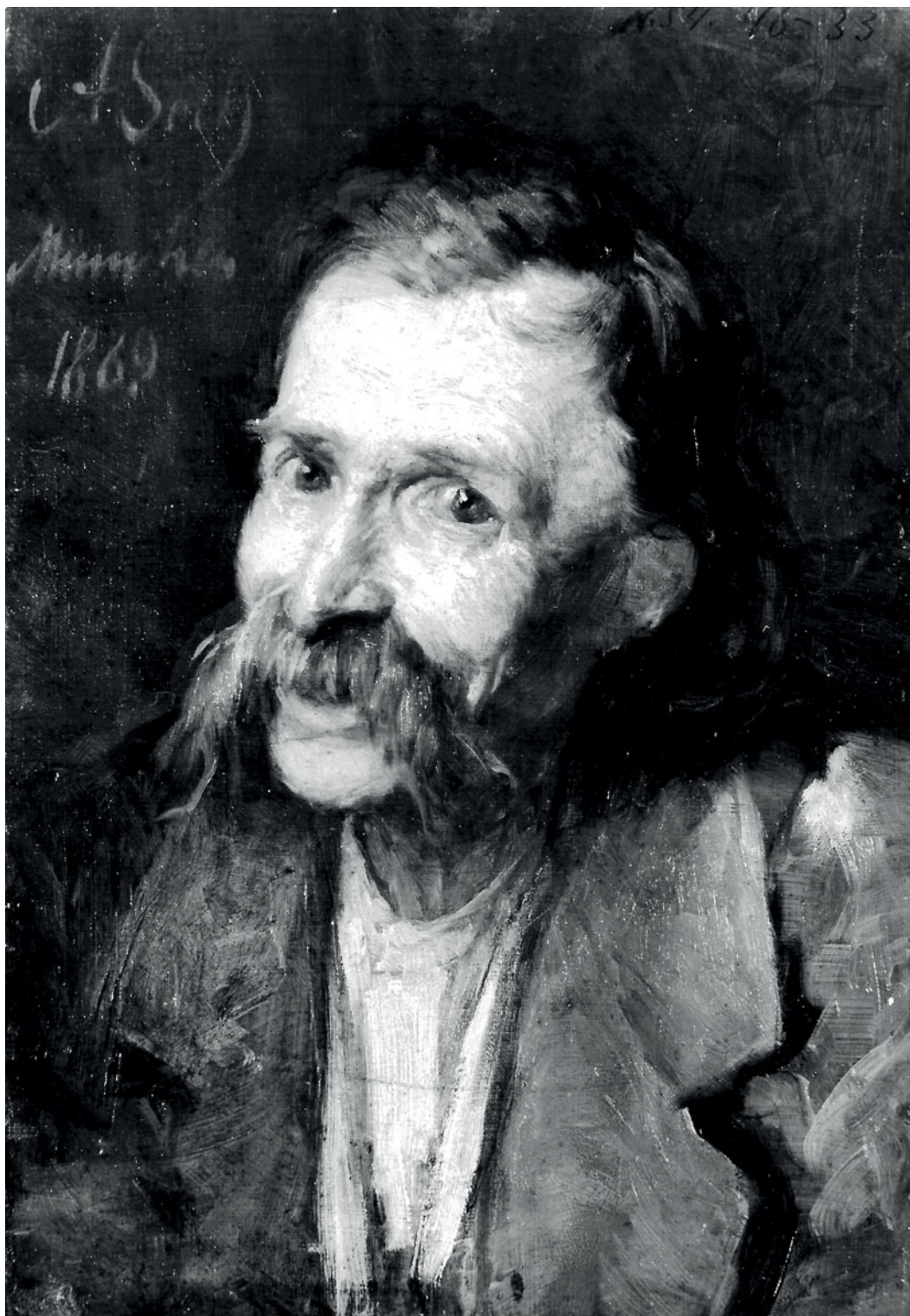




99

*Portret zesłańca;*  
nr inw. M.850





100

*Opowiadanie wesolej historyjki;*  
nr inw. DepS.40

Jedyny obraz przedstawiający postać, która się uśmiecha.

Obiekt skradziony z ekspozycji w Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej 13 stycznia 1998 roku.





101  
*Portret starca;*  
nr inw. M.744





102

*Studium: Jaga Baba;*  
nr inw. M.662





103

*Studium staruszki modlącej się;*

nr inw. M.669





104

*Portret kobiety;*  
nr inw. M.732





105

*Skazaniec wsparty na ręce;*  
nr inw. M.695





106

*Portret skazańca;*  
nr inw. M.692





107  
*Skazaniec;*  
nr inw. M.705

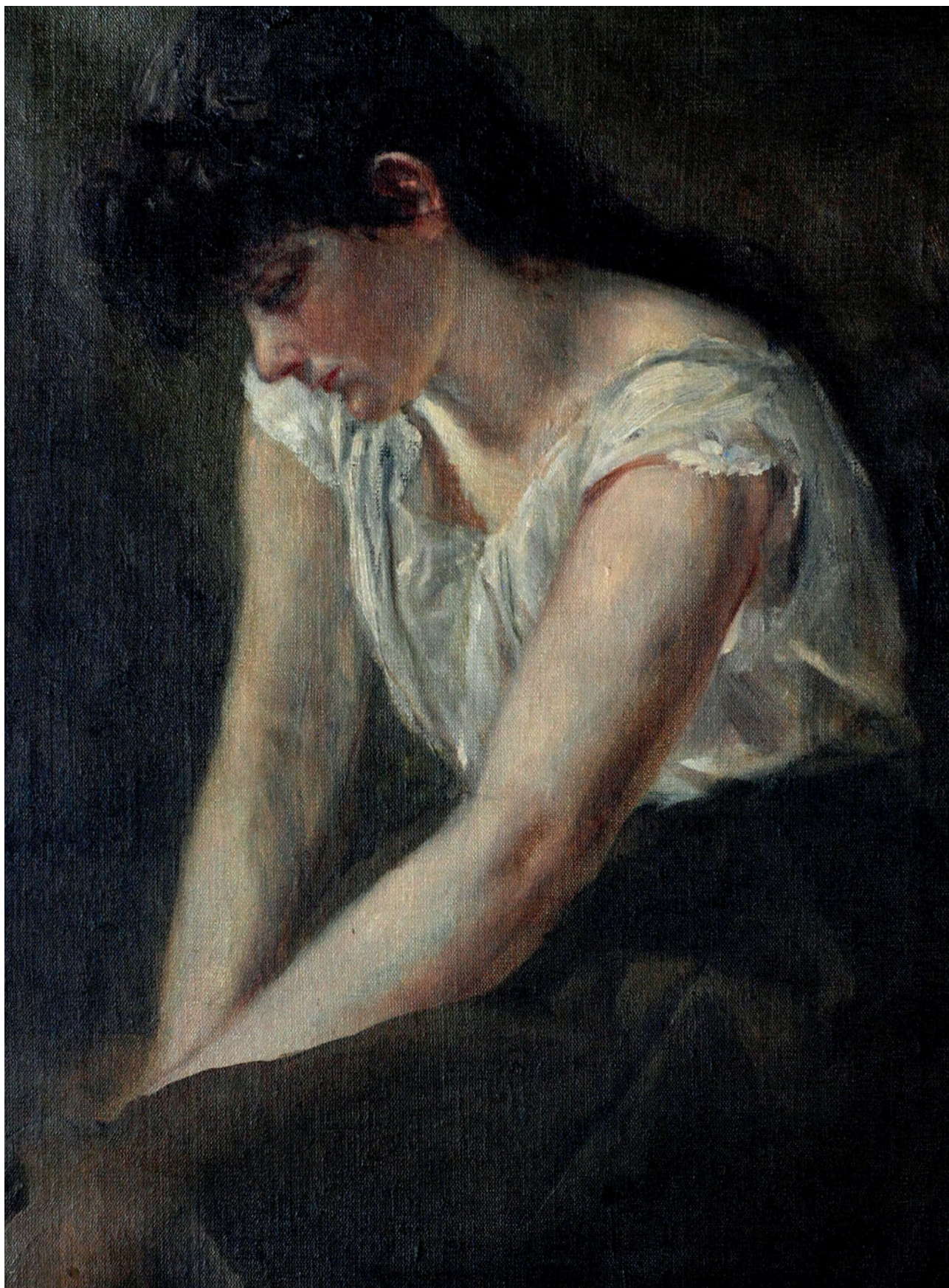




108

*Portret starca;*  
nr inw. M.704





109

*Portret młodej kobiety;*  
nr inw. M.707





110

*Odpoczynek uciekinierów;*  
nr inw. M.627

Skazani za zwykle przestępstwa nie są strzeżeni tak bardzo w zimie, gdyż ostra pora roku przeszkadza im w ucieczce, i ktoby się odważył oddalić od miejsc zamieszkałych, zginie niechybnie wśród śniegów. Lecz gdy nastanie pora łagodniejsza, a straż nie jest czujną, wielu skazanych zdoła uciec. Przedstawiłem dwoje takich uciekających: mężczyznę złamanego trudami, wyczerpanego, bez odwagi i kobietę, której dodaje sił miłość macierzyńska i każe jej mimo wszelkich przeszkód ocalić maleństwo, które jeszcze żyje, ale które mroźna zawierucha zabierze jej na zawsze!





111

*Wśród śnieżnej zamięci;*

nr inw. M.637

Ojciec i dziecko przetrzymali zimno – matka umarła – mąż jej, odłamał kawałek od swego kija, zrobił z niego krzyż i zatknął w zdrętwiałe jej ręce. Sam zabrał dziecko, tuląc je dla ogrzania, do swej twarzy i idzie dalej – niedaleko zajdą, albowiem śnieżna zawieja nie ustaje – i za kilka chwil los ich się rozstrzygnie.



112

*Ucieczka więźniów. Ofiary kruków;*  
nr inw. M.628





113  
*Żer kruków;*  
nr inw. M.719



114

*Brodiaga;*

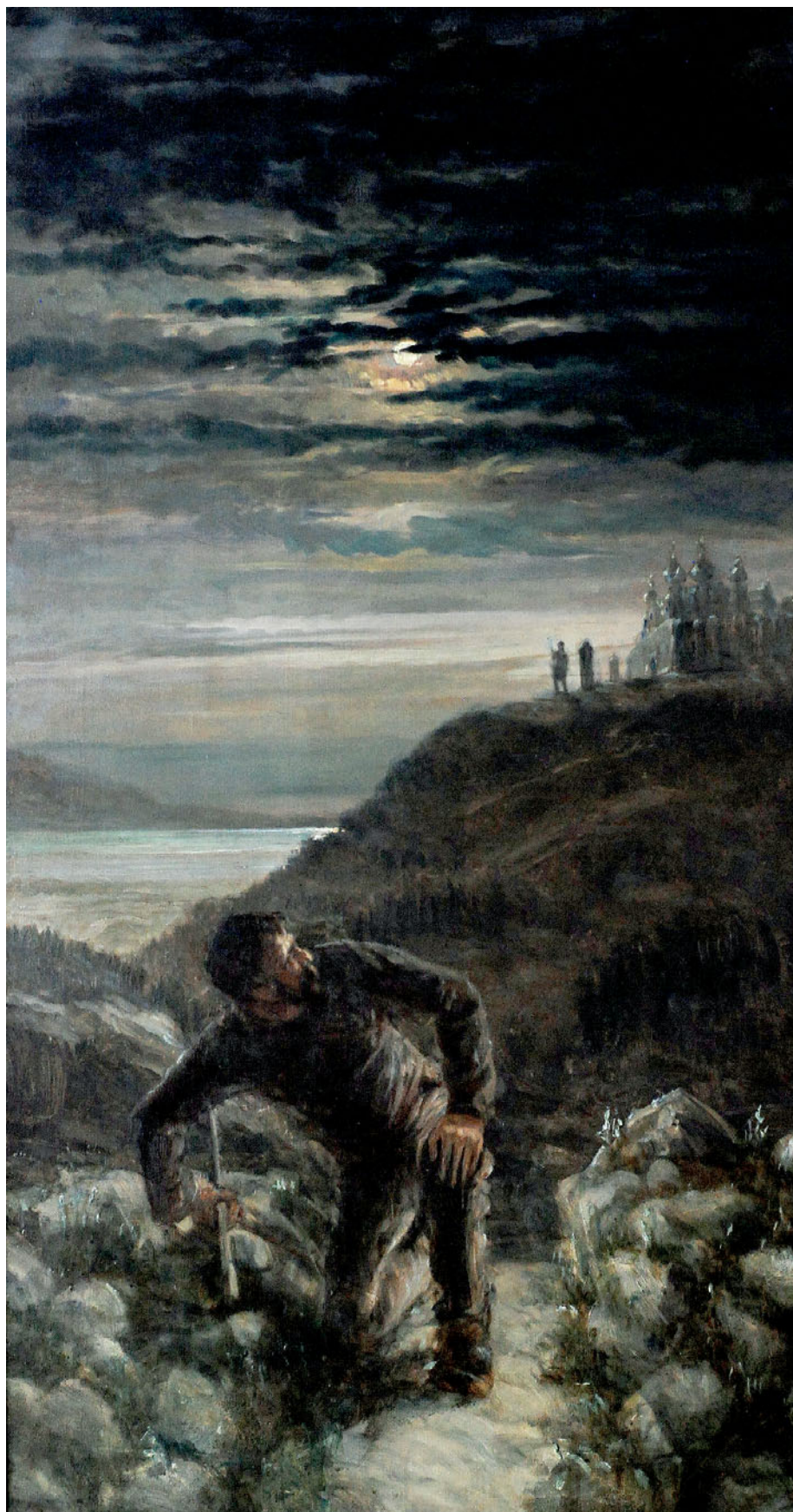
nr inw. M.720





115  
*Studium dwóch postaci;*  
nr inw. M.721





116

*Uciezka. Osaczona ofiara;*  
nr inw. M.657





117  
*Wśród śnieżnej pustyni;*  
nr inw. M.629





118

*Na Sybir;*

nr inw. M.630





119

*Wśród burzy. Na etapie w czasie śnieżycy;*  
nr inw. M.660





120

Scena z życia wygnańców;  
nr inw. M.682





121  
*Kara stupa;*  
nr inw. M.631





122

*Kara chłosty;*  
nr inw. M.636





123

*Po zakończeniu kary chłosty;*

Nr inw. M.743





124

*Kara chłosty;*  
nr inw. M.722





125  
*Więźniowie przy pracy;*  
nr inw. M.683





126

*Scena więzienna;*  
nr inw. M.684

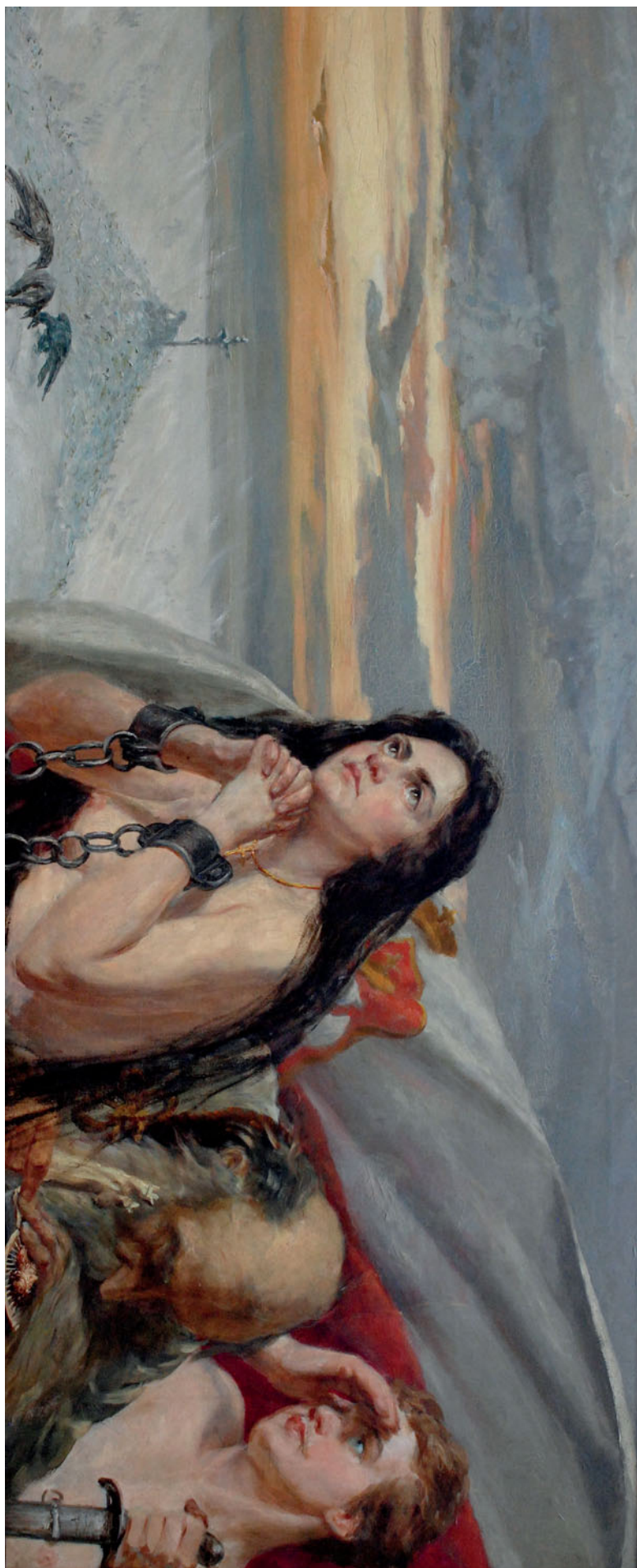




127

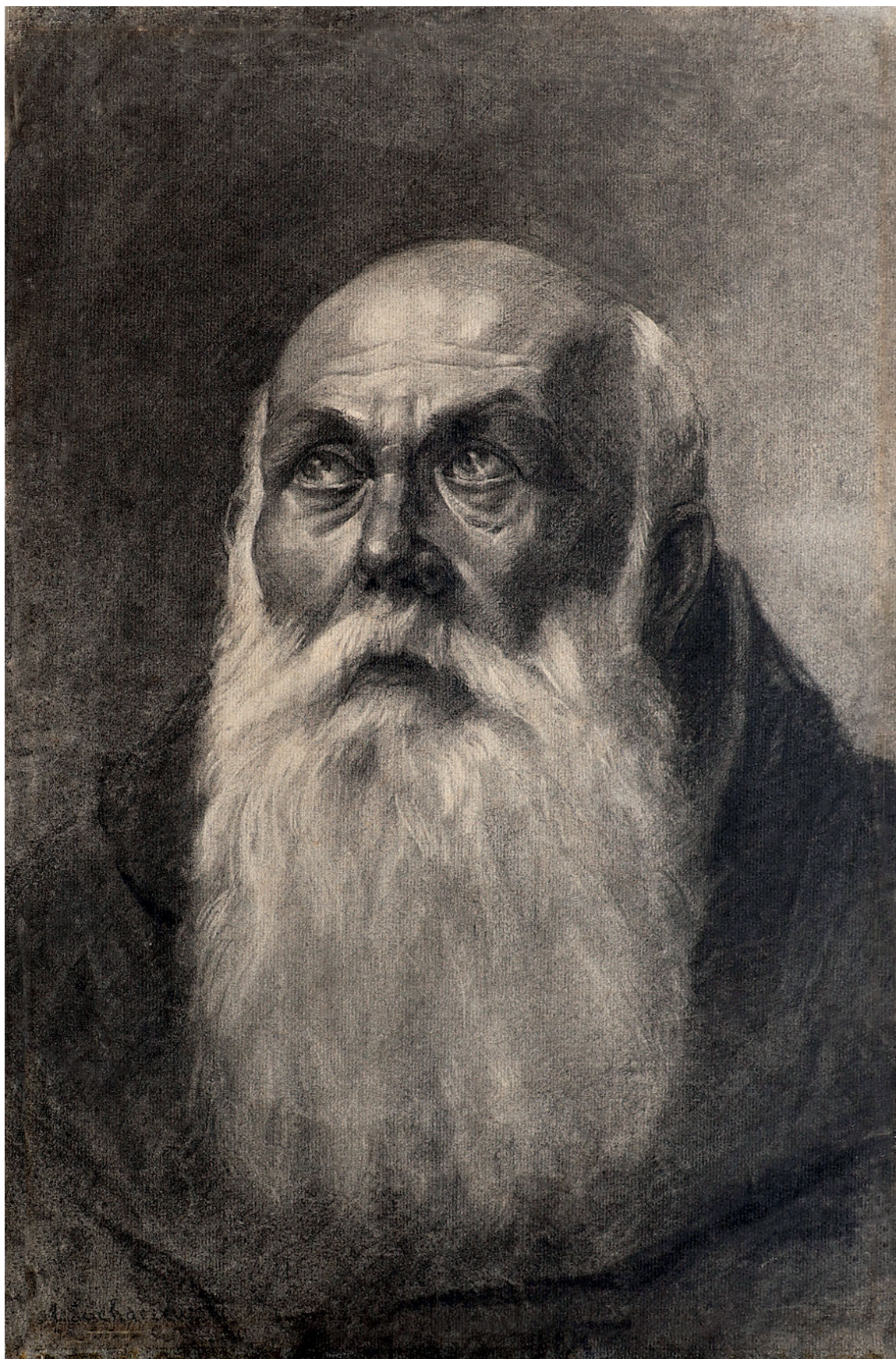
Scena więzienna: spisany ze stanu żywych;  
nr inw. M.635





128  
*Apoteoza Polski  
zakuwanej w kajdany;*  
nr inw. M.676





129

*Głowa starego mężczyzny;*  
nr inw. Gr.3496





130

Szkice głów wygnańców;  
nr inw. Gr.3552

Szkic kompozycyjny obrazu *Pożegnanie Europy* prawdopodobnie przygotowany już na wystawę w Londynie w 1895 r. Na pewno był na wystawie w Brukseli w 1897 r. Rysunki ponumerowanych głów, a po lewej legenda, czyli spis nazwisk sportretowanych postaci;

- |                          |                      |
|--------------------------|----------------------|
| 1. Eichmiller            | 16. Yoppe-Bej        |
| 2. Michał Wielhorski     | 17. Karol Nowakowski |
| 3. Mieczysław Wielhorski | 18. Szukszta         |
| 4. Sochaczewski          | 19. Hoffmeister      |
| 5. Szaszkow              | 20. Kayssak Książę   |
| 6. Roman Bniński         | 21. Peszyński        |
| 7. Czetwertyński         | 22. Trzaskowski      |
| 8. Kędrzycki             | 23. Migurski         |
| 9. Łoziński              | 24. Łagowski         |
| 10. Czernyszewski        | 25. Bnińska          |
| 11. Aleks Oskierko       | 26. Łozińska         |
| 12. Szczapow             | 27. Łagowska         |
| 13. Jakub Gieysztor      | 28. Czekanowski      |
| 14. Zienkiewicz          | 29. Jan Frankowski   |
| 15. Zajczniewski         | 30. Gudzińska        |



## **BOHATEROWIE *Pożegnania Europy***

Patetyczny i emocjonalny opis tych postaci autorstwa Aleksandra Sochaczewskiego pochodzi z wydanej w 1897 roku w Brukseli broszury pt. *Figures d'exilés politiques: extra-ites du tableau d'Alexandre Sochaczewski : les exilés à la frontière de Sibérie*. Numery przy nazwiskach odpowiadają numerom głów na szkicu. Umieszczone pod opisami niektórych postaci krótkie notki uzupełniające zostały stworzone na podstawie różnych źródeł.







### PANI GUDZIŃSKA (30)

Na rozkaz komitetu rewolucyjnego zdrajca sprawy polskiej został pchnięty nożem w biały dzień, przed domem Gudzińskich w Warszawie, pod nieobecność właścicieli.

W związku z tą zbrodnią, popełnioną przez nieznaną osobę, pani Gudzińska została aresztowana i odebrana dzieciom. Żadne zeznania, żaden dowód nie potwierdzają, że była współwinna zabójstwa; ale sąd wojenny nie poprzestał na tym szczególe: przed domem Polki popełniono przestępstwo, Polka została skazana na śmierć. Ten wyrok został jednak zamieniony na piętnaście lat katorgi w kopalniach wschodniej Syberii.

Pani Gudzińska poniosła męczeńską śmierć za ojczyznę. Tak trzeba to nazwać.

Jej przykład wielokrotnie przywracał siłę mężczyznom, którzy nie odważyli się okazać słabości w obliczu tej kobiety tak odważnie znoszącej swój straszny los.

Który mężczyzna ośmieliłby się narzekać, skoro z ust tej kobiety ani razu nie wydobył się jęk?

Komendant zaproponował jej przysługę: porzucenie pracy przymusowej i zostanie służącą. Stanowczo odrzuciwszy tę propozycję, została poddana najcięższym zadaniom, zarezerwowanym dla najbardziej zatwardziałych przestępców. Musiała pracować w wodach Angary, pokrytych rozbijaną przez skazańców grubą warstwą lodu.

Źle odżywiona, źle ubrana, narażona na trudy strasznego syberyjskiego klimatu, zachorowała. Zabrana do szpitala dla skazańców, wkrótce zmarła w kwiecie wieku, zachowując do ostatniego tchnienia swą szlachetną stałość i wielką stanowczość.

### Anna Gudzińska (1841–1866)

Urodzona w Warszawie była właścicielką piwiarni na Starym Mieście. Za pomoc w ujęciu rosyjskiego szpiega i danie schronienia emisariuszowi Rządu Narodowego we własnym domu, aresztowana i osadzona w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. W listopadzie zesłana na dożywotnią katorgę do Usolu. Zmarła na zapalenie płuc 12 kwietnia 1866 r. Pochowana na cmentarzu w Usolu. Była to pierwsza śmierć naturalna w Usolu po Powstaniu Styczniowym.

### MIGURSKI (23)

Oryginalna postać, jeśli kiedykolwiek taka istniała.

Wykonywał zawód okulisty i zyskał reputację dzięki swoim umiejętnościom w różnych dziedzinach medycyny i chirurgii.

Jego twarz, wysoką i przystojną, otaczała hebanowa czarna broda; w dużych niebieskich oczach odbijała się dobroć, a piśczętliwy i delikatny głos zmiękczyłby najokrutniejszego tyrana. Aby tak szlachetny człowiek mógł zaciągnąć się do rebeliantów, w naszym nieszczęsnym kraju musiały być mocno odczuwalne niesprawiedliwości i ucisk!

Nie przywiązywał wagi do form i konwenansów społecznych.



Miał wielkie i szlachetne pomysły, a co jeszcze piękniejsze, rygorystycznie je realizował. Nic nie należało do niego; rozdał wszystko, co było w jego domu; każdy mógł pójść do Migurskiego, niezależnie od tego, czy był obecny, czy nie, i bez pytania o pozwolenie zabrać z szafy jego najlepszą parę butów czy najnowszą koszulę.

Jego życie było poświęcone łagodzeniu ludzkiego cierpienia, a jakakolwiek myśl o zysku wydawała mu się odrażająca.

Migurski w drodze na Syberię szybko zdał sobie sprawę ze stopnia tyranii i korupcji rosyjskich pracowników, dlatego mówił o nich tylko niechętnie i z obrzydzeniem. Jednakże, gdy tylko jeden z tych najemników poprosił o jego usługi, obdarzył go taką samą troską, jaką obdarzyłby własnego ojca. A kiedy wyleczył jednego z nich:

„Kolejny barbarzyńca, którego uratowałem dla Rosji!” – powiedział po prostu.

Według Migurskiego imperium nie mogło stać się uczciwe, gdyż jak twierdził – a nie wahał się powiedzieć tego z charakterystyczną dla siebie prostotą – przed Rosjanami, że najlepiej wykształceni Moskale mieli tylko bardzo cienką warstwę, którą wystarczyło trochę podrapać, aby odsłonić szorstkiego i okrutnego barbarzyńcę.

Jego nieskończona dobroć była tak dobrze znana, że wszyscy, niezależnie od rasy czy religii, nawet ci, których najbardziej krytykował, szanowali go i kochali; nikt nie myślał o obrażaniu się na jego obelgi. Nawet najbardziej maltretowani, zarzucając mu „oryginalność”, nie mniej go kochali.

Nigdy nie widzieliśmy go wściekłego. I nieraz nasi najokrutniejsi oprawcy miękli przy nim.

Najbardziej upokarzająca praca, wymyślona dla ciał i umysłów, kilku z nas oburzyła: Migurski nie okazywał wstrętu. A kiedy wracaliśmy z pracy głodni, spragnieni, zmarnięci do szpiku kości, nawoływał nas do rezygnacji: „Czy spodziewaliście się czegoś innego po barbarzyńcy, który nad swoim ogromnym imperium wymachuje knutem? – Czy spodziewaliście się czegoś lepszego od stu milionów ludzi, którzy uginają się pod tym berłem? Dziękujcie Bogu, że tyran nie każe wam odrywać kawałków własnego ciała i zmuszać was do ich zjedzenia!” – I rzeczywiście, wydawał się być bardzo szczęśliwym, że nie zostaliśmy doprowadzeni do tej surowej skrajności.

Deportowani są zawsze skazywani na dożywocie lub przynajmniej na okres od piętnastu do dwudziestu lat; ale ogólnie rzecz biorąc amnestia skraca ich czas. I tak pozornie ułaskawiając wygnańca, można go zmusić do odbycia dziesięciu lat męczeństwa lub nawet więcej.

Kiedy pozwolono Migurskiemu opuścić kopalnię, wysłano go do Bałagańska, gdzie mieszkańcy natychmiast ciepło go przyjęli. Kiedy go tam odwiedziłem, byłem zdumiony, widząc w jego domu łóżko, meble i buty: prawie luksus! Z wdzięczności młoda kobieta z sąsiedztwa zajęła się nim i jego sprawami domowymi, oczywiście bez jego zgody.

### **Lucjan Migurski (?–1896)**

Student medycyny, zesłany na katorgę do Usola za udział w Powstaniu Styczniowym. Po amnestii 1866 r. wysłany do Bałagańska. Po trzeciej amnestii w 1869 r. przeniósł się do Kazania, gdzie zdał egzamin lekarski. Następnie powrócił do kraju, osiadł w Opolu Lubelskim. Tu ożenił się z panną Bóbr, która dziesięć lat oczekiwała na powrót narzeczonego z Syberii. Otworzył prywatną praktykę lekarską w Opolu Lubelskim, a następnie w Lublinie. Zmarł w 1896 r. w Lublinie.



**TRZASKOWSKI (22)**

Trzaskowski, lekarz na Litwie, miał charakter zarówno łagodny, jak i silny.

Mimo słabej kondycji, znosił najcięższe próby z isticie stoickim spokojem.

Wiele razy podczas pracy widzieliśmy go zataczającego się i upadającego...

Nigdy jednak nie zgodził się na przewiezienie do szpitala.

„– Wolę umrzeć teraz – zawołał – na świeżym powietrzu, wśród moich towarzyszy, niż gnić w tym więzieniu!”

W odniesieniu do szpitala dla skazańców politycznych określenie to nie było przesadą; w rzeczywistości budynek zbudowano z myślą o czterech łóżkach, ale przystosowano go tak, aby pomieścić sześć razy więcej. Jego układ wykluczał swobodny dostęp powietrza. Główny mebel, „słynną” umywalkę, zapełniały ekskrementy, które się tam nie mieściły. Była zbyt mała, aby obsłużyć dwa tuziny osób, więc przelewała się na podłogę; gryzące, gnijące drewno wydychało zarazę. Pod żadnym pozorem nie wolno było otwierać drzwi w nocy. Chorzy musieli leżeć na łóżkach w łańcuchach. A kiedy umierali, ich ciała pozostawały w takim stanie aż do pogrzebu. Przez trzy dni zwłoki marniały w kajdanach na środku jedyne go pokoju, ciała rozkładały się.

Trzaskowski szczególnie dobrze radził sobie z leczeniem kobiet i dzieci. Mianował się pielęgniarzką swoich towarzyszy. Sam chory, wyczerpany zmęczeniem, budził się co jakiś czas, aby monitorować puls pacjenta; w poważnych przypadkach czerpał nadludzką siłę ze swojego oddania.

Towarzysze, litując się nad jego słabością, często chcieli mu pomóc w obowiązkach: nigdy nie pozwilił, aby ktoś inny uderzył młotkiem za niego.

Poza tym, chociaż był jeszcze młody, jego włosy posiwiały.

Zmarł na chorobę piersiową i w nim umarło jedno z najszlachetniejszych istnień ludzkich.

Miasto Irkuck zorganizowało mu wspaniały i wzruszający pogrzeb: ulice, którymi podążał kondukt, były przystrojone żałobnymi flagami; magistrat i prezydent miasta zanieśli trumnę na ramionach do grobu.

Na szczycie Wzgórza Jerozolimskiego miejsce, w którym spoczywają szczątki tego człowieka, jest oznaczone czarnym krzyżem z tym napisem:

Za prawdę,  
Za równość,  
Za sprawę!

**Dr Ignacy Trzaskowski (1834–1874)**

Urodził się w Wilnie. Studiował medycynę w Moskwie. W czasie powstania 1863 r. dostał się do niewoli po bitwie pod Birzanami. Skazany na pięć lat ciężkich robót w kopalniach syberyjskich pracował w warzelniach soli w Usolu. Po amnestii osiadł w Irkucku jako lekarz. Zmarł w wieku 40 lat i został pochowany na miejscowym cmentarzu.

**YOPPE BEY (16)**

Yoppe Bey był ostatnim kaukaskim księciem. Jego plemię, wtulone w strome skały, wciąż rozwijało zielony sztandar wolności, podczas gdy wszyscy jego sąsiedzi musieli ugiąć się pod jarzmem nienasyconej Rosji. W latach 1861–62 cała armia została wysłana przeciwko wilajetowi i rozrwała go na strzępy.



Kiedy uznano, że opór jest niemożliwy, Yoppe stanął przed wrogiem ze swoim haremem i kilkoma odważnymi ludźmi. Była ich garstka. Ostatni wolni ludzie Kaukazu. Wszyscy padli pod kulami. Mieszkanki haremu przyprowadzono do generała, który rozdał je oficerom, zaś żołnierze masakrowali wszystko, co zachowało tchnienie życia, plądrowali wszystko, co nie zostało zniszczone. Yoppe, który zdecydował się iść na śmierć, został jedynie ranny. Obudził go krzyk jego ukochanej Fatmy; Fatmy o oczach gazeli. Widział, jak oszalała ze wstydu i rozpaczypada w ręce bandy pijaków spragnionych grabieży i orgii.

„Gińcie Giaury!” zawołał Yoppe, który chciał chwycić za miecz, ale upadł zemdlony. Gdy się ocknął, był związany w namiocie zwycięzcy. Wysłano go do pracy w kopalniach.

Jednak pewnego dnia Aleksander II był na tyle uprzejmy, że przywrócił mu tytuł księcia i przyznał emeryturę w wysokości 5000 rubli. Jednak ta hojność przyszła za późno. Yoppe zmarł z powodu niewygojonych ran i osłabienia. W ostatnim tchnieniu przeklął Giaurów, którzy pozbawili go ojczyzny i ukochanej Fatmy.

**ŁAGOWSKI I ŁAGOWSKA (24 i 27)**

Chociaż urodzona w obrządku prawosławnym i córka wysokiego urzędnika administracji cesarskiej, pani Łagowska chciała dzielić wygnanie ze swoim mężem, byłym naczelnym chirurgiem armii kaukaskiej. Uznając sprawiedliwość polskich żądań, przybyła z dwójką dzieci, aby dołączyć do Łagowskiego na zesłaniu.



W tym czasie dowodził nami kozacki bydlak, który znęcał się nad nami w najbardziej ordynarny sposób, a w szczególności nie pozwalał żadnemu z nas wykonywać swojego dawnego zawodu pod żadnym pretekstem. Zakaz dotyczył nawet tych z nas, którzy praktykowali medycynę. Tym zabraniał opiekować się chorymi skazańcami.

„Jesteście tylko buntownikami, skazańcami, przestępcami, gorszymi niż cała reszta, buntownikami przeciwko carowi!” – krzyknął Kozak.

Zdarzyło się też, że dostojnik miasta Irkucka poważnie zachorował. Jednomyślna opinia była taka, że tylko Łagowski może go uratować.

Gubernator Generalny, po otrzymaniu wniosku w tej sprawie, udzielił skazanemu lekarzowi niezbędnego zezwolenia. Dlatego nasz dozorca kazał sprowadzić Łagowskiego pod eskortą i nakazał mu przeprowadzenie operacji. Ale były naczelnym chirurg stał w drzwiach, milczący i nieruchomy w swoich ciężkich łańcuchach.

„– Nie słyszałeś mojego rozkazu?” – krzyknął wściekły żołnierz, przykładając pięść do twarzy doktora.



„– Jako skazaniec, jako katorżnik mam obowiązek cię słuchać, ale nie jako chirurg” – odpowiedział ze spokojem Łagowski. Potrzebna była uprzejma prośba samego Generalnego Gubernatora, aby zdecydował się wejść.

Kiedy Łagowski został zwolniony z pracy przymusowej, studiował florę wschodniej Syberii. Wkrótce śmierć oderwała go od dzieci i żony, która wielokrotnie siłą swojej duszy wspierała go i jego towarzyszy w ciężkiej pracy w kopalni: okrutnych mękach, które często powalają najodważniejszych.

#### **Olga Łagowska z Juszkiewiczów (1834–1874)**

Była córką wysokiego urzędnika carskiego. Wyszła za mąż za Józefa Łagowskiego, chirurga w armii carskiej. Gdy mąż został zesłany na sześć lat katorgi za pomoc udzieloną rannym powstańcom, by ratować go przed katorżniczą pracą, sprzedała rodowy majątek i zabierając dzieci, podążyła wraz z nim na zesłanie. Zamieszkali w Usolu, w ich domu zesłańcy znajdowali wsparcie. Wychowawcą ich dzieci był Józef Kalinowski. Po śmierci męża w 1870 r. Olga wróciła wraz z dziećmi w rodzinne strony na Ukrainę.

#### **Dr Józef Łagowski (1820–1870)**

Urodzony w Żytomierzu, ukończył Uniwersytet Kijowski na koszt rządu, dlatego musiał wstąpić do służby wojskowej, gdzie pracował jako lekarz. Uczestniczył w kampanii krymskiej w 1856 r. Po wojnie był inspektorem zarządzającym służbą zdrowia w Żytomierzu. W czasie Powstania Styczniowego pełnił służbę w oddziałach partyzanckich Edmunda Różyckiego. Pojmany wraz z Wacławem Lasockim przez chłopów wsi Tatarówka został przekazany władzom carskim, a następnie skazany na karę śmierci. Dzięki ogromnym staraniom rodziny wyrok zmieniono na sześć lat katorgi. Do Usola przybył w 1864 r. Pracował w laboratorium warzelni soli jako laborant. Po przybyciu do niego żony z dziećmi, uwolniony z katorgi w 1866 przeniósł się do Irkucka, gdzie praktykował jako chirurg. Był równocześnie zapalonym botanikiem. Zebrał ogromny zbiór roślin. Zmarł w roku 1870. Osierocił sześcioro dzieci. Żona po jego śmierci powróciła na Ukrainę, a syberyjskie zieleni ofiarowała Uniwersytetowi Lwowskiemu.

#### **JAN FRANKOWSKI (29)**

Wśród tak wielu zdziętkowanych i prześladowanych rodzin, rodzina Frankowskich była być może jedną z najbardziej okrutnie dotkniętych w następstwie powstania 1862–63.

Stanisław, najstarszy z trzech braci, został skazany we Francji na dwa lata więzienia za wykorzystanie środków Banku Polskiego na zakup karabinów na potrzeby powstania. Nie poniósł jednak kary i został ułaskawiony.

Podczas krwawych dni powstania, jego najmłodszy brat został rozpoznany przez Rosjan wśród rannych i przewieziony do szpitala.

Przez kilka tygodni troskliwie się nim opiekowano; zwycięzca miał prawo do życia i śmierci pojmanych: ranni wracali do życia, by iść na śmierć. Dzień jego wyzdrowienia był wigilią jego egzekucji! – Został zastrzelony.



Przeżył tylko jeden syn Frankowskich: o jednego za dużo, bo całą rodzinę skazano na wyginięcie: Jan, drugi z trójki, podejrzewany przez władze i bacznie obserwowany, został deportowany w trybie administracyjnym, tj. bez procesu i dowodów, i wysłany do Niżnego Kołymska. Do tego czasu zesłańców nigdy nie deportowano do tak odległego kraju. Nieszczęśnik został odizolowany wśród Tunguzów, którzy byli jego opiekunami i za niego odpowiadali. List z ułaskawieniem dotarł do nieszczęsnego Jana po całych dwóch latach. To car Aleksander II zlitował się nad nieszczęsną matką, siostrzenicą księcia-biskupa Krazickiego, i ułaskawił jej syna Jana. Ale Jan nie cieszył się długo wolnością, mimo że odzyskał ją dopiero po kilku latach męczeństwa. Nadal pozostawał podejrzany i był stale obserwowany. Został skompromitowany w sprawie unitów, którzy przyłączyli się do Stolicy Apostolskiej w Rzymie, ale modlili się i urzędowali w swoim ojczystym języku. Sekta ta została naznaczona czarnym krzyżem i skazana na śmierć. Jan Frankowski został aresztowany wśród swoich zwolenników, a jego bliscy, mimo usilnych prób, nigdy więcej o nim nie usłyszeli.

### Jan Frankowski (1843–?)

Urodził się w 1843 r. w Liwku na Podlasiu. Studiował w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Działal na terenie Warszawy w stronnictwie „czerwonych”. W lutym 1861 r. wyjechał do Paryża w celu porozumienia się z Mierosławskim. Był organizatorem spisku wśród oficerów rosyjskich na Podlasiu. W maju 1862 r. aresztowany i osadzony w Cytadeli Warszawskiej. Skazany na katorgę do Usola. Dzięki usilnym staraniom rodziny uwolniony po amnestii w 1866 r. Wyjechał natychmiast do Paryża, pozostając na emigracji. Słuch o nim zaginął.

### CZETWERTYŃSKI (7)

W czasie ostatniej rewolucji polskiej kronikarze, historycy i agenci literaccy w służbie cara przedstawiali ją jako dzieło niezadowolonych ludzi stanowiących niewielką mniejszość. Bardziej trafne byłoby jednak stwierdzenie, że niezadowolona była cała Polska. Istotnie, żadne powstanie nie kosztowało tyle istnień ludzkich i fortun, nikt nie zwerbował tylu ludzi z najróżniejszych miejsc, nawet z prowincji, które przestały należeć do Polski wieki temu. Wspaniałe oferty złożone wówczas przez Sankt Petersburg zostały z pogardą odrzucone przez wielu synów z najszlachetniejszych rodów, którzy woleli powiększać szeregi patriotów. Również w następstwie rewolucji, od Odry po Dniepr, od Bałtyku po Morze Czarne, nie było chyba polskiej rodziny, która nie musiałaby opłakiwać bliskich.

Czetwertyńscy byli potomkami Ruryka, założyciela Imperium Rosyjskiego; nazwa ich rodu pochodzi od rodowej posiadłości położonej nad brzegiem Styru. Rodzina należała do prawosławia greckiego i niejednen Czetwertyński zasiadał w siedzibie metropolity kijowskiego.

Młody i uczynny Czetwertyński nie sądził, że to starożytne pochodzenie powinno skłaniać go do opowiedzenia się po stronie ludowych aspiracji Polski; słuchając jedynie swego sumienia, bez ukrytych motywów ambicji, zaciągnął się do walczących o świętą sprawę.





Skazano go na śmierć, ale został ułaskawiony. W obliczu okrucieństw strażników Orenburga ten ostatni potomek znamienitego rodu okazał dumną rezygnację, godną szlachetnej duszy.

### **Książę Włodzimierz Ludwik Stanisław ks. Światopełk-Czetwertyński na Nowej Czwertni h. Pogoń Ruska (1837–1918)**

Syn Kaliksta i Zofii z Kropińskich, urodzony 26 września w Woronczynie na Wołyniu. Studiował w Szlacheckim Instytucie w Wilnie, gdzie należał do tajnej organizacji. Został aresztowany i skazany na osiem lat katorgi w Usolu. Wyrok zatwierdził generał Czertkow. Dzięki staraniom rodziny, połowę podróży odbył na własny koszt. Petycje słane do Aleksandra II skróciły jego pobyt na katordze, skorzystał z amnestii w 1866 r. Opuścił Usolę w 1867 r. i zamieszkał w guberni penzeńskiej. Rok później powrócił do Warszawy. W 1872 r. poślubił Marię hrabinę Uruską, z którą miał sześcioro dzieci. Małżeństwo osiadło w dobrach żony w Milanowie k/Siedlec. Ich majątek stał się przystanią dla powracających z katorgi. Był tu przepiękny księgozbiór po generale Kropińskim i Sewerynie Uruskim oraz galeria obrazów.

W latach osiemdziesiątych Czetwertyński zaangażował się w sprawę unitów i ziemi chełmskiej. Pracował w Towarzystwie Ziemijskim oraz był radcą w Dyrekcji Kolei Siedleckiej. W roku 1886 otrzymał potwierdzenie tytułu książęcego, a w roku 1902 został szambelanem dworu rosyjskiego. Od roku 1906 był prezesem Towarzystwa Sybiraków Weteranów. Zmarł 20 sierpnia 1918 r. Pozostawił rękopis pamiętnika *Na wozie i pod wozem*, który został wydany w 1939 r. w Poznaniu przez Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

### **PROFESOR KĘDRZYCKI (8)**

Julian Kędrzycki piastował katedrę języków obcych i literatury na Uniwersytecie Kijowskim: był poetą, którego dzieła liryczne zasługują na miano najpiękniejszych w literaturze polskiej. Całe swoje życie poświęcił religii swojego kraju.



Nigdy nie słyszano, żeby narzekał na własne cierpienia, ale cierpienia innych wzruszały go do łez i nic nie kosztowało go zbyt wiele, aby je złagodzić.

Z żalem patrzyliśmy, jak jego przystojna twarz staje się coraz szczuplejsza, a wysoka sylwetka pochyla się.

Na Syberię przybył młody i krzepki, a opuścił ją stary i bezsilny. Świat stracił w nim człowieka wielkiego talentu. Jego pamięć jest czczona przez wszystkich, którzy byli z nim blisko.

### **Julian Belina Kędrzycki (1827–1889)**

Urodzony w Kowalówce pod Niemirowem na Podolu w rodzinie szlacheckiej. Po ukończeniu Uniwersytetu Kijowskiego, gdzie zaprzyjaźnił się m.in. z Tarasem Szewczenką, był prof. literatury w gimnazjum w Kijowie. Uczestnik Powstania Styczniowego, skazany za to na katorgę, którą odbywał w Usolu w guberni irkuckiej, w miejscu wytwarzania soli. Dzięki amnestii w 1866 r. zamieniono mu katorgę na zesłanie. Spędził je w Irkucku, gdzie mieszkał najpierw z Mieczysławem Mardeckim, a potem z księciem Włodzimierzem Czetwertyńskim. Nadal pracował jako katorżnik, ale już bez kajdan. Po drugiej amnestii

w 1868 r. utrzymywał się z udzielania lekcji. Mieszkał najpierw w Irkucku, a potem przeprowadził się do Spaska w guberni tambowskiej. Na zesłaniu stworzył swoje najbardziej znane utwory poetyckie – m.in. *Treny Sybirskie*. Wiele z nich znalazło się w II tomie wspomnień Wacława Lasockiego pt. *Na Syberii*.

Dzięki staraniom księcia Czetwertyńskiego powrócił do kraju w 1882 r. Ciężko chory na serce, leczyl się w sanatorium w Nałęczowie. Zmarł nagle w 1889 r. w Petersburgu, podczas wizyty u mieszkającego tam kolegi uniwersyteckiego Borszczowa. Pochowany został w Petersburgu.

## HOFMEISTER (19)

Profesor języków obcych i literatury, został po raz drugi deportowany w 1864 r. ze względu na swój żarliwy patriotyzm. Pani Hofmeister zmarła z żalu; ale jej dzielna siostra zebrała resztki rodzinnego majątku, wywiozła dzieci do kopalni, gdzie następnie wyszła za mąż za swojego szwagra.

Hofmeisterowi po odbyciu kary udało się wrócić do ojczyzny, jednak po krótkim czasie jego odważna żona zmarła z wycieńczenia. On zaś podążał za nią aż do grobu.

## Apolinary Hofmeister (1825–1890)

Urodzony w Szostakowie w powiecie brzesko-litewskim, w protestanckiej zamożnej rodzinie ziemiańskiej. Studiował historię i filozofię na uniwersytecie w Berlinie. W 1846 r. został członkiem zawiązanej tam z inspiracji m.in. Karola Libelta polskiej organizacji konspiracyjnej, z ramienia której został wysłany jako emisariusz na Litwę. Aresztowany przez władze rosyjskie, sądzony w sprawie Reera został posłany pod pręgierz, a następnie skazany na siedem lat rot aresztanckich. Trafił do Orska, a następnie do Tobolska, gdzie przebywał razem z Dostojewskim. Po powrocie do kraju w 1857 r. osiadł w rodzinnym majątku, w którym w 1861 przeprowadził uwłaszczenie chłopów. Uczestnik Powstania Styczniowego, w którym pełnił funkcję Naczelnika województwa brzesko-litewskiego. Skazany na katorgę, którą odbywał w warzelniach soli w Usolu w guberni irkuckej. W ślad za nim przybyła tam jego rodzina. W 1868 r. dzięki staraniom ambasady niemieckiej i amnestii zamieniono mu katorgę na zesłanie i skierowano do Irkucka, gdzie osiadł i żył z udzielania lekcji muzyki. Zwolniony ostatecznie w 1873 r., ze względu na zakaz osiedlania się w granicach Cesarstwa Rosyjskiego, zamieszkał w Krakowie, gdzie wraz z żoną udzielał lekcji muzyki. Oboje zmarli tam w 1890 r.

## ZIENKOWICZ (14)

Jeśli kiedykolwiek człowiek okazał się lepszy od ludzi, jeśli kiedykolwiek człowiek wiedział, jak pozostać silniejszym od nieszczęścia, to był to Zienkowicz.

Choć jego ojciec zajmował wysokie stanowisko w administracji rosyjskiej, zaciągnął się do powstańców.

W więzieniu, mocne przekonanie, że cierpi w słusznej sprawie, dodawało mu sił do znoszenia wszelkich nieszczęść, nigdy nie pozwolił, by wymusnęła mu się choćby skarga.





Jego drobna postura nie zdradzała moralnego wigoru. Zmęczenie i niedostatek здаwały się nie mieć wpływu na to żelazne ciało. Wydawał się odporny na trudy, które paliły tak wielu towarzyszy, a na jego zdrowie nigdy nie miały wpływu. Po zakończeniu pobytu na Syberii wrócił do domu tak samo zdrowy na ciele i umyśle, jak go opuścił.

### Feliks Zienkowicz (1843–1910)

Urodził się w Mokranach w powiecie brzeskim. Studiował na wydziale przyrodniczym uniwersytetu w Petersburgu, a następnie medycynę w Paryżu. Jako jeden z pierwszych wprowadził oczyszczanie chłopów w swoim majątku, rozkładając spłatę na 36 lat. W czasie Powstania Styczniowego był sekretarzem Wydziału Wykonawczego Litwy i emisariuszem Rządu Narodowego w Szwecji. Aresztowany w sierpniu 1863 r. za przewożenie broni, zakupionej we Francji za własne pieniądze dla walczących chłopów w powstaniu. W czasie procesu Zienkowicz do niczego się nie przyznawał. Skazany na karę śmierci, zamienioną w ostatniej chwili na 12 lat katorgi w Usolu. Po amnestii w 1868 r. zamieszkał w Irkucku jako osiedleńca. Brał udział w wyprawach przyrodniczych Benedykta Dybowskiego. Pracował jako lekarz, nauczyciel i badacz. W 1881 r. pozwolono mu przenieść się do europejskiej części Rosji. Osiedlił się w Nowogrodzie Wielkim. Zezwolono mu wówczas na sześciomiesięczny wyjazd na Litwę. Dzięki pozytywnym opiniom wydanym przez władze irkuckie i petersburskie o jego pracy i zachowaniu, pozwolono mu powrócić na Litwę w 1884 r. W 1890 r. ożenił się z siostrzenicą – Marią z Pustkowskich, z którą miał cztery córki. Zmarł w Warszawie w 1910 r.



### EICHMILLER (1)

Eichmiller miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy został przewodniczącym warszawskiego cechu.

Zapalony patriota, był jednym z bojowników powstania; wzięty do niewoli, został skazany na śmierć. Jednak młodość i reputacja artystyczna uratowały mu życie: car zamienił wyrok śmierci na przymusową pracę w kopalniach Syberii.

Po uwolnieniu z przymusowych robót otrzymał pozwolenie na zamieszkanie w Irkucku, gdzie zawód wkrótce przyniósł mu dobrobyt. Jako żarliwy katolik z pasją odrestaurowywał kaplicę, którą uznał za żałośnie zniszczoną.

Gotycki ołtarz, który dla niej wyrzeźbił, został uznany za arcydzieło; ale reputacja, którą tam zdobył, stała się przyczyną jego upadku.

Generał Sinelnikow zostawszy generalnym gubernatorem Syberii Wschodniej, posłał po Eichmillera i udzielił mu instrukcji dotyczących pracy i drewnianych ozdób teatru. Eichmiller wziął się do pracy i wykonał zadanie ku zadowoleniu rady miejskiej i kompetentnych ludzi. Przed otwarciem gmachu przybył na inspekcję generalny gubernator. Jako ignorant i brutal skrytykował pewne szczegóły, zapomniawszy, że sam je narzucił. Kiedy Eichmiller pozwolił sobie poprosić Jego Eksceleńcję o odniesienie się do rozkazów, które wydał, despota wpadł w furję i obrzucił obelgami nieszczęsnego artystę. Ten zdołał zachować spokój, dopóki satrapa nie stracił kontroli i nie podłożył mu pięści pod nos, krzycząc: „Ty łajdaku, sk...synu”. Eichmiller był czcicielem własnej matki, więc w mgnieniu oka zaaplikował Jego Eksceleńcji dwa energiczne ciosy w twarz...

Nie sposób opisać wrzawy, jaka po tym nastąpiła. Aresztowany Eichmiller został postawiony przed pilnie powołaną w tym celu radą wojenną.

Sąd po zbadaniu faktów uznał się za niekompetentny, gdyż nie był to akt polityczny ani bunt przestępcy przeciwko władzy generalnego gubernatora, a jedynie wzajemne przestępstwo pomiędzy Eichmillerem a Sinelnikowem. Usłyszawszy ten wyrok, Sinelnikow skorzystał z czeku *in blanco*, który dał mu cesarz na wszelki wypadek, i wpisał w nim rozkaz natychmiastowej egzekucji Eichmillera.

Oficer dowodzący plutonem egzekucyjnym spełnił prośbę skazańca, by rozstrzelano go w pozycji swobodnej i bez przywiązywania do słupa.

Widząc śmiertelny gest, Eichmiller zrzucił czapkę i donośnym głosem powiedział:

Polsko nieszczęśliwa i ukochana,

Żegnaj!

Przez kilka lat na jego grobie, który znajduje się na opustoszałym polu pod Irkuckiem widzieliśmy nieznaną ręce zanoszące modlitwy w hołdzie męczennikowi honoru i sprawiedliwości.

#### **Ignacy Eichmiller (1844–1873)**

Urodził się w Warszawie na Starym Mieście w rodzinie rzemieślniczej, uczył się rzemiosła stolarskiego. Za udział w warszawskich manifestacjach patriotycznych w 1861 r. karnie wcielony do wojska i wysłany do jednostki w Kazaniu. Odmówił złożenia przysięgi. Ponieważ był niepełnoletni, więc został zesłany do guberni irkuckiej, gdzie pracował jako stolarz. Bardzo uzdolniony, został zaangażowany do prac stolarskich przy budowie teatru w Irkucku, gdzie m.in. wykonywał rzeźby do wyposażenia wnętrz teatralnych. Podczas wizyty na budowie miejscowego gubernatora, generała Sinielnikowa, spoliczkował go w odwecie za jego obelżywą uwagę o Polakach. Skazany za to na śmierć i rozstrzelany w Irkucku 14 listopada 1873 r. Zakład stolarski pod jego szyldem istniał jeszcze w Irkucku przez wiele lat.

#### **ALEKSANDER SOCHACZEWSKI (4)**

Byłem jeszcze bardzo młody, gdy wraz z towarzyszami wyjechałem na Syberię. Uniknąwszy śmierci, pomyślałem, że moje życie może się jeszcze przydać mojemu biednemu i ukochanemu krajowi.



Cała oświecona młodzież poświęciła się w imię wolności. Jak słodko wydawało się nam wszystkim umierać za nasze idee, za wyzwolenie naszego kraju! Wiedzieliśmy, że walka jest beznadziejna, a mimo to podjęliśmy ją z entuzjazmem.

Zaraz po aresztowaniu, w więzieniu, a nawet później, myślałem, że najlepszym sposobem służenia wielkiej sprawie nie będzie niepotrzebne umieranie w desperackiej walce, ale poświęcenie życia dziełu, które pokaże cywilizowanemu światu część cierpień narodu, który nie chce umrzeć.

Kiedy znalazłem się przed tym słupem, który wyznacza granicę między Europą i Azją, chciałem najpierw przeczytać nazwiska i napisy, które wryte są na kamieniu: smutne wspomnienia wszystkich, którzy już przeszli; ale jęki deportowanych, ponurych i wyczerpanych, rozrywały mi serce.



Każdy myślami wracał do tych, których zostawiał, nie mając nadziei, że kiedykolwiek ich jeszcze zobaczy; bolesne krzyki niektórych, cicha rozpacz innych nie pozwalały moim pomysłom urzeczywistnić się...

Moja dusza leciała w stronę kraju, który Murawiewowie i nieludscy Berghowie zrujnowali, zdewastowali; do mojego kraju, gdzie mój ojciec był w żałobie, gdzie moja matka wypłakiwała sobie oczy.

Zanim dano sygnał do wyjścia i kajdany znów zagrały smutną melodię, dostrzegłem i doświadczyłem w myślach życia, które nas czekało. Ta wizja i idea, którą nosiłem w sobie, dały mi siłę do zniesienia bez wzdrygnięcia całego zniewalającego cierpienia.

### SZUKSZTA (18)

Wypełniłem obowiązek wdzięczności, umieszczając na moim obrazie postać Szukszty.



Byliśmy częścią konwoju deportowanych. Nigdy nie zapomnę tego skromnego, a zarazem dobrego człowieka. Podczas tej trudnej podróży wyświadczył mi wszelkie usługi, jakie może wzbudzić jedynie najpełniejsze oddanie; żadne poświęcenie nie było dla niego zbyt wielkie, aby ratować mi życie.

Całą karę odsiedział w kopalni. Po wyjściu na wolność wrócił do Polski z pochylonymi plecami i wybielonymi włosami. Powiedziano mi, że jest żonaty i żyje na emeryturze. Niech te słowa pamięci dotrą do niego jako dowód mojej wdzięczności!

### ŁOZIŃSKI I PANI ŁOZIŃSKA (9 i 26)

Bolesław Łoziński był człowiekiem szlachetnym, zamożnym i kulturalnym. Z bezgranicznym oddaniem służył sprawie wyzwolenia Polski.



Nie wierząc, że Polska mogłaby się wyzwolić bez pomocy wielkich mocarstw, chciał, aby cała Europa zaprotestowała przeciwko rosyjskiej tyranii. Gdy jednak wybuchło powstanie, postanowił oddać swoje życie i majątek świętej sprawie. Jego żona, córka patrioty i wielkiego pisarza Kraszewskiego, chciała towarzyszyć mu na wygnaniu, aby dzielić jego cierpienia. Sama też cierpiała, widząc, jak tam umiera.

Kiedy złożyła mu ostatni hołd, poprosiła o powrót do Polski, ale minęło wiele miesięcy, zanim uzyskała prawo powrotu do ojczyzny. Po wielu staraniach długo oczekiwane pozwolenie w końcu nadeszło, a ona wyruszyła do Europy z dwójką bliźniaków urodzonych na wygnaniu.

Przekraczając granicę, patrzyła na słynny kamień milowy, przed którym kilka lat wcześniej jej mąż żegnał się z cywilizowanym światem!

Powóz jechał szybko; nagle pękła oś, a nieszczęsna kobieta doznała wstrząsu i zginęła na śmiertelnym kamieniu.

### Bolesław Łoziński z Łoziny (?–1870)

Właściciel wsi Berezyniec w powiecie ostrogskim. Już w średnim wieku poślubił najstarszą córkę Józefa Ignacego Kraszewskiego – Konstancję. W okresie powstania kierował nielegalną organizacją powiatu ostrogskiego. Mimo tego, że nie doszło tu do walki, skonfiskowano jego majątek, a Łozińskiego skazano na katorgę. Żona towarzyszyła mu etapami na Sybir. Urodziło się im tam troje dzieci. Łozińscy nie otrzymywali żadnej pomocy z kraju. Aby utrzymać rodzinę, zmuszeni byli oboje do ciężkiej pracy fizycznej. Żona wypiekała i sprzedawała chleb. Bolesław zajmował się handlem mąką, masłem i miodem. Po amnestii pozwolono im przenieść się z Usola do Irkucka, gdzie utrzymywali się również z handlu i wypieku chleba. Bolesław Łoziński zmarł w Irkucku, pochowany został na tamtejszym cmentarzu.

### Konstancja z Kraszewskich Łozińska (1839–1871)

Była najstarszą córką Józefa Ignacego Kraszewskiego. Wyszła za mąż w wieku 21 lat za starszego od siebie Bolesława Łozińskiego, właściciela majątku Berezyniec. Gdy za udział w Powstaniu Styczniowym majątek został zarekwirowany, a Bolesław skazany na katorgę do Usola, Konstancja wyprosiła zgodę na towarzyszenie mężowi w drodze na katorgę. W podróży stracili małe dziecko, które zachorowało i zmarło. W Usolu Konstancja urodziła bliźniaki, nadano im imiona Remus i Romulus. Poza wychowywaniem dzieci zajmowała się wypiekami i sprzedażą chleba. W roku 1866, po pierwszej amnestii, Łozińscy przenieśli się do Irkucka, gdzie kupili własną piekarnię. Tam urodziła im się córeczka, której nadano imię matki – Konstancja. Po śmierci męża Łozińska sprzedała cały dobytek i z dziećmi wyruszyła do kraju. Miała prawo wracać, ponieważ nie ciążył na niej żaden wyrok. Nie wytrzymała trudów podróży i zmarła na atak serca. Dzieci przywiózł do Warszawy wygnaniec o nazwisku Szymkiewicz, którego Łozińska zabrała ze sobą, aby mu ułatwić powrót do kraju po amnestii. Przez wiele tygodni podróży zastępował dzieciom rodziców. Sieroty przywiózł do babki Kraszewskiej z Woroniczów, mieszkającej w Warszawie przy ulicy Nowy Świat 1. Jeden z synów Konstancji – Józef był później literatem w Krakowie, drugi prowadził gospodarstwo na Wołyniu. Córka Konstancja wyszła za mąż za Staniszewskiego i zamieszkała w Kijowie.

### OSKIERKO (11)

Aleksander Oskierko był jedną z najwybitniejszych postaci szlachty litewskiej, która często wyróżniała się solidnością i wielką energią. Po ukończeniu uniwersytetu młody Aleksander wstąpił do wojska, zgodnie z oczekiwaniami rządu i, jak to było w zwyczaju, wymaganiami w stosunku do każdego wybitnego szlachcica. Gdy osiągnął wysokie stanowisko w Sztapie Generalnym, zrezygnował, by poświęcić się służbie publicznej. Walczył z arystokracją ziemiańską z powodu jej lenistwa i frywolności: chciał rozwijać przemysł i kształcić lud, zakładając dobre szkoły.

Na wezwanie ojczyzny porzucił pracę i majątek, by poświęcić się dla dobra sprawy.

Wkrótce po klęsce stanął przed sądem wojskowym, który przypomniał jego zasługi i nie dopuścił, aby rosyjski oficer stał się bohaterem spektaklu – powieszenia na szubienicy. Dlatego skazał go na piętnaście lat przymusowej pracy w kopalniach.





Skazańcy nie mieli prawa rozmawiać z gubernatorem, w którego obecności nawet podniesienie głosu było przestępstwem. Cała komunikacja odbywała się więc przez pośrednika (zwanego „starostą”). Odpowiedzialność przedstawiciela, wybranego przez zesłańców, była ogromna: najmniejsza nieostrożność, najmniejsza niezdarność w wykonywaniu tych trudnych i delikatnych funkcji mogła mieć katastrofalne skutki. Wykonując powierzone mu zadanie, Oskierko swoim taktem, a także godnością swej postawy, zasłużył na powszechny szacunek. Zasługi, jakie wyświadczył przez lata pełnienia obowiązków, przyniosły mu powszechne uznanie.

W przededniu powstania Oskierko miał się ożenić. Jego narzeczona, która należała do jednej z najlepszych polskich rodzin, poprosiła o pozwolenie, aby pojechać za nim do kopalni, gdzie chciała go poślubić. Aleksander II, który znał ją osobiście, długo odmawiał zgody. Kiedy już ją wydał, okazał pewne zainteresowanie nami i powiedział Michałowi Korsakowowi, ówczesnemu gubernatorowi generalnemu Syberii Wschodniej, że będzie zadowolony, słysząc, że jesteśmy traktowani po ludzku. Po tych kilku życzliwych słowach, jakie nie wyszły wcześniej z ust cara, nastąpiło mniej rygorystyczne traktowanie, dzięki któremu tysiące towarzyszy miało możliwość wyjazdu do ojczyzny, aby tam zażyć odpoczynku albo umrzeć.

Jakże wdzięczni byliśmy pani Oskierko, która wielokrotnie podtrzymywała nas na duchu.

Później pozwolono jej wrócić z mężem do ojczyzny: niestety jej szczęście trwało krótko: zmarła, jeszcze młodo, z powodu osłabienia i cierpień, których doświadczyła na surowym wygnaniu.

#### **Aleksander Oskierko (1830–1911)**

Dzięki amnestii w 1868 r. przeniesiony do Irkucka później do Solikamska. Po powrocie do kraju w 1875 r. był, w Warszawie, redaktorem czasopisma „Ateneum”. W 1882 pozwolono mu wrócić na Litwę, gdzie kierował Towarzystwem Ubezpieczeń od Ognia. Zmarł w miejscowości Widze w 1911 r. i został pochowany w Wilnie.

#### **HRABIA BNIŃSKI I HRABINA BNIŃSKA (6 i 25)**



Chociaż niewielkiego wzrostu, Bniński miał stanowczy charakter: był człowiekiem silnym i spokojnym duchem, o oddanym sercu.

Z urodzenia patrycjusz, nie znał innej szlachetności niż szlachetność umysłu i serca. Zawsze był gotowy oddać swoją wiedzę i zasoby w służbę innym, nie przejmując się religią ani pozycją społeczną swoich zobowiązanych.

Poświęcił swój majątek i osobę dla sprawy polskiej i nigdy, dopóki trwało jego wygnanie, nie zgodził się na wykorzystanie swoich potężnych koneksji, aby prosić o złagodzenie wyroku. Chciał pozostać równy swoim współcierpiącym towarzyszom, których traktował jak braci. Z drugiej strony, zachowywał się z godnością przed tyranami. Jego niewielka postura zdawała się rosnąć, a w swojej łajbie galernika, bez względu na to, jak bardzo był obciążony łańcuchami, narzucał im szacunek tak głęboki, jak ten inspirowany insygniami i rangą.

Podobnie jak pani Łagowska, hrabina Bnińska chciała podążyć za mężem na wygnanie; pomimo wszelkich wysiłków podejmowanych przez jej ojca, najbogatszego właściciela ziemskiego na Podolu, który obawiał się, że surowość syberyjskiego klimatu zaszkodzi jej słabnącemu zdrowiu. Obawy starca były aż nadto uzasadnione. Podczas strasznej podróży ta odważna kobieta, która dotychczas żyła w luksusach, zaraziła się chorobą, która ją pokonała. Po odbyciu najcięższego okresu kary Bniński mógł zamieszkać w wiosce obok kopalni.

Dom Bnińskich stał się miejscem spotkań wszystkich zesłańców zasłużonych i utalentowanych, biegłych w jakiejś sztuce lub jakiejś nauce. W otoczeniu tej żywej, wesołej i wysoce kulturalnej kobiety, zapominało się o swoich nieszczęściach. Żadne cierpienie nie było jej obojętne, starała się ulżyć wszystkim nieszczęściom.

Jednak w krytej strzechą chacie doświadczono najcięższych niedostatków, ponieważ majątek rodziny został skonfiskowany, zgodnie z zapisem, że hrabina, wiedząc o zbrodni, za którą deportowano jej męża, nie wydała go. O tym rygorystycznym kroku poinformowano ją dopiero później. Mimo wszystko matka uśmiechała się do małego dziecka, które karmiła piersią.

#### **Roman Józef Nepomucen hr. Bniński z Łodzi h. Łódzia (1826–1912)**

Urodził się w dobrach Ostropolskich powiatu zawiehalskiego, guberni wołyńskiej, z ojca Hilarego i matki Izabeli z Dzierzków. Gimnazjum ukończył w Winnicy, a uniwersytet w Kijowie. Sprzedał zadłużone dziedzictwo Włodzimierzowi Szwejkowskiemu i utrzymywał się z kapitału. W przeddzień powstania poślubił Wacławę z Sobańskich, bogatą dziedziczkę z Ukrainy, gorącą patriotkę. Młodzi sprzedali majątek żony i wyposażyli pluton kawalerii do powstania.

Ciężko ranny pod Bułajem, między Malinkami a Pohrebyszczami został wzięty do niewoli 15 maja 1863 r. i skazany na karę śmierci, zamienioną na 20 lat katorgi. Do Usola przybył w 1865 r. Niewiele później dołączyła do niego żona. Po wyjeździe Oskierki i Gieysztora, pełnił obowiązki starosty usolskich wygnańców. W następstwie kilku kolejnych amnestii i starań rodziny Bnińskich i Wielopolskich, los ich się polepszył. Przenosili się kolejno do Irkucka, Tobolska, Astrachania, a wreszcie Chersonia i Odessy. Stamtąd pozwolono im wyjechać, bez prawa powrotu w granice imperium carskiego. Wyjechali na Śląsk pod Wrocław, a w roku 1873 przenieśli się do Krakowa. Ich dom był miejscem spotkań Sybiraków. Z okazji koronacji Mikołaja II, pozwolono im wrócić na Ukrainę. Bniński skorzystał z tego już po śmierci żony w 1899 r. Osiadł w jej rodzinnym majątku Wacławówce, gdzie zmarł 9 listopada 1912 r. Pochowany został w Pohrebyszczach.

#### **Hrabina Wacława Bnińska z domu Sobańska h. Junosza (1840–1889)**

Dziedziczka dóbr na Ukrainie. Córka Piotra Sobańskiego i Hortensji z Jełowickich. Po wyjściu za mąż za Romana Bnińskiego, zaangażowała się w organizację powstańczą. Finansowała umundurowanie i uzbrojenie plutonu żołnierzy powstańczych. Po skazaniu męża na 20 lat katorgi, podążyła za nim. Zakupiła w Usolu dom, gdzie zamieszkała wraz z mężem. Na parterze mieszkał Józef Kalinowski, nauczyciel ich dzieci.

Po amnestii w 1868 r. pozwolono im przenieść się do Irkucka. Na skutek denuncjacji powołana została przed oblicze Komisji Śledczej w Kijowie. Oskarżono ją o współdziałanie z mężem. Podróż do Kijowa uniknęła dzięki życzliwości mieszkańców Irkucka oraz miejscowych władz, które wydały o niej



jak najlepszą opinię. Wyrażono zgodę, aby na przygotowane pytania urzędowe odpowiadała w Irkucku, jako osoba chora. W Irkucka Bnińska została uwolniona od zarzutu, a jej majątek na Ukrainie ocalał od konfiskaty. Oddano ją jedynie pod nadzór policji. Sprowadzało się to do tego, że nie wolno jej było samodzielnie opuszczać mieszkania; po wyjściu z domu, towarzyszył jej krok w krok kozak buriackiego pochodzenia. Był to w Irkucku niecodzienny widok, ponieważ nikt z katorżników nie był już pilnowany. Dopiero Manifest Wierbołowski przerwał tę wlokącą się sprawę. W początkach lat 70. powróciła z mężem i córkami do kraju. Zmarła w 1889 r. w Krakowie.

## KAROL NOWAKOWSKI (17)



Nazwisko to, bogatego ziemianina wołyńskiego, było święte dla patriotów jeszcze przed naszą rewolucją.

W 1860 r. wokół figury Matki Boskiej na jednej z głównych ulic Warszawy, Krakowskim Przedmieściu, zgromadziły się liczne rzesze Polaków, modląc się i śpiewając litanie w intencji wyzwolenia Polski, gdy nagle zostali otoczeni przez oddział Kozaków. Nowakowski wbiegł do sąsiedniego kościoła, chwycił obraz Ukrzyżowanego, wyniósł go, pobiegł do figury Matki Boskiej i zaklinał tłum:

„– Umrzyjmy za naszą ojczyznę, tak jak Chrystus umarł na krzyżu. Nie możemy już dłużej znosić jarzma niewoli!”.

Ludzie stłoczyli się wokół niego.

„– Ognia!” – krzyknął kapitan kozacki.

Kule zabiły pięciu patriotów i wielu raniły; Nowakowski został aresztowany i wywieziony do Koływanina, miasta w zachodniej Syberii.

Kiedy wybuchła rewolucja, udało mu się uciec i przyłączyć do bojowników.

Wzięty do niewoli, skazany na karę więzienia i, choć ranny, zesłany do kopalń.

Nie mniej patriotyczny od Karola był Wacław, jego jedyny brat, mnich z zakonu kapucynów, który też zaciągnął się do Powstania i również został skazany, ale na łagodniejszą karę. W drodze na Syberię oba konwoje się spotkały. Wacław nie mógł znieść myśli, że jego ukochany Karol, już wyczerpany ranami i cierpieniem, nie będzie w stanie przeżyć surowego reżimu nałożonego na skazańców. Błagał go tak usilnie, że wygrał swoją sprawę i kiedy dwa konwoje ruszyły ponownie, Wacław zajął miejsce wśród skazańców, a Karol wśród prostych zesłańców.

Nie jest jasne, w jaki sposób tajemnica wyszła na jaw. Jednak nagle Karola wyrwano z łóżka, zakuto w kajdany i zabrano do Irkucka na konfrontację z Wacławem, którego wyciągnięto z jego kopalni. Stało się to w nocy. Wacław wyczerpany nie panował już nad sobą. Widząc brata rzucił mu się w ramiona i zawołał:

„Drogi Karolu, wreszcie znowu cię widzę!”.

To mimowolne wyznanie było wystarczającym dowodem, że dokonano podmiany. Ręce i nogi Karola zostały zakute w kajdany i wtrącono go do więzienia; skąd przewieziono do szpitala miejskiego, gdzie wkrótce zmarł.

Na cmentarzu w Irkucku, na Górze Jerozolimskiej, wysoki, krwistoczerwony krzyż bez napisu oznacza grób człowieka, który w Warszawie chciał umrzeć wsparty na krzyżu.

### Karol Nowakowski (1833–1867)

Urodzony w Korytówce na Wołyniu, w rodzinie ziemiańskiej. Studiował malarstwo w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Czołowy działacz warszawskiej konspiracji niepodległościowej, organizator manifestacji patriotycznych w 1860 i 1861 r. Aresztowany po masakrze manifestacji 8 czerwca 1861 r. na placu Zamkowym, gdy niósł krzyż, był więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej skazany na zesłanie: dziesięć lat katorgi w Krasnojarsku. Na wieść o wybuchu Powstania Styczniowego zbiegł z więzienia i walczył w oddziałach powstańczych na Ukrainie. Ranny w potyczce pod Borodianką został wzięty do niewoli i ponownie skazany na katorgę. Podczas transportu, spotkał w więzieniu stryjecznego brata Edwarda, kapucyńskiego kleryka. Ten widząc jego zły stan zdrowia, zamienił się z nim dokumentami i ubraniem. Dzięki temu Karol trafił do Tunki, gdzie władze koncentrowały wielu zesłanych duchownych. Sprawa zamiany wyszła na jaw przy okazji śledztwa w sprawie Powstania Zabajkalskiego. Dlatego w 1866 r. Karol został sprowadzony do Irkucka na przesłuchanie. Zaraził się tyfusem i zmarł w Irkucku w kwietniu 1867 r. Na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie znajduje się symboliczny grób ufundowany dziadkowi przez wnuka Karola Nowakowskiego, z wykształcenia architekta.

### CZERNYSZEWSKI (10)



W 1862 roku Nikołaj Gawriłowicz Czernyszewski był jednym z najbardziej cenionych inspiratorów rosyjskiej młodzieży. Wydawszy się kłopotliwy dla przywódców polityki imperialnej, został aresztowany pod zarzutem wystosowania „apelu do chłopów” i prowadzenia korespondencji ze znamienitym Aleksandrem Herzenem, wydawcą „Kołokoła” („Dzwon”), który schronił się w Londynie i którego rewelacje na temat dworskich praktyk i intryg zdyskredytowały niektórych ministrów carskich.

Został osądzony przez Senat, który nie mógł znaleźć żadnych istotnych dowodów przeciwko niemu, ale skazał go na kilka lat katorgi i wieczystą banicję na Syberię z powodu wyrotowych tendencji jego pism. Było to tym bardziej niesprawiedliwe, że wszystkie obciążające artykuły ukazały się z pieczęcią oficjalnej cenzury.

Podczas długiego śledztwa w jego procesie nie pozwolono mu napisać ani jednego artykułu politycznego lub socjologicznego dla pisma „Sowriemiennik”, którego był redaktorem, ale nie zabroniono mu pisania powieści.

W swojej celi napisał dzieło zatytułowane *Co robić?*, które stało się rodzajem nihilistycznej ewangelii i zapoczątkowało ruch, który sprawił, że tak wielu młodych mężczyzn i młodych kobiet „wyszło do ludu”, a ich poświęcenie, a czasem heroiczne męczeństwo, wzbudziło podziw cywilizowanego świata.

Po przybyciu na Syberię Czernyszewski był przetrzymywany w ścisłej izolacji, ponieważ władze obawiały się, że sympatia miasta Irkuck, którego zesłańcy byli tematem rozmów, przełoży się na owacje, jak to miało miejsce w przypadku słynnego poety Michajłowa.

Dlatego pisarza nie zatrzymano w kopalniach soli w Usolii, ale zesłano do kopalni srebra w Zakładzie Aleksandrowskim. Kiedy lata katorgi dobiegły końca, został deportowany jeszcze dalej, do Wilujka, gdzie wegetował w odosobnionej chacie krytej strzechą, nie mając innego towarzystwa niż jego strażnicy.



Podjęto kilka romantycznych prób uwolnienia go, ale udało się tylko sprawić, że jego niewola stała się jeszcze ściślejsza i bardziej bolesna.

Międzynarodowy Kongres Literacki skierował wówczas do cesarza petycję, w następstwie której po dwudziestu latach wygnania opuścił Syberię i został internowany w odległym Astrachaniu.

Złamany na ciele i duchu, marniał tam przez kolejne sześć lat, a w 1889 r. pozwolono mu umrzeć w rodzinnym Saratowie.

### Mikołaj Czernyszewski (1828–1889)

Urodził się w Saratowie. Ukończył Uniwersytet w Petersburgu. Pracował jako nauczyciel gimnazjum w Saratowie. W 1853 r. wyjechał do Petersburga, gdzie obronił pracę naukową pt. *Estetyczny stosunek do rzeczywistości*. Współpracował z pismem „Sowremiennik”. Aresztowany w 1862 r. za przygotowanie programu wyzwolenia chłopów, wydanie odezwy do włościan i korespondencję z Aleksandrem Hercenem.

Czernyszewski głosił ideę wolnego człowieka. Popierał walkę narodowo-wyzwoleńczą Polaków. Utrzymując kontakt z przywódcami obozu czerwonych, miał wpływ na program tego ugrupowania. Współpracował z Zygmuntem Sierakowskim, Jarosławem Dąbrowskim i Zygmuntem Padlewskim. Aresztowany w 1862 r. został osadzony w twierdzy Pietropawłowskiej w Petersburgu, gdzie napisał książkę o polskich zesłańcach pt. *Co robić?* W 1864 r. został skazany na siedem lat katorgi w kopalniach nerczyńskich i dożywotnie osiedlenie na Syberii. W 1883 przeniesiono go do Astrachania. Dzięki staraniom rodziny w 1889 r. wrócił do Saratowa, gdzie jesienią tego roku zmarł.

### HRABIOWIE MIECZYŚLAW I MICHAŁ WIELOHORSKI (3 i 2)



Naczelnik zakładu karnego zgotował braciom Wielohorskim powitanie, które pamiętamy do dziś. Konwój przybył bardzo późno w nocy. Gdy tylko więźniowie zmrużyli powieki, strażnik Izmailka, zgodnie ze swoim zwyczajem, zrzucił ich z desek służących za łóżka i wysłał na plac apelowy. Tam zostali solidnie okuci i o piątej rano wysłani do ciężkiej pracy.

Upał był nie do zniesienia, ponieważ lata choć bardzo krótkie, są na Syberii bardzo gorące. W towarzystwie skazańców obojga płci rozładowaliśmy dużą barękę załadowaną wapnem i zanieśliśmy ładunek do magazynu na samym szczycie wzgórza. Deszcz wsiąkał w wapno przez luźne deski, a żrący pył przedostawał się przez wszystkie wierzeje. Nasze oczy i uszy krwawiły, a wielu naszych towarzyszy chwiało się pod ciężarem.

O trzeciej po południu przybył gubernator, powitał nowoprzybyłych, podszedł do nich i raczył zapytać o ich zdrowie. Zachęcenі tą troskliwością, Wielohorscy poprosili o skrócenie dnia pracy, aby mogli trochę odpocząć. Zgodnie z przepisami, przybysze mieli trzy dni na odpoczynek po męczącej podróży.

„– Zaiste, macie do tego prawo” – powiedział gubernator.

Następnie, zwracając się do strażnika, powiedział:

„– Nie wpuszczaj politycznych do koszar, dopóki barka nie zostanie całkowicie opróżniona”.

Pospolici przestępcy wrócili o szóstej, a my musieliśmy harować całą noc; świt zastał nas jeszcze przy pracy.

Mieczysław był dręczony bardziej niż inni, prawdopodobnie dlatego, że z większą dumą znosił znęcanie się. On i inny towarzysz Rozmanit wzbudzili szczególną nienawiść jednego z naszych najokrutniejszych nadzorców, bardzo gorliwego sługi kozackiego namiestnika.

Zwłaszcza Rozmanit zmuszony był dzień i noc do najcięższych prac, pozbawiony pożywienia, przykuty najcięższymi żelaznymi łańcuchami, które raniły jego ciało; w końcu został wrzucony do lochu zwanego „czarną dziurą”. Połowę głowy miał ogoloną jak kryminalista. Jego skronie przedwcześnie posiwiały, jego zdrowie zostało całkowicie podkopane, ale niezłomny duch, który go ożywiał, nigdy nie ugiął się pod jarzmem.

#### **Michał hr. Wielhorski h. Kierdeja (1837–1888)**

Michał Wielhorski – ziemianin z Inflant, z bogatej rodziny właścicieli ziemskich. Skazany za udział w Powstaniu Styczniowym na dożywotnią katorgę do Usola. Aby złagodzić wyrok, pojechała z nim cała rodzina. Po amnestii w 1866 r. zamieniono mu karę na osiedlenie. Prowadził gospodarstwo rolne i zajmował się produkcją świec w Irkucku.

Obu braciom nie pozwalano zdejmować kajdan nawet na noc za to, że mimo najokrutniejszych kar stosowanych wobec nich, nie prosili o łaskę, znosząc razy z wyniosłością godną ich rodu. Po drugiej amnestii w 1868 r. i wielu staraniach rodziny pozostałej w kraju, bracia powrócili z zesłania w 1869 r. Nie wolno im było jednak mieszkać w granicach Cesarstwa Rosyjskiego.

#### **Mieczysław hr. Wielhorski h. Kierdeja (1849–1903)**

Brat Michała, podobnie jak on, również skazany na katorgę za udział w Powstaniu Styczniowym i skierowany do pracy w Usolu w miejscowych warzelniach soli. Po przybyciu do Usola przez dwa lata wykonywał najcięższe prace na placu przy ładowaniu wapna i soli. Dzięki amnestii powrócił z Rosji w 1869 r. Ze względu na zakaz zamieszkania w granicach Cesarstwa Rosyjskiego, osiedlił się w Galicji.

#### **JAKUB GIEYSZTOR (13)**

Jakub Gieysztor, litewski szlachcic, studiował na Uniwersytecie Moskiewskim. Był bardzo przywiązany do Kościoła katolickiego, podobnie jak cała jego rodzina, ale nie był ani fanatyczny, ani nietolerancyjny. Zawsze ubolewał nad błędami polityki papieskiej, które doprowadziły do zniesienia zakonu bazylianów i eksterminacji unitów.



Litewska szlachta mianowała go przewodniczącym komitetów wyzwolenia chłopów. Pełniąc tę funkcję, oddał usługi, które przyniosły mu uznanie cesarza, ale nie uchroniły go przed skazaniem na śmierć za udział w powstaniu polskim.

Chciał zapobiec konfiskacie swojego majątku i popadnięciu dzieci w biedę, podpisując fikcyjny weksel za żonę, ale jego sumienie nie pozwoliło mu na taki krok.

Jego życie zostało ocalone dzięki bezpośredniej interwencji Aleksandra II, który darzył go wielkim szacunkiem i bardzo się nim interesował.



Murawjow, generalny gubernator Litwy, wielce okrutny człowiek, był szczęśliwy, mogąc przewodniczyć wykonaniu wyroków śmierci; jakakolwiek łaska była dla niego nieprzyjemna, więc często udawał, że nie otrzymał na czas rozkazu cara ułaskawiającego skazanego.

Dlatego Aleksander, który znał Murawjowa, nie przesłał mu żadnej wiadomości, lecz wysłał swojego adiutanta, który przyniósł formalny rozkaz oszczędzenia Gieysztor.

Wysłany do kopalni, pozostał najlepszym z towarzyszy, człowiekiem o hojnym i miłosiernym sercu, jakim zawsze był.

### **Jakub Konstanty Wilhelm Gieysztor z Giejsztorów h. Gieysztor (1827–1897)**

Urodzony w Medyszkach w powiecie kowieńskim na Litwie, w rodzinie ziemiańskiej, jako syn prezeasa Sądów Ziemskich i Leokadii z Zawiszów. Rodziców stracił w dzieciństwie. Po ukończeniu uniwersytetu w Petersburgu gospodarował w swoich dobrach, działając jednocześnie w ziemiańskich organizacjach samorządowych. Jako pierwszy w okolicy wprowadził oczynszowanie chłopów. Uczestnik Powstania Styczniowego, w czasie którego był prezesem Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy, kierującego powstaniem na Litwie. Wskutek denuncjacji marszałka gubernialnego Wilna A. Domeyki został aresztowany, skazany na 12 lat katorgi i wysłany do Usola w guberni irkuckiej do pracy w warzelniach soli. W kraju pozostawił czworo dzieci i żonę, która zmarła w 1877 r. W 1866 r. został wybrany starostą przez skazańców politycznych Usola. Po amnestii w 1868, zamieniono mu katorgę na zesłanie, pozwolono zdjąć kajdany i zamieszkać w Irkucku – gdzie zajmował się handlem obuwem – a następnie przeniósł się do Wiatki. W 1872 r. powrócił do kraju. Zamieszkał najpierw w Suwałkach, a od roku 1880 w Warszawie, gdzie od 1882 prowadził księgarnię antykwaryczną pod szyldem firmy jednego ze swoich synów. Był kolekcjonerem starodruków, map, autografów itp. Opracował 15 katalogów własnych zbiorów. Przed śmiercią sprzedał dwie kolekcje zbiorów. Jedną Józefowi Weyssrnhoffowi, a drugą Przeździeckiemu. Zmarł w Warszawie w 1897 r. i został pochowany na Powązkach. Po jego śmierci druga żona sprzedała pozostałe kolekcje hrabiemu Branickiemu. Gieysztor pozostawił obszerne pamiętniki, które są cennym źródłem dziejów zesłańców z lat 1857–1865.

### **PESZYŃSKI (21)**

Był zamożnym dżentelmenem z Ukrainy. Zaciągnął się do powstania 1863 roku wraz z synami, z których wszyscy zginęli w walkach, z wyjątkiem jednego, który pokryty ranami został wzięty do niewoli i zesłany ze starym ojcem.



**CZEKANOWSKI (28)**

Czekanowski, uczony polski profesor, studiował geologię nawet na emigracji, gdzie dzięki interwencji kilku towarzystw naukowych, zarówno z Rosji, jak i zagranicą, uzyskał pewną swobodę poruszania się.

Z etnograficznego punktu widzenia badał północną Syberię; odbył wyprawę do Eskimosów. Samotnie, z psem, bez żadnych środków, więc możemy ocenić, jaką nieustraszoną musiał się wykazać. W tych opuszczonych rejonach miał za towarzystwo jedynie swego wiernego przyjaciela, obciążonego małym bagażem i kilkoma niezbędnymi narzędziami.

Koniec tej wyprawy, będącej ukoronowaniem jego twórczości, podczas której tak bardzo cierpiał z powodu zimna i głodu, dopełnił jego ponad dwudziestoletnie wygnanie. W 1886 r. został wezwany do Petersburga, aby zdać relację ze swoich poszukiwań. Wyruszył w podróż i przybywszy, stawiał się przed Towarzystwem Geograficznym, które obsypało go pochwałami.

Nieszczęśnik myślał, że w zamian za zasługi oddane nauce odzyska wolność. Ale Aleksander II, choć miał życzliwy charakter, jak wszyscy Romanowowie, nie był w stanie nigdy przebaczyć człowiekowi, który kiedyś wzbudził jego gniew.

Następnego dnia po konferencji Czekanowski otrzymał rozkaz jak najszybszego powrotu na miejsce deportacji. Wierzył, że może poprosić o hojną interwencję u wielkiego księcia Konstantego, prezesa Towarzystwa Geograficznego, który interweniował już na jego korzyść. Ale Czekanowskiemu powiedziano, że jeśli nie wyjedzie w ciągu dwudziestu czterech godzin, zostanie odesłany do więzienia w kajdanach...

Wolał rozwalić sobie mózg.

**Aleksander Czekanowski (1833–1876)**

Urodzony w Krzemieńcu na Wołyniu. Matka Joanna z Gastellów wcześniej go osierociła. Podróżnik i geolog, badacz Syberii. Studiował medycynę na Uniwersytecie Kijowskim i mineralogię w Dorpacie. Po ukończeniu studiów pracował nad zbiorami uniwersytetu w Kijowie. Był zaangażowany w działalność niepodległościową, a w jego mieszkaniu gromadziła się elita młodzieży konspiracyjnej. Tu poznał Benedykta Dybrowskiego. Za udział w przygotowaniu Powstania Styczniowego został skazany w 1863 r. na katorgę, którą odbywał w Czycie na Zabajkalu, a następnie w Bratskim Ostrogu nad Angarą. Już w czasie podróży etapami gromadził zbiory. Na miejscu zajmował się geologią tamtych stron. W 1868 zamieniono mu katorgę na zesłanie i przeniesiono do Irkucka, gdzie podjął pracę w syberyjskim oddziale Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. W latach 1869–1875 prowadził badania geologiczne w guberni irkuckiej, zorganizował też trzy ekspedycje naukowe na Wyżynę Syberyjską wzdłuż rzek Dolna Tunguzka, Oleniok i Lena, przebywając w ciągu trzech lat 25 tys. kilometrów. Oprócz badań geologicznych i geomorfologicznych kolekcjonował też okazy zoologiczne i botaniczne. Zebrał 31 tys. okazów skamielin, roślin i owadów; z ogromną sympatią wypowiadając się o Tungusach, którzy pomagali mu w opisywaniu obiektów. Sporządził szereg map geologicznych badanych rejonów. W 1870 r. za swoje badanie otrzymał złoty medal Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, zaś w 1875 złoty medal Międzynarodowego Kongresu Geograficznego w Paryżu. W 1876 r. otrzymał zezwolenie na przyjazd do Petersburga, gdzie podjął pracę w Muzeum Geologicznym, opracowując m.in. swoje zbiory. Zmarł w Petersburgu w 1876 r. śmiercią samobójczą, gdy po trzeciej udanej wyprawie nie pozwolono mu na powrót do ojczyzny. Po jego



śmierci inni uczeni kontynuowali prace badawcze nad jego zbiorami. W uznaniu zasług, jego nazwiskiem nazwano pasma górskie nieopodal brzegu Morza Arktycznego oraz jeden ze szczytów w nadbajkalskim masywie Chamar-Daban.

### KSIĄŻĘ KAISSAK (20)

Nasz towarzysz był ostatnim wodzem turańskiego plemienia Buchara, który za złożenie skargi został pozbawiony wszystkiego, co posiadał i wysłany do kopalni. Podziwialiśmy orientalny stoicyzm, z jakim aż do śmierci znosił swoje nieszczęście. Nic nigdy nie zmąciło jego spokoju i nigdy nie wypowiedział słów:

„Tak chciał Allah”.



### SZASZKOW (5)

Wśród wpływowych umysłów, które wprowadziły Rosjan w idee nowoczesnego postępu, należy wymienić Serafima Serafimowicza Szaszkowa, autora licznych artykułów polityczno-społecznych, wśród których były: *Rosyjskie kobiety*, *Prostytucja*, *Materiały do historii kobiet i pańszczyzny w południowej Rosji*.

W swoich pracach ukazywał korupcję i sprzedajność urzędników cesarskich. Za tę zbrodnię został zesłany na Syberię, ale tylko jako więzień, a nie jako skazaniec. Wysłano go na skrajną północ koło Archangielska, gdzie jego zdrowie wkrótce bardzo się pogorszyło. Po kilku latach, dzięki opiece kilku pań, które cieszyły się wielkimi wpływami na dworze, został wysłany do Nowogrodu i w rezultacie uzyskał pełne ułaskawienie.

To szczęście przyszło do niego za późno, gdyż jak to często bywa w takich przypadkach, cierpienia wyczerpały zdrowie uwalnianego i nieszczęśnik umarł w wieku lat najwyżej czterdziestu, spędzając prawie połowę życia na wygnaniu i w więzieniu.

Cierpienie odcisnęło swoje piętno na ciele, ale umysł pozostał jasny i silny. Jeszcze na dzień przed śmiercią, nie mogąc już mówić, gestem poprosił o podanie ołówka i drżąca ręką skreślił swoją ostatnią myśl: „Wolność dla Rosji, co za szczęście!”.



### Serafin Serafinowicz Szaszkow (1841–1882)

Rosjanin urodzony w Irkucku, gdzie studiował w okręgowej szkole teologicznej, a następnie w latach 1854–1860 w Seminarium Teologicznym. Od 1858 r. współpracował z lokalnymi czasopismami i publikował opracowanie dotyczące etnografii Buriatów. Pod koniec seminarium, jako jeden z najlepszych absolwentów, został wysłany na koszt rządu do Kazańskiej Akademii Teologicznej, ale wydalono go stamtąd za odprawienie nabożeństwa żałobnego w intencji ofiar zamieszek we wsi Bezdna w 1861 r. Pojechał do Petersburga, gdzie publikował dzieła poświęcone Syberii i emancypacji kobiet. W 1863 powrócił na Syberię i osiadł w Krasnojarsku, gdzie uczył historii w miejscowym gimnazjum. Za publikacje

i wykłady dotyczące Syberii, w których krytycznie odnosił się do carskiego samodzierżawia, oskarżony o „separatyzm syberyjski” został aresztowany w Krasnojarsku i wywieziony do Omska. W trakcie śledztwa nie przyznał się do winy. Twierdził, że wykłady opierały się na artykule z 1862 r., który przeszedł cenzurę. Uznany za winnego w latach 1868–1873 pracował na wygnaniu w Usolu, a następnie w Szenkursku koło Archangielska. Opanował trzy języki. Ze względu na zdrowie pozwolono mu przenieść się najpierw do miasta Bobrów w obwodzie woroneskim, a następnie bezpośrednio do Woroneża, zachowując dozór policyjny, który zniesiono w czerwcu 1874 r. Ponieważ zakazano mu mieszkać w „stolicach”, osiadł w Nowogrodzie, gdzie przebywał aż do śmierci. Z powodu paraliżu nóg, którego nabawił się na zesłaniu, ostatnie lata spędził w łóżku pisząc.

## SZCZAPOW (12)

Afanazy Szczapow urodził się w Andze, wiosce położonej nad brzegiem Leny, rzeki we wschodniej Syberii, w częściowo jakuckiej rodzinie. Jako dziecko zakrystiana został bezpłatnie przyjęty do seminarium duchownego w Irkucku, gdzie panował łagodny reżim. W każdą sobotę, podobnie jak jego koledzy z klasy, był rozciągany na ławce i poddawany surowej chłości, nie jako kara za jakiegokolwiek przewinienie, ale jako zabieg higieniczny i moralny środek zapobiegawczy. Uczniowie spali w wilgotnych pomieszczeniach, w dusznej atmosferze, na słomie, która od dawna już nie była niczym więcej niż nawozem. Te szczegóły, o których dowiedziałem się od samego Szczapowa, nie są w żaden sposób przesadzone; były one często opisywane i powtarzane, do tego stopnia, że określenie „Bursak” lub „Bursiak” stało się w Rosji przysłowiowe. Z czasem, przede wszystkim dzięki wielkiemu talentowi, awansował do Kazańskiej Szkoły Teologicznej, gdzie uzyskał stopnie naukowe i został wykładowcą. Nigdy jednak nie stracił kontaktu z ludem i starał się zainteresować młodych duchownych cierpieniami chłopów pańszczyźnianych. W 1860 r. Szczapow został mianowany profesorem historii na uniwersytecie w Kazaniu.



Jego wykład wprowadzający był wydarzeniem. To było objawienie dla studentów, którzy wyobrażali sobie, że historia Rosji to tylko seria cesarskich aktów i edyktów, objawieniem było odkrycie, że pod oficjalną pompą i paradą kryje się naród rosyjski, nieszczęsna rzesza.

Przez salę przebiegł dreszcz, jak po porażeniu prądem.

Wszyscy wstali, aby podejść do nowego proroka, który pod wpływem ogólnego wrażenia nie był w stanie dokończyć przemówienia, wybuchnął płaczem i prawie zemdłał. Publiczność pozostała nieruchoma przez kilka chwil, po czym zaczęła bić brawo. Od tego dnia Szczapow był najpopularniejszym człowiekiem w Kazaniu, idolem studentów. Kiedy nadchodził czas jego lekcji, pozostali nauczyciele nie mieli już słuchaczy.

Długo oczekiwany manifest z 19 lutego ogłosił emancypację chłopów pańszczyźnianych. Podobnie jak wielu innych, chłopci ze wsi Bezdna w prowincji kazańskiej nie mogli uwierzyć, że będą musieli pozostać niewolnikami przez kolejne dwa lata i zapłacić za wykup własnej ziemi. Wierząc, że cesarska proklamacja jest oszustwem ze strony szlachty i rządzących, domagali się wolności, prawdziwej wolności, takiej, jakiej z pewnością chciał car. Aby im to wyperswadować, użyto broni, kilkuset nieszczęśników zginęło od



kul, a prowodyr, Anton Petrow, został skazany na śmierć i stracony. A Szczapow, za krytykę tych doraźnych egzekucji, został zdymisjonowany i wysłany pod eskortą do Petersburga.

Wałujew, minister spraw wewnętrznych, człowiek liberalny, był łaskawy dla entuzjastycznego profesora i nawet dał mu stanowisko w administracji.

Ale Szczapow nienawidził wszystkiego, co przypominało biurokrację, plagę Rosji.

Zrezygnował więc z wysoko opłacanej posady i zajął się literaturą.

Jest autorem takich dzieł, jak: *Kraj i dysydenci*, *Pochodzenie sekt rosyjskich*, *Szkice o przesądach ludowych*, *Historia rozwoju intelektualnego narodu rosyjskiego*.

Ten ostatni powstał na Syberii.

Ale gnany żalem, dręczony chorobą, zaczął pić, a pod wpływem alkoholu stawał się straszny jak byk rozwścieczony na widok skrawka czerwonego materiału. Raz rzucił się na mundurowego, zrywając jego odznaczenia i dystynkcje.

Za to przestępstwo, którego się dopuścił, został zesłany do Irkucka.

Olga Żemczużnikowa, zagorzała wielbicielka Szczapowa, swoim oddaniem postanowiła złagodzić trudy jego wygnania. Wyszła za niego za mąż i wyjechała razem z nim. Wdzięczność i miłość uleczyły nieszczęsnego pisarza, a małżonkowie dzielnie walczyli o swoje życie i idee.

Szczapow był niestrudzonym pracownikiem, ale pomimo całej swojej aktywności nie był w stanie poczynić żadnych postępów, ponieważ został pozbawiony dokumentów niezbędnych do jakiegokolwiek poważnej pracy.

Ogromna odległość i powolność komunikacji wytrąciły go z nurtu współczesnej myśli i sprawiły, że stracił kontakt z pismami petersburskimi. Nie mógł już w nich publikować. A materialne ubóstwo potęgowało cierpienie jego izolacji.

Dopóki dzielna pani Szczapow była w stanie udzielać lekcji, sytuacja nie była rozpaczliwa. Ale ta oddana kobieta zachorowała; mąż opiekował się nią z czułością przez cały czas trwania choroby.

Zmarła w 1874 r.

Na jej pogrzebie stało się jasne, jak wielkim szacunkiem ludzie darzyli tę dzielną istotę. Zaznaczyła miejsce swojego grobu na słonecznym wzgórzu. Szczapow chciał wygłosić mowę pogrzebową. Nikt nigdy nie słyszał nic bardziej poruszającego. Nie był jednak w stanie skończyć, a jego głos utonął w szlochu, zemdlał i wpadł do otwartego grobu.

Pozbawiony odtąd swego Anioła Stróża i nie chcąc być pocieszanym, szukał zapomnienia i znów zaczął pić. – Jego zdrowie całkowicie podupało i w kwietniu 1876 r. został pochowany obok swojej partnerki.

### **Afanasij Prokopowicz Szczapow (1831–1876)**

Urodzony w rodzinie rosyjskiego kościelnego wiejskiego i wieśniaczki Buriackiej lub Tunguskiej, historyk, profesor uniwersytetu w Kazaniu. W 1841 r. jako uczeń państwowy wstąpił do Parafialnej Szkoły Teologicznej Obwodu Irkuckiego. W 1846 r. za dobre wyniki w nauce został przeniesiony do Irkuckiego Seminarium Teologicznego. W 1852 ukończył seminarium duchowne i wstąpił do Kazańskiej Akademii Teologicznej. Był aktywnym uczestnikiem lokalnej społeczności syberyjskiej. W 1857 r. ukończył akademię i pozostał na uczelni jako adiunkt. W 1861 r. został profesorem na Wydziale Historii Rosji Cesarского Uniwersytetu w Kazaniu. 16 kwietnia 1861 r. wziął udział w nabożeństwie żałobnym za chłopów

wsi Bezdna, którzy zginęli w czasie zamieszek wywołanych zniesieniem pańszczyzny, a także wygłosił ku ich pamięci przemówienie, za co został aresztowany. W trakcie śledztwa napisał apele do cesarza Aleksandra II zawierające program reform. Został urzędnikiem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ponieważ zabroniono mu wykonywania pracy dydaktycznej, zaczął parać się dziennikarstwem i publikować. W 1862 r. został znów aresztowany tym razem w sprawie „propagandystów londyńskich”, czyli m.in. Aleksandra Hercena. Uznano go za niewinnego, ale aresztowanie zachwiało jego stanowiskiem. W 1863 r. poślubił Olgę Żemczużnikową, z którą został deportowany do Irkucka w celu rozliczenia administracyjnego. Tam nadal zajmował się dziennikarstwem, wygłaszał publiczne wykłady i został członkiem zarządu oddziału syberyjskiego Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. W 1865 r. został aresztowany i przewieziony do więzienia w Omsku w sprawie „Towarzystwa Niepodległości Syberii” za wiersz z 1861 r. Zesłany dożywotnio na Syberię, zmarł w Irkucku w 1876 r.

## **ZAJCZNIIEWSKI (15)**

O ile opinie niezatwierdzone i nietolerowane mogły krążyć jedynie w rękopisach lub w broszurach drukowanych za granicą, Zajczniewski, student Uniwersytetu w Petersburgu, zdobył urządzenie litograficzne, za pomocą którego powielał i rozpowszechniał pisma, które w ten sposób uniikały czarnej pieczęci cenzury.



Pisma te wychwalały polskie powstanie. Za to podwójne przestępstwo został zesłany do odległego Karapczańska.

Nieszczęśnik w dzikiej samotności odpokutował niewybaczalną dla Rosjanina zbrodnię sympatyzowania z polską sprawą.

Jednak młody człowiek na tyle się nie poprawił, że po zakończeniu wyroku popełnił, kto wie, jakie inne przestępstwo polityczne, co doprowadziło do zesłania go na Syberię na kolejne pięć lat.

## **Piotr Grigoriewicz Zajczniewski (1841–1896)**

Rosjanin urodzony w rodzinie emerytowanego pułkownika, ziemianina i szlachcica. W 1858 r. ukończył gimnazjum w Orle i wstąpił na Wydział Fizyki i Matematyki Uniwersytetu Moskiewskiego. Był jednym z organizatorów studenckiego ruchu rewolucyjnego w Rosji. Wydawał literaturę zakazaną i propagował idee rewolucyjne. Solidaryzował się z polskim ruchem narodowym. Organizował nabożeństwa w Moskwie za ofiary manifestacji warszawskich w lutym i kwietniu 1861 r. W lipcu 1861 został aresztowany i skazany za rozpowszechnianie zakazanej literatury i nawoływanie do obalenia monarchii. Skazany na dwa lata katorgi, a następnie przeniesiony na osiedlenie do Irkucka, gdzie przebywał do 1869. Ponownie aresztowany w 1889 i znowu zesłany do Irkucka, gdzie zmarł w 1896 r.



## SPIS ILUSTRACJI:

1. *Pożegnanie Europy*; olej, płótno; wym. 340 x 750 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1894; nr inw. M.680
2. *Pożegnanie Europy*. Fragmenty obrazu; olej, płótno; wym. 340 x 750 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1894; nr inw. M.680
3. *Pożegnanie Europy*. Fragmenty obrazu; olej, płótno; wym. 340 x 750 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1894; nr inw. M.680
4. *Pożegnanie Europy*. Fragmenty obrazu; olej, płótno; wym. 340 x 750 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1894; nr inw. M.680
5. *Studium pięciu głów męskich*; olej, płótno; wym. 65,5 x 77,5 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.644
6. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Dwóch mężczyzn i dwie kobiety z postaciami Anny Gudzińskiej i Peszyńskiego*; olej, płótno; wym. 82,5 x 67 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.655
7. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Portret własny, dr Trzaskowski, kobieta siedząca i szkic kobiety modlącej się*; olej, płótno; wym. 55 x 70 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.651
8. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Portret Czernyszewskiego, piszącego na kamieniu, dwóch kobiet – modlącej się i płaczącej*; olej, płótno; wym. 60 x 75 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.658
9. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Pani Łagowska*; olej, płótno; wym. 55,5 x 31 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.686
10. *Studium: ks. Kamiński, nostalgia, moskiewski kupiec*; olej, płótno; wym. 51 x 71 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.741
11. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Hr. Mieczysław Wielhorski, prof. Julian Kędrzycki, Aleksander Oskierko i inne studia*; olej, płótno; wym. 49 x 62 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.661
12. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Marznący i kozak rozbestwiony*; olej, płótno; wym. 54 x 69 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.735
13. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Studia z natury*; olej, płótno; wym. 50 x 94 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.740
14. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Desperat i zakatowana kobieta*; olej, płótno; wym. 49 x 75,5 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.663
15. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Majdański, marznący, portret Yoppe-Beya – księcia*; olej, płótno; wym. 99 x 44 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.727
16. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Kobieta rozpaczająca i mężczyzna modlący się*; olej, płótno; wym. 38 x 50 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1890–1894); nr inw. M.687
17. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Szkic katorznika ze swoją córką*; olej, płótno; wym. 38 x 50 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.688
18. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Matka z córką modlącą się (Rusinki)*; olej, płótno; wym. 44,5 x 53 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.698
19. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Szkic sotnika kozackiego i skażanka*; olej, płótno; wym. 44 x 56,5 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.699
20. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Rządowej i uniformy żołnierskie*; olej, płótno; wym. 52 x 40 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.731
21. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Szkice postaci zesłańców. M.in. Wańko Rozbójnik, kobieta, kobiety modlące się*; olej, płótno; wym. 74 x 60 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.646
22. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Prof. Czekanowski, książę Orłyński, kobieta modląca się, książę Kayssak*; olej, płótno; wym. 77 x 64 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.734
23. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Kobieta modląca się i żołnierz*; olej, płótno; wym. 43 x 52 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.730
24. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Różne studia do pani Gudzińskiej i głowa starca*; olej, płótno; wym. 43 x 74 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.742
25. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Autoportret z żołnierzem*; olej, płótno; wym. 58 x 42 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.668
26. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Różne studia i szkice*; olej, płótno; wym. 51,5 x 72 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.712
27. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Portret majdańskiego*; olej, płótno; wym. 67 x 39 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.671
28. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Towarzysz, żołnierz i kozak*; olej, płótno; wym. 49 x 71 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.724
29. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Mężczyzna, dziewczynka i pies*; olej, płótno; wym. 48 x 59 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.694
30. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Szkice więźniów z postacią Peszyńskiego*; olej, płótno; wym. 59 x 83 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.652
31. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Kobieta modląca się i szkic towarzysza (Jan Frankowski)*; olej, płótno; wym. 45 x 55 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.728

32. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Czerkies i portret Zajczniewskiego*; olej, płótno; wym. 61 x 49 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.729
33. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Dwóch kozaków*; olej, płótno; wym. 61 x 48 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.696
34. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Trzy kobiety, portret prof. Świdy, żołnierz*; olej, płótno; wym. 74 x 60 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.624
35. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Starzec i zesłaniec*; olej, płótno; wym. 50 x 39 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.623
36. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Mężczyźni, kobieta płacząca i modląca się*; olej, płótno; wym. 58 x 72 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.650
37. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Mężczyźni modlący się (po lewej Jan Frankowski)*; olej, płótno; wym. 59 x 83 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.659
38. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Trzy szkice wygnańców, między innymi księdza Kulczyckiego*; olej, płótno; wym. 44 x 75 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.711
39. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Dwóch towarzyszy z katorgi*; olej, płótno; wym. 45,5 x 99 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.714
40. Studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Trzy studia kobiece, jeden szkic męski, portret Eichmillera*; olej, płótno; wym. 50 x 94 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.739
41. Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Szkic kobiety z dwojgiem dzieci*; olej, płótno; wym. 41 x 56 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.685
42. Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Sobotnik Prokop z Czerwonej Rusi*; olej, płótno; wym. 40 x 77 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.736
43. Niewykorzystane studium do obrazu *Pożegnanie Europy. Modląca się kobieta*; olej, płótno; wym. 55 x 43,5 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.701
44. *Były obywatel Jamna*; olej, płótno; wym. 24,5 x 29,5 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.733
45. *Studium śpiącego skazańca*; olej, płótno; wym. 45 x 37,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.690
46. *Typ skazańca śpiącego*; olej, płótno; wym. 45 x 38 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.689
47. *Szkic bójki na dziedzińcu więziennym*; olej, płótno; wym. 44 x 36 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.702
48. *Gudzińska nad przerebłą (Z życia wygnańców na Sybir)*; olej, płótno; wym. 245 x 172 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1897; nr inw. M.681
49. Studia do obrazu *Gudzińska nad przerebłą. Pani Gudzińska*; olej, płótno; wym. 48 x 57 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.697
50. Szkic do obrazu *Gudzińska nad przerebłą. Trzy kobiety przy katorżniczych robotach*; olej, płótno; wym. 55 x 125 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.647
51. *Gudzińska w więzieniu*; olej, płótno; wym. 98 x 58 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.737
52. *Śmierć Gudzińskiej*; olej, płótno; wym. 129 x 66 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.638
53. Szkic do obrazu *Śmierć Gudzińskiej. Portret kobiety*; olej, płótno; wym. 60 x 68 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.710
54. *Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni*; olej, płótno; wym. 104 x 193 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (przed 1897); nr inw. M.677
55. Studium do obrazu *Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni. Studium trzech towarzyszy udających się do katorżniczej roboty*; olej, płótno; wym. 46 x 65 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.664
56. Studium do obrazu *Jutrznia. W drodze do katorgi. Poranek w kopalni. Szkic współtowarzysza z katorgi Jakuba Gięsztorza*; olej, płótno; wym. 77 x 40 cm; niesygn., niedat., (1890–1894); nr inw. M.667
57. *Wieczór. Zakuwanie w kajdany*; olej, płótno; wym. 114 x 206 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (przed 1897); nr inw. M.625
58. Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany. Dwa studia ubrań skazańców*; olej, płótno; wym. 45 x 84 cm; niesygn., niedat., (przed 1900); nr inw. M.713
59. Studium do obrazów: *Wieczór. Zakuwanie w kajdany. Studium Peszyńskiego i Pożegnanie Europy. Studium nóg Jana Frankowskiego*; olej, płótno; wym. 58 x 42 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.673
60. Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany. Kowal*; płótno; wym. 60 x 58 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.656
61. Studium do obrazu *Wieczór. Zakuwanie w kajdany. Dwa szkice głowy starca*; olej, płótno; wym. 45 x 62 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.672
62. *Śmierć na taczce*; olej, płótno; wym. 81 x 128 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.679
63. *Ostatnie taczki Cajżyka*; olej, płótno; wym. 35 x 52 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.622
64. *Odoczynek na taczkach*; olej, płótno; wym. 100 x 73 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.641
65. *Pożegnanie na zawsze*; olej, płótno; wym. 69 x 54,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.725
66. *Grupa zesłańców*; olej, płótno; wym. 92 x 68 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.643
67. *Głębocki z synem*; olej, płótno; wym. 92 x 67 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.716
68. *Rodzina zesłańców*; olej, płótno; wym. 99 x 59 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.717
69. *Na etapie*; olej, płótno; wym. 143 x 110 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.675
70. *Podpora starca*; olej, płótno; wym. 94,5 x 79 cm; niesygn., niedat., nr inw. M.633
71. *Dwa pokolenia*; olej, płótno; wym. 101 x 74 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.640
72. *Studium dwóch kobiet*; olej, płótno; wym. 62,5 x 69 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.708
73. *Scena z życia wygnańców*; olej, płótno; wym. 95 x 64 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.632
74. *Para młodych skazańców*; olej, płótno; wym. 91 x 79 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.738



75. *Smutna konieczność*; olej, płótno; wym. 74 x 62 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.723
76. *Katorżnik z córką*; olej, płótno; wym. 97 x 62 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.726
77. *Studium „Ach jak mi smutno”*; olej, płótno; wym. 88 x 62 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.715
78. *List z kraju*; olej, płótno; wym. 64 x 91 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.645
79. *List z kraju*; olej, płótno; wym. 95 x 65 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.642
80. *Portret katorżnika*; olej, płótno; wym. 125 x 80 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.634
81. *Starzec w kajdanach*; olej, płótno; wym. 96 x 66 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.639
82. *Kowal z młotem do zakuwania kajdan*; olej, płótno; wym. 70 x 52 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.648
83. *Studium do zaginionego obrazu Śmierć dr Maya. Ksiądz w katordze*; olej, płótno; wym. 64 x 52 cm; niesygn., niedat., (przed 1900); nr inw. M.653
84. *Studium księdza w katordze*; olej, płótno; wym. 70 x 57 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.709
85. *Ksiądz Kamiński*; olej, płótno; wym. 68 x 45,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.691
86. *Portret starej kobiety (Rusinki)*; olej, płótno; wym. 55 x 43,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.700
87. *Skazaniec*; olej, płótno; wym. 64,5 x 45 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.674
88. *Studium Karola Nowakowskiego*; olej, płótno; wym. 60 x 40 cm; niesygn., niedat., (przed 1890); nr inw. M.665
89. *Skazaniec*; olej, płótno; wym. 86 x 60 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.718
90. *Portret starca*; olej, płótno; wym. 68 x 47 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.703
91. *Portret katorżnika*; olej, płótno; wym. 67 x 46 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.706
92. *Portret starca*; olej, płótno; wym. 51 x 71 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.626
93. *Skazana na szubienicę / Studium kobiety z dzbanem*, prawdopodobnie portret Anny Gudzińskiej; olej, płótno; wym. 59 x 100 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.678
94. *Portret młodej wygnanki*; olej, płótno; wym. 69 x 52 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.649
95. *Portret wygnanki*; olej, płótno; wym. 77 x 53 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.693
96. *Studium młodej dziewczyny / Portret młodej wygnanki*; olej, płótno; wym. 68 x 50 cm; sygn. A. Sochaczewski, dat. 1897; nr inw. M.654
97. *Portret zesłanki*, prawdopodobnie Heleny Kirkorowej; olej, płótno; wym. 68 x 45 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.670
98. *Portret zesłanki Heleny Kirkorowej*; olej, płótno; wym. 50,2 x 38,2 cm; sygn. A. Sochaczew, dat. 1890; nr inw. M.592
99. *Portret zesłańca*; olej, płótno; wym. 46 x 34 cm; sygn. A. Soch., dat. 22 I 1885; nr inw. M.850
100. *Opowiadanie wesolej historyjki*; olej, płótno; wym. 46 x 32 cm; sygn. A. Soch., dat. 1889; nr inw. DepS.40
101. *Portret starca*; olej, płótno; wym. 74 x 60 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat.; nr inw. M.744
102. *Studium: Jaga Baba*; olej, płótno; wym. 61 x 49 cm; niesygn., niedat., (przed 1894); nr inw. M.662
103. *Studium staruszki modlącej się*; olej, płótno; wym. 56 x 47 cm; niesygn., niedat., (przed 1900); nr inw. M.669
104. *Portret kobiety*; olej, płótno; wym. 52 x 44 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.732
105. *Skazaniec wsparty na ręce*; olej, płótno; wym. 70 x 47 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.695
106. *Portret skazańca*; olej, płótno; wym. 67 x 53 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.692
107. *Skazaniec*; olej, płótno; wym. 68 x 46 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.705
108. *Portret starca*; olej, płótno; wym. 67 x 46,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.704
109. *Portret młodej kobiety*; olej, płótno; wym. 69 x 52,5 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.707
110. *Odoczynek uciekinierów*; olej, płótno; wym. 82 x 152 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1897; nr inw. M.627
111. *Wśród śnieżnej zameci*; olej, płótno; wym. 83 x 154 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1897; nr inw. M.637
112. *Ucieczka więźniów. Ofiary kruków*; olej, płótno; wym. 140 x 92 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.628
113. *Żer kruków*; olej, płótno; wym. 118 x 67 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.719
114. *Brodziaga*; olej, płótno; wym. 118 x 65 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.720
115. *Studium dwóch postaci*; olej, płótno; wym. 124 x 80 cm; niesygn., niedat.; nr inw. M.721
116. *Ucieczka. Osaczona ofiara*; olej, płótno; wym. 119 x 64 cm; niesygn., niedat., (przed 1890); nr inw. M.657
117. *Wśród śnieżnej pustyni*; olej, płótno; wym. 84,4 x 144 cm; niesygn., niedat., (przed 1897); nr inw. M.629
118. *Na Sybir*; węgiel, olej, płótno; wym. 89 x 133 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.630
119. *Wśród burzy. Na etapie w czasie śnieżycy*; olej, węgiel, płótno; wym. 100 x 132 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.660
120. *Scena z życia wygnańców*; olej, węgiel, płótno; wym. 100 x 134 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.682
121. *Kara słupa*; węgiel, olej, płótno; wym. 110 x 76 cm; sygn. Al. Sochaczewski, niedat., (1897); nr inw. M.631
122. *Kara chłosty*; olej, węgiel, płótno; wym. 136 x 89 cm; sygn. A. Sochaczewski, dat. 1898; nr inw. M.636
123. *Po zakończeniu kary chłosty*; olej, węgiel, płótno; wym. 100 x 136 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.743
124. *Kara chłosty*; olej, węgiel, płótno; wym. 98 x 132 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.722
125. *Więźniowie przy pracy*; olej, węgiel, płótno; wym. 100 x 135 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.683
126. *Scena więzienna*; olej, węgiel, płótno; wym. 100 x 136 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (1897–1898); nr inw. M.684
127. *Scena więzienna: spisany ze stanu żywych*; olej, węgiel, płótno; wym. 102 x 135 cm; sygn. Alex. Sochaczewski, dat. 1898; nr inw. M.635
128. *Apoteoza Polski zakuwanej w kajdany*; olej, płótno; wym. 76 x 180 cm; sygn. A. Sochaczewski, dat. 1904; nr inw. M.676
129. *Głowa starego mężczyzny*; papier, węgiel, ołówek; wym. 48 x 31,5 cm; sygn. A. Sochaczewski, niedat., (przed 1923); nr inw. Gr.3496
130. *Szkice głów wygnańców*; papier, węgiel, ołówek; wym. 52 x 92 cm; sygn. Al. Sochaczewski, niedat., (przed 1897); nr inw. Gr.3552

## Bibliografia:

- S. Artymowski, *Portret Heleny z Majewskich Kirkorowej, zesłanki syberyjskiej autorstwa Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Niepodległość i Pamięć” 23/1 (53), Warszawa 2016.
- H. Boczek, *Aleksander Sochaczewski (1843–1923): życie i twórczość*, [w:] „Niepodległość i Pamięć” 2/1 (2), Warszawa 1995.
- H. Boczek, B. Meller, *Aleksander Sochaczewski 1843–1923: malarz syberyjskiej katorgi: (życie, twórczość i dzieje kolekcji)*, Warszawa 1993.
- M. Chudzyński, *Aleksander Sochaczewski z Iłowa – malarz polskiego losu na Syberii*, [w:] „Notatki Płockie” 1/174, Płock 1998, s. 13–19.
- M. Chudzyński, *Aleksander Sochaczewski z Iłowa: malarz polskiego losu na Syberii*, [w:] „Rocznik Gostyniński”, t. 3, Gostynin 2012, s. 323–343.
- A. Czołowski, *Zbiór materiałów do biografii różnych osób*, Biblioteka Narodowa, Rękopis, Rps 5701 IV, s. 27–35.
- W. Kordowicz, *Aleksander Sochaczewski 1839–1923. Pamiętnik malarski Aleksandra Sochaczewskiego o polskich i rosyjskich zesłańcach na Syberię*, Warszawa 1960.
- W. Kordowicz, S. Lipiński, *Aleksander Sochaczewski 1839–1923. Pamiętnik malarski A. Sochaczewskiego o polskich i rosyjskich zesłańcach na Syberię*, Warszawa 1964.
- S. Król, *X Pawilon*, Warszawa 1965.
- A. Milewska-Młynik, *Nowele syberyjskie – klucz do poznania Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Kwartalnik Kresowy”, nr 3 (15), 2022, s. 159–165.
- A. Milewska-Młynik, *Syberyjskie obrazy Aleksandra Sochaczewskiego: prawdy i fikcje*, [w:] „Niepodległość i Pamięć” 21/1–2 (45–46), 2014, s. 73–94.
- B. Petrozolin-Skowrońska, *Przed tą nocą*, Warszawa 1988, s. 105.
- M. K. Piekarska, *Portret zesłańca – nowy nabytek autorstwa Aleksandra Sochaczewskiego w zbiorach Muzeum Niepodległości*, [w:] *Aleksander Sochaczewski i jego czasy*, Warszawa 2023, s. 91–101.
- B. Pokorska, *Aleksander Sochaczewski i jego malarski reportaż z zesłania*, [w:] „Zesłaniec”, nr 43, 2010, s. 19–40.
- A. Sochaczewski, *Figures d'exilés politiques: extraites du tableau d'Alexandre Sochaczewski : les exilés à la frontière de Sibirie*, Bruxelles: s.n., 1897.
- A. Sochaczewski, *List do Seweryna Böhma*, [w:] *Korespondencja Seweryna Böhma, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie z lat 1879–1899*, t. 5, Rękopis w Bibliotece Jagiellońskiej, s. 282–284.
- A. Sochaczewski, *Na Syberii: nowele politycznego zesłańca*, cz. 1, (tł. B. Siebat), [w:] „Kwartalnik Kresowy”, nr 3 (15), 2022, s. 167–198.
- A. Sochaczewski, *Na Syberii: nowele politycznego zesłańca*, cz. 2, (tł. B. Siebat), [w:] „Kwartalnik Kresowy”, nr 4 (16), 2022, s. 149–174.
- A. Sochaczewski, *Na Syberii: nowele politycznego zesłańca*, cz. 2, (tł. B. Siebat), [w:] „Kwartalnik Kresowy”, nr 1 (17), 2023, s. 207–248.
- K. Stołoska-Fuz, *Losy zesłańców syberyjskich w twórczości Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Rocznik Towarzystwa Naukowego Płockiego”, 2013 (5), s. 64–84.
- Sybir: wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Kraków 1900.
- Sybir: wystawa obrazów Aleksandra Sochaczewskiego*, Lwów 1900.
- M. Szczęsny-Mrówczyńska, *Pamiętnik malarski Aleksandra Sochaczewskiego*, [w:] „Wiedza i Życie”, 1996, nr 1, wkł. s. 1–5.



## Spis treści

<b>Tadeusz Skoczek</b> , <i>O Syberii pędzłem i piórem</i> – wprowadzenie .....	5
<b>Małgorzata Karolina Piekarska</b> , <i>Aleksander Sochaczewski</i> – <i>artysta w służbie umęczonego narodu</i> .....	7
<b>Anna Milewska-Młynik</b> , <i>Nowele syberyjskie – klucz do poznania</i> <i>Aleksandra Sochaczewskiego</i> .....	21
<b>Aleksander Sochaczewski</b> , <i>Na Syberii (nowele politycznego zesańca)</i> .....	27
<i>Nabożny mściciel</i> .....	29
<i>Śmiejący się Iwan</i> .....	40
<i>Poszukiwacze złota z Krasnojarska</i> .....	51
<i>Rodzina Strelnikowów</i> .....	58
<i>Palageja Fiedorowna</i> .....	69
<i>Zamaskowany</i> .....	74
<i>Oska</i> .....	82
<i>Album</i> .....	93
<i>Bohaterowie Pożegnania Europy</i> .....	225
Spis ilustracji .....	251
Bibliografia .....	254

Koordinacja pracy redakcyjnej  
**Małgorzata Karolina Piekarska, Janina Tomczyk**

Współpraca  
**Marzena Jaworska, Marta Litwin**

Promocja  
**Justyna Wszyńska**

Korekta  
**Małgorzata Strękowska-Zaremba**

**DTP**  
Zecer – Wojciech Jelonek

**Realizacja poligraficzna**  
Realhe.ro Konrad Fedorczyk

ISBN 978-83-67398-44-2  
Wydawnictwo Muzeum Niepodległości  
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)  
al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa  
wydawnictwo@muzn.pl  
tel. 22 826 90 91 w. 41

Nakład 500 egz.





**ŻYCIE ŚRÓDMIEŚCIA**

**STOLICA**

